

Projekt okładki:  
*Igor Stanisławski*

Redakcja techniczna:  
*Agnieszka Kuczkiewicz-Fraś*

© Copyright by Kazimierz Michał Ujazdowski, 2008

Na okładce wykorzystano zdjęcie: „Wrocław, 2 maja 2006. Święto flagi” z archiwum Narodowego Centrum Kultury.

**ISBN 978-83-60125-37-5**

Ośrodek Myśli Politycznej  
[www.omp.org.pl](http://www.omp.org.pl)  
e-mail: [omp@omp.org.pl](mailto:omp@omp.org.pl)

## SPIS TREŚCI

Wstęp .....	7
-------------	---

### **Rewizja konstytucji**

Falszywy kompromis, czyli o słabości parlamentarnego projektu konstytucji .....	15
Konserwatyści wobec konstytucji .....	19
Czas na zmianę konstytucji .....	35
IV RP bez konkurencji .....	41

### **Po pierwsze instytucje**

Dobry i sprawny rząd .....	49
Prawdziwa batalia o kształt państwa .....	59
Nie wolno zgodzić się na kompromis .....	65
Sejm w państwie prawników, czyli jak nie wylać dziecka z kąpielą .....	69
Naprawa sądownictwa .....	81
Trzecia władza ponad państwem .....	87
Adwokaci – egoizm bez misji .....	91
Prawo do kary .....	95
Bierność wraca .....	101
Miejsce kultury w polskiej polityce zagranicznej .....	107

## **Pamięć i przyszłość**

Państwowiec osobliwy .....	115
Dziedzictwo Ruchu Młodej Polski .....	125
Kościół, liberałowie i polski kapitalizm .....	137
Wierność i wolność .....	143
Tolerancja to za mało .....	149
Odzyskać pamięć .....	153
Polityka historyczna i jej wrogowie .....	159
Fałszywa droga do pojednania .....	165
Pamięć i przyszłość .....	171
I Sienkiewicz i Gombrowicz .....	175
Prawica przyszłości .....	179
Indeks .....	185

## Wstęp

Teksty zebrane w tym wyborze ukazywały się od połowy lat dziewięćdziesiątych do 2007 roku, najstarszy pochodzi z 1995 roku. Czytelnik mógłby sądzić, że niektóre z nich straciły walor aktualności ze względu na dynamikę zmian politycznych w Polsce. Wszystkich, którzy sięgają po zbiór, chciałbym zapewnić, że gdyby zebrane w tym tomie artykuły poświęcone były polityce bieżącej, walce partyjnej i grze politycznej nie zdecydowałbym się na ich publikację. Motywem przewodnim tomu jest przekonanie, że miarą prawdziwie ambitnej polityki jest tworzenie trwałych zmian budujących siłę państwa i zwiększających potencjał Polski. Tytuł *Batalia o instytucje* oddaje sens mojego wysiłku jako polityka i publicysty.

Publicyści nieraz zarzucali polskim konserwatystom ucieczkę od rzeczywistości, ideologizację polityki i nieuzasadniony pesymizm biorący się z braku świadomości, że współczesna historia Polski jest okresem sukcesu. To prawda, że postawa taka obecna jest na prawicy i nie pomaga w twórczej pracy publicznej. Jestem jednak przekonany, że wspaniała szkoła polskiego konserwatyzmu, z którą identyfikuję się od lat osiemdziesiątych, kiedy uczestniczyłem w opozycyjnym Ruchu Młodej Polski, koncentrowała się zawsze na obronie cywilizacji chrześcijańskiej oraz trosce o dobrze urządzone i sprawne państwo. Nie uciekała w przeszłość w poszukiwaniu „złotego wieku”, nie chciała bezmyślnie kopiować zagranicznych wzorów, nie wybierała się w krainę ideologicznych projektów. Jej przedmiotem była troska o kształt realnych instytucji.

Do tej szkoły nawiązywał „Kwartalnik konserwatywny” założony przez Rafała Matyję, Roberta Kostro i autora tych tekstów. Myślę, że misja konserwatyzmu wyrażona w pierwszym numerze pisma pozostaje wciąż aktualna: „Konserwatyzm... nie uważa za obojętne formy organizacji władzy pu-

blicznej, domaga się administracji, która dobrze służy społeczności lokalnej i wspólnocie narodowej. Nie pozostawia spraw państwa w rękach anonimowych polityków, tak samo jak nie zamyka oczu na negatywne i niemoralne zjawiska w gospodarce. Prawdziwy konserwatyzm nie jest ideologią potępienia świata, ale programem jego zmiany, budowania praw i instytucji na miarę człowieka, który ma z nich czerpać pożytek, na miarę swej godności, z poszanowaniem wolności i świadomości wobec innych”. W kręgu Koalicji Konserwatywnej powstała idea IV Rzeczypospolitej niestety z dużą szkodą zinstrumentalizowana w ostatnich latach do celów walki wyborczej. Wypada w tym miejscu powiedzieć, że idea ta nie miała charakteru rewolucyjnego, przywracała ciągłość z polską tradycją ustrojową, zachowywała to, co wartościowe po roku 1989 – ochronę prawa do życia, prawa rodziny oraz odbudowę samorządu – i jednocześnie występowała przeciwko minimalizmowi III RP. IV RP była projektem odbudowy dobrego i sprawnego państwa służącego dobru wspólnemu, a nie partykularnym interesom, państwa zdolnego do rywalizacji we współczesnej Europie. Zniszczone hasło IV Rzeczypospolitej nie jest już w stanie mobilizować do wysiłku ustrojowego, nie oznacza to jednak, że mamy porzucić myśl o polityce ambitnej.

Jestem przekonany, że Polsce potrzebna jest polityka, która odrzuca oportunizm i nastawia się na batalię o trwałe zmiany ustrojowe. Polityka, która nie godzi się ze słabą konstytucją, anachronizmem administracji i sądownictwa, biurokratycznymi ograniczeniami przedsiębiorczości, minimalizmem polskiej polityki zagranicznej czy też marginalizowaniem odpowiedzialności państwa za kulturę i dziedzictwo narodowe. Projekt polityki ambitnej jest świadomy, że Polska przeżywa okres koniunktury po raz pierwszy w naszej historii od przeszło trzystu lat, ale w przeciwieństwie do rzeczników minimalizmu, nie chce biernie asystować w tym procesie. Przeciwnie, polityka czynna chce stworzyć dla wysiłku i energii Polaków solidne ramy instytucjonalne, począwszy od dobrej konstytucji, poprzez sprawne sądownictwo i administrację, aż po trwałą ochronę praw rodziny i budowę instytucji promujących polskie doświadczenie

historyczne. Teksty zamieszczone w niniejszym tomie poświęcone są tym właśnie zagadnieniom.

Dwa pierwsze rozdziały zbioru („Rewizja konstytucji” i „Po pierwsze instytucje”) tworzą artykuły o problematyce konstytucyjnej i ustrojowej. Mam nadzieję, że czytelnik odnajdzie w nich nie tylko pozytywną wizję nowej konstytucji, ale również wiele konkretnych pomysłów ustrojowych. Większość z nich czeka na realizację w przyszłości i może być pomocna w momencie wznowienia prac nad rewizją konstytucji. Rozdział trzeci zatytułowany „Pamięć i Przyszłość” tworzą przede wszystkim artykuły o znaczeniu religii w życiu publicznym i teksty zajmujące się polityką pamięci. Przypomnienie artykułów poświęconych chrześcijańskiemu rozumieniu polityki i życia społecznego ma sens ze względu na wciąż aktualny charakter tego zagadnienia. Szkoła konserwatywna podpowiada rozwiązanie, które uważam za twórcze i przyszłościowe, wzywa do czynnej promocji wartości chrześcijańskich z szacunkiem dla pluralizmu i wolności innych. Przypomina wskazanie Stanisława Estreichera, że konserwatyzm „ceniąc nader wysoko dwa węzły społeczne, jedność narodową i wyznaniową, jest przeciwny narzucaniu ich sumieniom ludzkim sposobami radykalnymi: fanatyzmem i szowinizmem”. Chodzi zatem nie o politykę, która rości sobie prawo do monopolu na reprezentowanie sprawy chrześcijańskiej oraz instrumentalizuje Kościół, ale o istotną rolę wartości chrześcijańskich w sferach tak ważnych jak ochrona praw rodziny czy wychowanie szkolne. Problemem Polski nie jest bowiem radykalny kryzys cywilizacji życia dotykający bogate narody Europy, lecz wciąż słabe pomimo siły tradycji i religii oddziaływanie etyki i wrażliwości chrześcijańskiej na kształt życia społecznego. Tymczasem wykorzystanie szansy, przed jaką stoi Polska, zależy od tego – jak starałem się przekonywać w tekście *Kościół, liberalowie i polski kapitalizm* – czy program głębokich zmian cywilizacyjnych i gospodarczych będzie zakorzeniony w świecie etyki chrześcijańskiej.

Polityka pamięci była szczególnie przedmiotem mojej odpowiedzialności jako ważny segment mecenatu w sferze kultury i dziedzictwa narodowego. Artykuły poświęcone tej dziedzinie przedstawiają zatem program, który w niemalym stopniu

udało mi się zrealizować pełniąc dwukrotnie funkcję ministra odpowiedzialnego za tę sferę w gabinetach Jerzego Buzka, Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego. Zapraszam zatem do lektury tekstów wyjaśniających sens polityki pamięci, czyli systematycznego wysiłku mającego na celu promocję polskiego doświadczenia historycznego w nowoczesnych i komunikatywnych formach. Teksty przedstawiają misję powołanych przeze mnie placówek muzealnych Muzeum Historii Polski i Muzeum Ziem Zachodnich. Oba projekty mają wymiar uniwersalny i wynikają z przekonania, że dzieje polskiej wolności stanowią ważny składnik historii Europy. Mam nadzieję, że pomimo przeszkód stawianych przez obecny rząd doczekamy się ich realizacji.

Batalia o instytucje nie została zakończona. W roku 2005 wielkie nadzieje na radykalną odnowę polskiej polityki zostały zaprzepaszczone wskutek ostrego konfliktu między PiS a PO. Od trzech lat polityka w Polsce porusza się na jałowym biegu. Dwie dominujące partie polityczne koncentrują się na marketingowym starciu i gorącej komunikacji z wyborcami. Prawdziwe cele ważne dla państwa i obywateli znajdują się poza agendą polityki. Dotyczy to nie tylko porzuconej w praktyce idei rewizji konstytucji, ale wielu istotnych dla naszej przyszłości dziedzin. Rządy PiS nie spełniły nadziei na politykę ambitną, skoncentrowały się bowiem tylko na kilku kwestiach: demontażu WSI i polityce bezpieczeństwa, choć i ta też nie przyniosła trwałej zmiany prawa karnego. Rządy PO pozbawione są wielkich ambicji i uchylają się od rozwiązywania trudnych kwestii w obawie przed utratą popularności.

Jałowej polityce towarzyszy szkodliwy dla jakości polskiego życia politycznego proces oligarchizacji partii ze wszystkimi tego konsekwencjami: brakiem stałych zasad ideowych, dominacją marketingu i polityki doraźnej oraz zanikiem poważnej debaty wewnętrznej. Mój sprzeciw wobec tego modelu postawił mnie poza PiS, z którym wielu wiązało nadzieję na wyrwanie polityki polskiej z marazmu.

Nic jednak nie jest w stanie zmienić moich zasad ideowych i głębokiego przekonania, że o pozycji Polski rozstrzygnie jakość naszych ustrojowych instytucji. Wierzę, że po czasie

---

zaniżenia ambicji przyjdzie moment, w którym powrócimy do polityki skoncentrowanej na tym, co najważniejsze dla wspólnoty, w której przyszło nam żyć i za którą odpowiadamy. Mój ulubiony francuski pisarz François Mauriac nie opuszczał de Gaulle'a w chwilach jego politycznego osamotnienia i zapewniał, że w polityce zmiana na lepsze przychodzi zawsze w czasie i formie, która nas zaskakuje. Podobnie jak Mauriac wierzę, że nic w polityce nie jest określone raz na zawsze i że przyjdzie nam wznowić batalię o instytucje dające Polsce należne miejsce w rodzinie narodów Europy.





# **Rewizja konstytucji**



## **Falszywy kompromis, czyli o słabości parlamentarnego projektu konstytucji**

Nikt nie może się cieszyć z tego, że osiem lat po upadku komunizmu Polska nie ma konstytucji – aktu określającego fundamenty wspólnoty politycznej. Jednak dziś każdy, kto pragnie, byśmy mieli akceptowaną przez większość narodu Konstytucję III RP i by była ona aktem państwa nowoczesnego, wolnego od socjalistycznych rozwiązań ustrojowych, powinien działać na rzecz zawieszenia debaty konstytucyjnej. Projekt konstytucji Zgromadzenia Narodowego jest aktem partykularnym w zakresie aksjologii i – co nie mniej istotne – w wymiarze ustrojowym nie różni się na lepsze od obowiązującego dziś prowizorium konstytucyjnego. Lewica proponuje też taki sposób przyjęcia konstytucji, który czyni ją w dzisiejszych warunkach aktem mniejszościowym, będącym źródłem stałego konfliktu ustrojowego.

Błędy aksjologiczne projektu widoczne są gołym okiem. Preambuła przemilcza fakt, że odzyskanie niepodległości nastąpiło po zmaganiach z komunistycznym totalizmem. Brak w niej wyraźnego konstytucyjnego umocowania III Rzeczypospolitej i stwierdzenia, że niepodległe państwo polskie ma być zbudowane na innej podstawie etycznej niż ułomna państwowość PRL. W trakcie parlamentarnych prac konstytucyjnych zakwestionowano przedstawione przez opozycję prawicową propozycje pełnej ochrony życia ludzkiego i uznania rodziny za wspólnotę podstawową, której prawa powinny być honorowane w każdej dziedzinie życia społecznego.

Nie mniej istotne jest to, że projekt utrzymuje anachroniczną strukturę państwa i zawiera wiele błędów ustrojowych. Tadeusz Mazowiecki namawia do rzeczowej dyskusji o rozwiązaniach konstytucyjnych. Problem jednak w tym, że projekt, którego jest współautorem, zawiera tak wiele wad, iż trudno

mówić o zasadniczej różnicy w stosunku do obecnie obowiązujących przepisów. Wymieńmy kilka kwestii.

Projekt nie uznaje własności prywatnej za zasadę ustrojową. Własność prywatna w konstytucji powinna być ujęta nie tylko jako prawo jednostki, lecz także w postaci zasady ustrojowej, zgodnie z którą gospodarka narodowa opiera się na własności prywatnej. Zasada ta stwarzałaby konstytucyjne podstawy reprivatyzacji i prywatyzacji mienia państwowego. Tymczasem artykuł 19 projektu, jedyny dotyczący własności, w części zasadniczej milczy o własności prywatnej, co stwarza niebezpieczeństwo, że pod pretekstem równouprawnienia różnych typów własności utrzymywana będzie dominująca pozycja własności państwowej, a roszczenia osób, którym w latach czterdziestych zagarnięto własność, nie uzyskają konstytucyjnej ochrony.

Rozwiązania dotyczące samorządu terytorialnego nie dają konstytucyjnych podstaw praktycznej decentralizacji państwa. W miejsce konstytucyjnego umocowania powiatu mamy coś, co można by nazwać zapisem poglądów partii parlamentarnych na ten temat. Artykuł 160 projektu stanowi, że podstawową jednostką samorządu terytorialnego jest gmina, a „inne jednostki samorządu lokalnego i regionalnego albo regionalnego określa ustawa”. Wolno chyba zapytać, dlaczego prawicowa opozycja głosząca potrzebę walki z centralizmem ma popierać formuły konstytucyjne, które są w tej kwestii w najlepszym wypadku neutralne, co znaczy, że nie stwarzają żadnych kłopotów tym siłom politycznym, które zainteresowane są w utrzymywaniu dominacji biurokracji centralnej.

I wreszcie kwestia, którą szczególnie zainteresowana jest polityka konserwatywna. Chodzi o postulat pełnej ochrony wolności nauczania. Nowa konstytucja powinna chronić tę postać wolności w zakresie obejmującym prawo do zakładania szkół, prawo do wyboru szkoły, prawo do subwencji ze strony państwa i autonomii programowej oraz wychowawczej. Pozytywnym przykładem takich rozwiązań może być Francja, gdzie mimo konfliktu między państwem a katolickim szkolnictwem to ostatnie korzysta z pełnej ochrony konstytucyjnej (wraz z nakazem dotowania szkół niepaństwowych), która uniemożliwia rządowi

i parlamentowi dowolne ograniczanie jego wolności i autonomii. Chodzi zatem o to, by konstytucja potwierdzała zasadę równouprawnienia różnego rodzaju szkół, zasadę, która dziś w Polsce nie jest w praktyce przestrzegana. Projekt konstytucji nie mówi nic o tej zasadzie ani nie „wspiera” autonomii programowej szkół i odwołuje się w tym zakresie do ustawy, która ma w przyszłości określić „udział władz publicznych w finansowaniu szkół niepaństwowych”. Wolno w tym miejscu zapytać, jaki użytek będziemy mogli uczynić ze skargi konstytucyjnej, skoro prawa jednostki i rodziców korzystają z tak słabej ochrony konstytucyjnej?

Można wskazać na wiele innych błędów projektu, m.in. odnoszących się do sądownictwa konstytucyjnego czy finansów publicznych państwa. W przepisach przejściowych projekt zakłada, że w ciągu dwóch lat orzeczenia TK w stosunku do ustaw uchwalonych przed wejściem w życie konstytucji nie będą ostateczne i poddane zostaną weryfikacji Sejmu. Ten przepis to nic innego jak forma obrony fatalnego ustawodawstwa przed konstytucyjną weryfikacją. Tymczasem wielkim zadaniem konstytucji i stojącego na jej straży TK powinno być usunięcie ustawodawstwa sprzecznego z prawami jednostki i ideą państwa prawa. Piszę o tym dlatego, że naprawdę nic oprócz interesu wyborczego lewicy nie przemawia za akceptacją tego projektu i szybkim referendum konstytucyjnym.

Decyzja, by ten właśnie projekt poddać pod referendum zatwierdzające w najbliższych miesiącach, otwiera wieloletni konflikt wokół konstytucji. Wybrany w 1993 roku parlament przez trzy lata nie potrafił wywiązać się z zadania konstytuanta. W tym czasie podjął arbitralne rozstrzygnięcia w sprawach, które bezpośrednio dotyczyły materii konstytucyjnej (ochrona prawa do życia). Dziś, gdy poparcie dla opozycji parlamentarnej sięga 40 procent deklarujących udział w wyborach, proponuje się, by konstytucja zatwierdzona była w drodze referendum, w warunkach, w których brak 50-procentowej frekwencji nie będzie wpływał na wynik wyborczy. Nawet jeśli projekt konstytucji będzie formalnie zaakceptowany, to faktyczny jego wynik uczyni z nowej konstytucji akt z nieprawego łoża. Formalne rozstrzygnięcie w referendum nie osłabi bowiem wymo-

wy społecznej faktu, że będziemy mieli konstytucję mniejszościową.

A zatem SdRP, PSL, UW i UP forsują przyjęcie projektu w momencie, w którym nie jest możliwy autentyczny kompromis konstytucyjny. Formalne uchwalenie konstytucji w kształcie, który proponuje Komisja Konstytucyjna, oznacza, że Polska będzie przez najbliższe lata krajem parlamentarnego kryzysu konstytucyjnego. Tryb referendum konstytucyjnego, który zakłada, że mniejszość obywateli może decydować o zatwierdzeniu konstytucji, powoduje osłabienie legitymacji tego aktu prawnego. Prawica będzie zmuszona do kwestionowania trybu jej przyjęcia, a po wyborach parlamentarnych podejmować będzie próby jej nowelizacji. Będzie zmuszona to czynić w imię racji fundamentalnych i woli budowania nowoczesnych instytucji ustrojowych. Ci, którzy dążą do przeprowadzenia referendum przed wyborami, a kompromis konstytucyjny rozumieją jako porozumienie partii parlamentarnych, biorą odpowiedzialność za to, że zamiast nowej konstytucji będziemy mieć permanentny kryzys konstytucyjny. Jest jeszcze czas, by zapobiec tej perspektywie. Dziś bowiem prawdziwy kompromis konstytucyjny polegać może na wstrzymaniu prac nad konstytucją na okres kampanii parlamentarnej.

Wymaga to jednak wzniesienia się ponad polityczny egoizm.

(„Rzeczpospolita”, 31.01.1997)

## **Konserwatyści wobec konstytucji**

Dwa lata temu weszła w życie nowa Konstytucja RP. Zgodnie z przewidywaniami wielu komentatorów, kształt ustrojowy państwa związany ze zmianą konstytucji będzie wykluczał się jednak przez długie lata interpretacji niejasnych i wieloznacznych przepisów Ustawy Zasadniczej. Jeszcze w czasie debaty konstytucyjnej w roku 1997 wskazywaliśmy na wady projektu uchwalonego przez Zgromadzenie Narodowe i poddanego ratyfikacji w drodze referendum.

Obowiązująca dziś konstytucja nie wprowadziła widocznej cezurę między PRL-em a wolną Rzeczpospolitą, nie ustanowiła wyraźnej podstawy aksjologicznej państwa, ani nie zagwarantowała silnej ochrony praw rodziny i prawa własności. Wady konstytucji polegają również na usankcjonowaniu słabości i „rozbitcia” władzy wykonawczej oraz „wejściu” regulacji konstytucyjnych na obszar właściwy dla ustaw zwykłych. Ta ostatnia okoliczność powoduje usztywnienie systemu prawnego i pogłębia słabość państwa.

### **Słabości Ustawy Zasadniczej**

Analitycy życia politycznego mają zwyczaj bagatelizowania praktycznego znaczenia konstytucji dla państwa i prawa. Przyjmuje się, że decydującą wartość ma układ sił politycznych w parlamencie, decyzje rządu i praktyka biurokracji. Taka opinia jest uzasadnioną reakcją na błędy światopoglądu prawniczego, który postrzega rzeczywistość polityczną wyłącznie przez pryzmat norm prawnych.

Nie sposób jednak nie zauważyć, że obowiązująca konstytucja kształtuje dziś w istotny sposób porządek prawny Rzeczypospolitej i w dużym stopniu ogranicza możliwości odrodzenia się rządów sprawiedliwego prawa. Sprawia to między innymi brak wyraźnej cezurę między PRL-em a niepodległym państwem, który pozwala rzecznikom poglądu o ciągłości ustro-



jowej powoływać się na instytucje konstytucyjne w celu uniemożliwienia oceny poszczególnych działań państwa komunistycznego. Nie ma też wyraźnej podstawy usuwania z ustawodawstwa aktów prawnych rażąco sprzecznych z ideą rządów prawa, a będących dziedzictwem PRL-u. Muszą one przejść przewlekłą procedurę weryfikacji konstytucyjnej przed Trybunałem Konstytucyjnym.

W trakcie dyskusji konstytucyjnej podkreślaliśmy, iż własność prywatna nie została ujęta jako zasada ustrojowa, lecz jako jedna z postaci prawa własności przysługująca jednostkom, podmiotom społecznym i publicznym. Trudno zatem dziś mówić o wyraźnych konstytucyjnych podstawach reprivatyzacji i prywatyzacji własności państwowej. Zwracaliśmy też uwagę na fakt, iż w konstytucji pojawiły się przepisy i instytucje, których skutkiem może być podkopywanie tradycyjnego ładu społecznego. Przykładowo Art. 32 ust. 2, który stanowi, że „Nikt nie może być dyskryminowany w życiu społecznym i publicznym z jakiegokolwiek przyczyny”, daje możliwość konstytuowania się w prawowitą mniejszość grupom kwestionującym ład społeczny oparty na rodzinie, jako naturalnej i podstawowej wspólnoty. Konstytucyjny przymus powołania Rzecznika Praw Dziecka, nie znany konstytucjom europejskim, już dziś wykorzystywany jest z kolei przez lewicę do tworzenia instytucji widzącej prawa dziecka w kolizji z prawami rodziców.

Trzeba także podkreślić, że konstytucja pisana była w duchu opozycji do podstawowego zobowiązania państwa, jakim jest zapewnienie bezpieczeństwa osobistego obywateli. Podniesiono do rangi konstytucyjnej kilkanaście praw przysługujących zatrzymanemu, aresztowanemu i oskarżonemu tak, jakby podstawowym problemem publicznym była walka z nadużyciami państwa policyjnego.

Konstytucja pogłębiła również słabość władzy wykonawczej. Kompromis między Aleksandrem Kwaśniewskim i partiami politycznymi popierającymi projekt konstytucji wydał zły owoc w postaci stworzenia dwóch ośrodków władzy wykonawczej. Kompromis konstytucyjny zawarty został w sytuacji braku jakiegokolwiek pozytywnej wizji państwa. Dlatego też „rozwleczona”, licząca aż 243 artykuły konstytucja zawiera bardzo

wiele rozstrzygnięć, które z powodzeniem mogły być przedmiotem ustawodawstwa zwykłego. Szczegółowe regulacje dotyczące procesu ustawodawczego, równie szczegółowo ujęta konstrukcja NIK-u i Krajowej Rady Sądownictwa, to przykłady kwestii, które nie musiały być przedmiotem unormowań konstytucji. Taka szczegółowość prowadzi do osłabienia rangi ustawy zasadniczej oraz usztywnienia systemu prawnego.

Ta druga okoliczność rodzi konieczność podejmowania inicjatywy zmiany konstytucji w sytuacjach, w których potrzebne są niewielkie korekty instytucjonalne – takie jak likwidacja odrębnego sądownictwa wojskowego czy mała zmiana w konstrukcji Krajowej Rady Sądownictwa. Wszystkie one wymagają nowelizacji konstytucji.

### **Spór interpretacyjny**

Nawet bardzo krytyczna ocena konstytucji nie może prowadzić do jej całkowitego kwestionowania. Prawica konserwatywna powinna postawić przed sobą zadanie sformułowania czytelnych podstaw rewizji konstytucji. Zanim to uczyni, musi jednak stoczyć walkę o interpretację obecnej ustawy zasadniczej. Porażka w tych zmaganiach zwiększyłaby jej negatywne oddziaływanie. Procesy przed Trybunałem Konstytucyjnym, na przykład w sprawie ustawy lustracyjnej czy ustawy o odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów, którzy naruszyli zasady niezawisłości sędziowskiej, pokazują, że spór o rozumienie konstytucji może zakończyć się cząstkowym zwycięstwem prawicy i może dawać możliwość formułowania doktryny konstytucyjnej na miarę nowego państwa honorującego rządy sprawiedliwego prawa.

W obydwu przypadkach lewica podjęła próbę przekształcenia konstytucji w akt gwarantujący bezkarność osób odpowiedzialnych za przestępstwa czasu PRL-u i w skuteczną przeszkodę odrodzenia się instytucji nowego państwa.

### **Konstytucja nie gwarantuje bezkarności**

W roku 1997 rząd przedstawił Sejmowi projekt ustawy nowelizującej prawo o ustroju sądów powszechnych zawierający re-

gulację, na podstawie której sędziowie pracujący w organach represji w latach 1944-1956 mieli stracić status sędziów w stanie spoczynku i związane z nim przywileje emerytalne. W toku prac legislacyjnych, w czasie drugiego czytania projektu, z inicjatywy posłów AWS zgłoszona została poprawka ustanawiająca specjalny tryb dyscyplinarny pozwalający sądom dyscyplinarnym na wydalanie z zawodu sędziów, którzy orzekając w procesach politycznych sprzeniewierzyli się zasadzie niezawisłości sędziowskiej. Ustawa w całości została zakwestionowana przez prezydenta Kwaśniewskiego. W jego wniosku do Trybunału Konstytucyjnego wszystkie istotne instytucje konstytucyjne, takie jak przedawnienie czy zasada *lex retro non agit*, zostały zinterpretowane wyłącznie pod kątem uniemożliwienia ukarania osób odpowiedzialnych za przestępstwa PRL-u. Zasada przedawnienia, która w myśl art. 43 i 44 ustawy zasadniczej zakazuje ustawodawcy stosowania przedawnienia w stosunku do zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości, została potraktowana jako nakaz przedawnienia wszystkich przestępstw i czynów zabronionych przed rokiem 1989.

Prezydent Aleksander Kwaśniewski uczynił zatem z konstytucji oręż zwrócony przeciwko wszelkim formom usuwania komunistycznego balastu prawnego. Adam Strzembosz – ówczesny I Prezes Sądu Najwyższego – trafnie zwrócił uwagę na to, że wniosek skierowany przez Prezydenta do Trybunału zakłada „ciągłość władzy państwowej oraz systemu prawnego, jaki ukształtował się w latach 1944-1998, z czego wynika stosowanie tych samych kryteriów do instytucji prawnych funkcjonujących przed 1989 r. i w ciągu ostatnich ośmiu lat”<sup>1</sup>. Prezydencka interpretacja ustawy zasadniczej prowadziła do „wynaturzenia” podstawowych zasad konstytucyjnych, takich jak równość obywatela wobec prawa czy prawo do „bezzstronnego, niezależnego i niezawisłego sądu”. Prezydent widział w nich

---

<sup>1</sup> Stanowisko I Prezesa SN Adama Strzembosza z dnia 17 marca 1998 r. w sprawie wniosku Prezydenta RP z dnia 4 lutego 1998 r. o stwierdzenie niezgodności z Konstytucją RP ustawy z dnia 17 grudnia 1997 o zmianie ustawy Prawo o ustroju sądów powszechnych oraz niektórych innych ustaw.

wyłącznie uprawnienia funkcjonariuszy publicznych, nie zaś prawa obywatelskie. We wspomnianej opinii Adam Strzembosz zwrócił uwagę na to, że prezydencka interpretacja konstytucji zwraca się przeciwko zasadom państwa prawa i zaufania obywatela do państwa: „Nie można budować państwa prawa i autorytetu sądów przy jednoczesnym tworzeniu nowych przywilejów dla tych sędziów, którzy przez wiele lat wydawali orzeczenia oczywiście niesłuszne i krzywdzące współobywateli. Takie postępowanie naruszałoby też w sposób rażąco zasady sprawiedliwości społecznej (art. 2 Konstytucji). Trudno również akceptować dalsze orzekanie przez takich sędziów, jeżeli mówi się o wychowawczej roli sądów, zaufaniu obywateli do państwa i autorytetowi wymiaru sprawiedliwości”<sup>2</sup>.

Wreszcie najbardziej bulwersujące argumenty prezydenckiego wniosku dotyczyły odebrania przywilejów emerytalnych sędziom orzekającym w organach represji do roku 1956. Odebranie sędziom „stalinowskim” prawa do bycia sędziami w stanie spoczynku wraz z preferencyjnym uposażeniem zostało uznane za złamanie zasady równości obywateli wobec prawa. Przypomnijmy, że z zasady równości nie płynie bezwzględny zakaz zróżnicowania uprawnień obywateli, lecz zakaz ich niesprawiedliwego i arbitralnego ustalania. Obrona przywilejów emerytalnych sędziów i prokuratorów, którzy pracowali w NKWD i UB, pod hasłem równości wobec prawa była kpiną z zasady sprawiedliwości.

Trybunał zakwestionował nowelizację ustawy jedynie ze względów proceduralnych – braku odpowiednich konsultacji z Krajową Radą Sądownictwa. W sporze merytorycznym przyznał rację Sejmowi i zakwestionował argumenty Prezydenta. W orzeczeniu z dnia 24 czerwca 1998 roku uznał prawo ustawodawcy do ustanowienia nadzwyczajnych reguł dyscyplinarnych w stosunku do sędziów, którzy sprzeniewierzyli się zasadom płynącym z niezawisłości sędziowskiej: „Wyodrębnienie przez dzisiejszego ustawodawcę owych sytuacji nadużycia niezawisłości i bezstronności motywowanych względami politycznymi, jest dopuszczalne, tym bardziej, że sytuacje te wiązały się

---

<sup>2</sup> *Tamże.*

zwykle z łamaniem najbardziej podstawowych praw i wolności jednostki ludzkiej, a zwłaszcza wolności wyrażania poglądów i komunikowania ich innym”<sup>3</sup>. Trybunał udzielił także poparcia argumentom prawicy, która w niezawisłości sędziowskiej widzi nie tylko prawo, ale również obowiązek sędziego: „Tak samo jak konstytucyjnym obowiązkiem ustawodawcy i organów administracji sądowej jest chronić niezawisłość sędziego, tak obowiązkiem sędziego jest tę niezawisłość urzeczywistniać w praktyce”<sup>4</sup>. Werdykt Trybunału nie pozwolił Prezydentowi na „wynaturzenie” zasad konstytucyjnych i przekształcenie ich w gwarancje bezkarności osób sprawujących funkcje publiczne w państwie komunistycznym. Tym samym otworzył pole do uregulowania odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów, którzy sprzeniewierzyli się obowiązkom płynącym z zasady niezawisłości sędziowskiej. Uchwalona z inicjatywy AWS ustawa weszła w życie w styczniu bieżącego roku.

### **Lustracja wynika z Konstytucji**

Sukcesem prawicy zakończył się także spór konstytucyjny o ustawę lustracyjną. Wniosek SLD przeciwko ustawie z dnia 11 kwietnia 1997 roku stawiał samej zasadzie lustracji zarzut naruszenia konstytucji. Przed Trybunałem posłowie SLD dowodzili, że sama idea lustracji jest sprzeczna z zasadą demokratycznego państwa prawa, ponieważ ustanawia obowiązek samooskarżania się i odpowiedzialność o charakterze quasi-karnym. We wniosku do Trybunału Konstytucyjnego posłowie SLD stwierdzali, że obowiązek złożenia oświadczenia lustracyjnego sprzeciwia się zasadzie „prawa do milczenia”, a publikacja przez sąd orzeczeń stwierdzających fałszywe oświadczenie jest aktem dyskryminacji naruszającym zasadę równości wobec prawa: „Podkreślić należy, że dla osoby lustrowanej istotne jest upowszechnienie złożonego oświadczenia. Taka regulacja narusza zasadę demokratycznego państwa prawnego, w szczególno-

---

<sup>3</sup> Wyrok TK z dnia 24 czerwca 1998 r., K 3/98.

<sup>4</sup> *Tamże*.

ści przez niezapewnienie ochrony prawa do prywatności, ochrony czci i dobrego imienia”<sup>5</sup>.

W czasie rozprawy doszło również do próby stępienia ostrza lustracji. Polegała ona na takim ukształtowaniu definicji współpracy, by wyłączone było z niej współdziałanie z wywiadem i kontrwywiadem SB poza granicami kraju. W tym celu SLD posunął się do jawnej rehabilitacji konstytucji stalinowskiej i wystąpiło z żądaniem respektowania płynącego z niej obowiązku wierności państwu. Obowiązek ten miałby usprawiedliwiać współpracę z wywiadem i kontrwywiadem SB. Warto przytoczyć ten chyba najsmutniejszy fragment SLD-owskiego wniosku: „Skoro w konstytucji zawarty jest obywatelski obowiązek wierności i obrony Ojczyzny, to jest rzeczą oczywistą, że realizacja tego obowiązku mogła przybierać formę współpracy z ogniwami operacyjnymi i śledczymi organów bezpieczeństwa, a w szczególności wywiadu i kontrwywiadu. W tej sytuacji ustawodawca powinien dokonać rozgraniczenia takiej współpracy, która wynikała z obowiązku obywatelskiego, od takiej, gdzie nie było obowiązku obywatelskiego, a podjęta współpraca wynikała z innej motywacji”<sup>6</sup>.

Trzeba zauważyć, że Sojusz stanął na stanowisku bezpośredniego stosowania przepisów konstytucji z 1952 roku, co nastąpiło dopiero pod rządami obecnie obowiązującej Ustawy Zasadniczej. Przypomnijmy, że współpraca z wywiadem i kontrwywiadem była nierzadko związana z inwigilacją środowisk polonijnych albo wykonywaniem zadań ustalonych przez radzieckie służby specjalne. Polityczna strona tego argumentu była jasna, chodziło o uratowanie przed lustracją osób z kręgów postkomunistycznej elity. Trzeba się cieszyć, że Trybunał zakwestionował tę argumentację i stwierdzając zgodność z konstytucją postępowania lustracyjnego, otworzył drogę do ujawnienia faktów współdziałania ze wszystkimi ogniwami SB.

---

<sup>5</sup> Wniosek grupy posłów SLD z dnia 8 grudnia 1997 r. w sprawie stwierdzenia niezgodności z Konstytucją ustawy lustracyjnej.

<sup>6</sup> *Tamże*.

Trybunał Konstytucyjny stwierdził, że – wbrew zdaniu skarżących – ustawa lustracyjna ani nie ma mocy wstecznej ani nie narusza zasady równości wobec prawa. Obowiązek składania oświadczeń o współpracy z PRL-owskimi służbami specjalnymi spoczywa na osobach, które aspirują do wysokich stanowisk publicznych. Nie można zgodzić się, by ich przeszłość była zakryta przed opinią publiczną. Dlatego też TK stwierdził, że ustawa lustracyjna jest nie tylko zgodna z Konstytucją, ale stanowi realizację jej zasad i praw, przede wszystkim realizację prawa obywatela do informacji i przeszłej działalności osób pełniących funkcje publiczne.

W czasie procesu zderzyły się zatem dwie przeciwstawne koncepcje służby publicznej. Lewica widziała w konstytucji jedynie prawa osób sprawujących najwyższe stanowiska w państwie, natomiast rzecznicy ustawy lustracyjnej dowodzili, że służba publiczna jest przywilejem, który rodzi szczególne obowiązki. Trybunał podzielił racje stojące u podstaw ustawy lustracyjnej i w uzasadnieniu orzeczenia wskazał na szczególnie obowiązki płynące z faktu piastowania stanowisk publicznych: „Jest oczywiste, że osoba kandydująca do pełnienia funkcji publicznej godzić się musi z zainteresowaniem opinii publicznej, wyrażającym się wolą uzyskania jak najszerszego zakresu informacji o jej życiu i przeszłości. W szczególności przedmiotem takiego zainteresowania może być, a w polskiej rzeczywistości jest, fakt współpracy z organami bezpieczeństwa państwa. Podkreślenia wymaga fakt, iż sfera prywatności naruszana jest poprzez sam obowiązek złożenia oświadczenia lustracyjnego, jednakże naruszenie to wynika z przyjętej przez racjonalnego ustawodawcę ogólnej koncepcji lustracji i jest bezpośrednią konsekwencją pełnienia funkcji publicznej”. Zatem Trybunał podkreślił służebny charakter pełnienia funkcji publicznych, a werdykt ten odblokował procedury lustracyjne.

### **Trybunał wielkich nadziei**

W tym miejscu warto poświęcić chwilę uwagi znaczeniu Trybunału Konstytucyjnego dla procesu odradzania się rządów prawa i roli konstytucji w Polsce. Trzeba podkreślić, że powstanie

silnego Trybunału Konstytucyjnego jest spełnieniem ustrojowych postulatów prawicy. Przypomnę, że idea jego utworzenia w Polsce pojawiła się po raz pierwszy w środowiskach narodo-demokratycznych i konserwatywnych, a pierwszy projekt ustawy o TK przedstawił Klub Parlamentarny Narodowej Demokracji. Idea powołania silnego sądu konstytucyjnego przywoływana była w pracach prawniczych prawników i politologów – Adama Piaseckiego, Władysława Leopolda Jaworskiego i Wacława Komarnickiego. W tym czasie lewica, hołdująca doktrynie o supremacji Sejmu wśród organów władzy państwowej, przeciwstawiała się koncepcjom powołania instytucji badającej zgodność ustawodawstwa z konstytucją. Po roku 1989 Trybunał – mimo krępującego go gorsetu weryfikacji orzeczeń przez Sejm – stał się jedną z nielicznych instytucji uwalniających się spod balastu państwa komunistycznego. Uzyskał niezależność i wydawał często orzeczenia przywracające wiarę w odrodzenie rządów sprawiedliwego prawa. Przypomnijmy, że Trybunał Konstytucyjny uznał za niezgodne z konstytucją zmiany przepisów prawa podatkowego w czasie roku podatkowego, przez co bronił podstawowych praw podatnika. Wystąpił także w obronie silnej pozycji samorządu terytorialnego, wolności gospodarczej i własności prywatnej.

W czerwcu 1997 roku Trybunał uznał za niekonstytucyjną ustawę przyzwalającą na aborcję na żądanie, ze względu na jej niezgodność z konstytucyjnym prawem osoby ludzkiej do życia. To ostatnie orzeczenie miało charakter przełomowy. Obrona życia nienarodzonych wymagała odwagi i przeciwstawienia się żądaniu środowisk lewicowych i liberalnych. Co ważniejsze, Trybunał uznał prawo do życia za niezbywalny składnik państwa prawa i podstawę ładu społecznego. Warto przywołać ten fragment orzeczenia, który dotyczył relacji między prawem do życia a państwem prawa: „Państwo prawne realizuje się bowiem wyłącznie jako wspólnota ludzi i tylko ludzie mogą być właściwymi podmiotami praw i obowiązków stanowiących w takim państwie. Podstawowym przymiotem człowieka jest jego życie. Pozbawienie życia unicestwia więc równocześnie człowieka jako podmiot praw i obowiązków. Jeżeli treścią zasady państwa prawnego jest zespół podstawowych dyrektyw wyprowadzo-



nych z istoty demokratycznie stanowionego prawa, a gwarantujących minimum jego sprawiedliwości, to pierwszą taką dyrektywą musi być respektowanie w państwie prawnym wartości, bez której wykluczona jest wszelka podmiotowość prawna, to jest życia ludzkiego od jego początków, od jego powstania<sup>7</sup>. Uzasadnienie tego orzeczenia jest manifestem odradzania się prawa, jakie zostało uformowane w momencie tworzenia się europejskiej cywilizacji.

Niestety, z chwilą uchwalenia nowej konstytucji doszło do poważnej zmiany w podejściu Trybunału do jej interpretacji. W okresie „przedkonstytucyjnym” Trybunał odgrywał rolę aktywną i częstokroć wywodził z zasady demokratycznego państwa prawnego normy pozwalające na konstytucyjną ocenę ustawodawstwa. Kazimierz Działocha, były sędzia Trybunału i rzecznik orientacji pozytywistycznej, stwierdzał krytycznie, że TK był daleki od takiej wykładni przepisów konstytucyjnych, która „dawała zawsze bezwzględne pierwszeństwo regułom wykładni językowej i systemowej charakterystycznym dla pozytywistycznej koncepcji prawa”<sup>8</sup>. Po uchwaleniu konstytucji doszło do reorientacji Trybunału Konstytucyjnego. Trybunał, który dotychczas śmiało interpretował zasady konstytucyjne, przeszedł na pozycje „defensywne” i w coraz większym stopniu traktuje przepisy konstytucji w izolacji od siebie i oderwaniu od zasad konstytucyjnych.

Tendencja ta pojawiła się w orzeczeniu stwierdzającym niezgodność z konstytucją wznowienia postępowania lustracyjnego i tzw. kłamstwa lustracyjnego kandydata na prezydenta. W tej drugiej sprawie przepisy konstytucyjne dotyczące biernego prawa wyborczego zostały zinterpretowane przy pomocy wykładni językowej w oderwaniu od innych sposobów wykładni i samej zasady państwa prawa. Przypomnijmy argumentację Trybunału o niezgodności z konstytucją artykułu ustawy lustracyjnej, który stanowił, że PKW skreśla z listy kandydatów na prezydenta osobę, która zdaniem sądu złożyła fałszywe oświad-

---

<sup>7</sup> Orzeczenie TK z dnia 28 maja 1997 r., K. 26/96.

<sup>8</sup> K. Działocha, *Niepozytywistyczna koncepcja państwa prawnego a Trybunał Konstytucyjny*, „Państwo i Prawo”, nr 3/1995.

czenie lustracyjne. TK stwierdził, że artykuł 127 ust. 3 zawiera zamknięty katalog przesłanek ograniczenia biernego prawa wyborczego, na który składają się obywatelstwo polskie, korzystanie z pełni praw wyborczych i wiek 35 lat. Ustawa lustracyjna zdaniem TK wprowadza dodatkowy i niekonstytucyjny wymóg (przeszkodę) złożenia prawdziwego oświadczenia lustracyjnego. Wbrew opinii Trybunału przepis ten nie stanowi ograniczenia prawa wyborczego. Interpretacja TK jest przykładem błędu popełnianego wtedy, gdy przepis podlega wyłącznie wykładni językowej. Nie jest przeszkodą wyborczą okoliczność, której spełnienie w pełni zależy od osoby aspirującej do zajmowania stanowiska publicznego. Z pewnością złożenie prawdziwego oświadczenia lustracyjnego jest okolicznością subiektywną i zależną od woli kandydata w przeciwieństwie do obiektywnych przeszkód wyborczych, takich jak wiek czy obywatelstwo.

Omawiane orzeczenie było objawem wycofywania się TK z misji stania na straży konstytucji. Trybunał przyznał bowiem w uzasadnieniu, że zachodzi niespójność wewnętrzna prawa: „Tylko bowiem osoby kandydujące na stanowisko Prezydenta nie są dotknięte następstwami wynikającymi z nieprawdziwego oświadczenia lustracyjnego, które w innych przypadkach podanych w ustawie polegają na utracie koniecznej kwalifikacji do pełnienia funkcji publicznych”<sup>9</sup>. Ta sprzeczność została usunięta w drodze nowelizacji ustawy lustracyjnej dostosowującej jej treść do orzeczenia TK. Jednak mogła ona być usunięta wcześniej, w drodze pełnej wykładni obejmującej aspekt funkcjonalności i kontekstu przepisów ustawy lustracyjnej. Gdyby Trybunał interpretował ten przepis w zgodzie z zasadą państwa prawa, przepis ów powinien być uznany za zgodny z konstytucją. Zasada państwa prawa nie pozwala na obowiązywanie prawa wewnętrznie sprzecznego, „zachęcającego” do publicznego kłamstwa.

W świetle pełnej interpretacji konstytucji wydaje się jasne, że zadania i obowiązki ustrojowe prezydenta wymagają od kandydata na to stanowisko najwyższych kwalifikacji moralnych. Warto przywołać odnoszące się do tej kwestii uzasadnienie

---

<sup>9</sup> Wyrok TK z dnia 10 listopada 1998 r., K. 39/97.

*votum separatum* złożonego przez sędziego Wiesława Johana: „Zgodnie z art. 126 Konstytucji Prezydent jest najwyższym przedstawicielem Rzeczypospolitej, czuwa nad przestrzeganiem konstytucji oraz stoi na straży suwerenności i bezpieczeństwa państwa. Nie budzi zatem wątpliwości, że funkcja ta jest niezwykle istotna dla bytu demokratycznego państwa prawnego i jako taka powinna być sprawowana przez osobę o wysokich kwalifikacjach moralnych. Jakkolwiek wymóg ten nie jest nigdzie wyrażony *expressis verbis*, jednak wynika on zarówno z polskiej tradycji prawnej, jak i znajduje odbicie w intencji ustawodawcy konstytucyjnego”<sup>10</sup>.

### Silniejszy od Sejmu?

W wielu orzeczeniach sądu konstytucyjnego podejmowane są próby nadmiernego ingerowania w wewnętrzną procedurę ustawodawczą parlamentu. Kwestia poprawności proceduralnej nabrała dużego znaczenia w orzecznictwie Trybunału. W warunkach polskich kwestionowanie silnej pozycji Sejmu w procesie stanowienia prawa blokuje proces odradzania się prawa i nowych instytucji ustrojowych. Michał Graniecki na łamach „Przeglądu Sejmowego” pisze o „orientacji konstytucyjnej” w pracach Sejmu i zwraca uwagę na coraz większe znaczenie „poprawności proceduralnej uchwalanych ustaw”<sup>11</sup>. Według mnie mówić trzeba o sytuacji „szantażu konstytucyjnego” i o wynaturzeniu sprawiedliwości proceduralnej.

Daleko idącą ingerencję w autonomię parlamentu w dziedzinie ustawodawstwa ilustruje wyrok TK z dnia 24 czerwca 1998 roku w sprawie pierwszej nowelizacji ustawy o ustroju sądów powszechnych. Trybunał wystąpił z bardzo restryktywną dla Sejmu interpretacją obowiązku konsultowania projektów ustaw. Rzeczą dotyczyła poprawek zgłoszonych przez grupę posłów w czasie II czytania do projektu ustawy nowelizującej prawo o ustroju sądów powszechnych. Poprawki wprowadzały

---

<sup>10</sup> Zdanie odrębne sędziego Wiesława Johana do wyroku TK z dnia 10 listopada 1998 r.

<sup>11</sup> M. Graniecki, *Proces prawotwórczy pod rządami nowej Konstytucji*, „Przegląd Sejmowy”, nr 1/1999.

odpowiedzialność dyscyplinarną sędziów za sprzeniewierzenie się zasadzie niezawisłości sędziowskiej w latach 1944-1989. Trybunał stanął na stanowisku, że także w wypadku poprawek zgłoszonych w ostatniej fazie legislacyjnej przez grupę posłów, Sejm zobowiązany jest do zasięgnięcia opinii Krajowej Rady Sądownictwa jako instytucji opiniującej projekty aktów prawnych dotyczących niezależności sądów i niezawisłości sędziów. Obowiązek konsultacji rozszerzony więc został na wszystkie etapy procesu legislacyjnego. W uzasadnieniu wyroku TK stwierdził, że materia ustawodawcza dzieli się na materie podległe „swobodnemu uznaniu ustawodawcy” i te, które mają charakter szczególny ze względu na swe znaczenie i rangę, takie jak regulacje odnoszące się do niezawisłości sędziów i niezależności sądów. „Jeżeli treścią ustawy miałyby być wprowadzenie do systemu prawa regulacji wkraczającej w dziedziny traktowane przez Konstytucję jako szczególnie niedostępne dla ustawodawcy, to takiemu naruszeniu procedury można i należy przypisać skutki poważniejsze niż w innych sytuacjach”<sup>12</sup>. Argumentacja Trybunału w istotnym zakresie ogranicza zatem autonomię parlamentu w zakresie stanowienia prawa.

Na pomniejszenie roli Sejmu jako najwyższej władzy w dziedzinie ustawodawczej wpływa także nastawienie eksperckich i legislacyjnych służb sejmowych. Politologia współczesna wskazuje na degradację parlamentów w systemach politycznych państw zachodnich, co w niemałym stopniu wynika z coraz większej roli rządu jako inicjatora prac ustawodawczych. W tym wypadku chodzi jednak o zjawisko samodegradacji Sejmu w dziedzinie stanowienia prawa. Tekst ustawy zasadniczej interpretowany jest bowiem w duchu groźby konstytucyjnej. Obawa przed uznaniem ustawy za sprzeczną z konstytucją dyktuje częstokroć propozycje w istotnym zakresie ograniczające pole swobody ustawodawcy. W czasie prac sejmowych nad ustawą o parlamentarnych komisjach śledczych uznano, że powołanie przez Komisję Śledczą pełnomocnika spoza składu Komisji pozostaje w sprzeczności z konstytucją. Ustawa ta została zaskarżona przez prezydenta Kwaśniewskiego, ale Trybu-

---

<sup>12</sup> Wyrok TK z dnia 24 czerwca 1998 r., K 3/98.

nał uznał ją za w pełni zgodną z konstytucją. Podobnie, w trakcie prac nad nowelizacją ustawy lustracyjnej, służby sejmowe poddawały w wątpliwość zgodność z konstytucją wielu jej przepisów, ale żaden z nich nie uległ dekonstytucjonalizacji. Sejm pomniejszył swoją autonomię w dziedzinie ustawodawstwa wprowadzając do swojego regulaminu możliwość odrzucenia projektu ze względu na szeroko wskazaną podstawę „sprzeczności z prawem” (art. 31 ust. 6). Właśnie na jej podstawie doszło do odrzucenia przez Komisję Sprawiedliwości i Praw Człowieka projektu ustawy o „zaostreniu odpowiedzialności karnej za przestępstwa przeciwko bezpieczeństwu obywateli”.

„Defensywna” linia TK jest sprzeczna z podstawową misją sądu konstytucyjnego. Wielu konstytucjonalistów widzi w Trybunale i kontroli konstytucyjności ustaw filar państwa prawa. Trybunał ma stać na straży konstytucyjności ustaw i z tej perspektywy oceniać ustawodawcę zwykłego. Georges Burdeau napisał niegdyś, że kontrola konstytucyjności ustaw jest w swym przedmiocie prawnicza, ale w skutkach polityczna. Zatem wypełnianie tej misji wymaga odwagi orzekania w sprawach kontrowersyjnych. Tylko aktywna postawa Trybunału i ocena ustawodawstwa z perspektywy zasad konstytucyjnych przyczyni się do odrodzenia rządów prawa w Polsce. Ucieczka przed tą misją, oddalanie orzeczeń merytorycznych pod pretekstem uprzedniego analizowania poprawności proceduralnej uchwalenia ustawy, przyniesie skutek odwrotny.

\* \* \*

Konserwatyści powinni czynnie uczestniczyć w debacie nad rozumieniem i stosowaniem konstytucji. Nie wolno zgodzić się na jej defensywną interpretację, która doprowadzi do umocnienia wad ustrojowych i kryzysu sądownictwa konstytucyjnego w Polsce. Obronie silnego sądu konstytucyjnego musi towarzyszyć ochrona autonomii parlamentu w dziedzinie stanowienia prawa. Parlament jest najpoważniejszym czynnikiem odrodzenia się rządów sprawiedliwego prawa. Udział w aktualnej debacie na temat interpretowania ustawy zasadniczej nie zwalnia nas

---

jednak od prac nad gruntowną rewizją konstytucji i precyzowania ustrojowego projektu IV Rzeczypospolitej – państwa o silnej władzy wykonawczej, praktycznie stosującego zasadę pomocniczości, skutecznie strzegącego prawa i chroniącego własność prywatną. Nowa konstytucja musi odwoływać się do pozytywnej wizji państwa i jasno definiować wartości podstawowe naszej wspólnoty politycznej.

(„Kwartalnik Konserwatywny”, nr 5, Lato 1999)



## **Czas na zmianę konstytucji**

Analitycy życia politycznego mają zwyczaj bagatelizować praktyczne znaczenie konstytucji dla ustroju państwa i jakości prawa. Przyjmują, że decydujące znaczenie mają stosunki polityczne, układ sił w parlamencie, decyzje rządu i praktyka biurokracji. Z tej perspektywy konstytucja i projekty jej zmian nie mają istotnego znaczenia politycznego.

W opinii tej tkwi ziarno prawdy. Wskazuje ona bowiem na uproszczenie światopoglądu prawniczego, który całą rzeczywistość ustrojową widzi poprzez pryzmat norm prawnych. Błąd ten jednak nie może usprawiedliwiać zachowywania konstytucji w obecnym kształcie. Bierność w tej sprawie nie wytrzymuje konfrontacji z potrzebami państwa polskiego. Żadne plany zasadniczej przemiany ustrojowej nie mogą pominąć wymiaru konstytucyjnego. Ustrojowe korzyści, które przyniosła nowa konstytucja, ustępują jej wadom i słabościom.

### **Wady i słabości**

Obecna ustawa zasadnicza poprawiła porządek ustrojowy z czasów obowiązywania małej konstytucji. Zniesienie konstytucyjnego galimatiasu związanego z istnieniem resortów prezydenckich i ustabilizowanie pozycji rządu przez wprowadzenie konstruktywnego wotum nieufności przyniosło efekt pozytywny. Jednak uchwalona przed sześcioma laty ustawa zasadnicza, ukształtowana w warunkach braku zwartej koncepcji ustrojowej i negatywnego kompromisu politycznego, nie ustanowiła wyraźnej aksjologicznej podstawy wspólnoty politycznej i pozwoliła rozwijać się istotnym wadom ustrojowym.

Tego właśnie aspektu nie dostrzegają konstytucyjni optymiści. Zdają się nie zauważać wad III RP i roli konstytucji w ich umacnianiu. Najczęściej przeciwnicy zmian w konstytucji przywołują motyw stabilności systemu prawa i powiadają, że



w pierwszej dekadzie swego istnienia nie powinna podlegać nowelizacjom. Argument ten, bliski tradycji konserwatywnego myślenia o prawie, byłby trudny do odparcia w wypadku konstytucji, która nadawałaby państwu nowy aksjologiczny i ustrojowy kształt.

Tymczasem obecna ustawa zasadnicza jest raczej wyrazem pierwszego etapu transformacji politycznej po upadku komunizmu niż plonem spójnej i ofensywnej myśli. Bronią jej te siły polityczne, z SLD na czele, które ze słabości państwa czerpią największe korzyści polityczne, a z „praw autorskich” do konstytucji – legitymację do zajmowania w nim uprzywilejowanej pozycji. Wyjątek czynią dla regulacji europejskich, które jako jedyne miałyby uzasadniać ewentualne korekty. Takie podejście jest zresztą świadectwem całkowicie instrumentalnego stosunku do ustawy zasadniczej. Zmiana konstytucji dokonana pod presją znalezienia się w Unii podważa jej autorytet jako najwyższego aktu prawnego wspólnoty politycznej.

Rewizja konstytucji powinna być aktem wewnętrznego uzdrowienia państwa, będącego reakcją na słabości ustrojowe Polski. Kryzys III RP ma głęboki i instytucjonalny charakter. Mamy rozproszone państwo, słabą władzę wykonawczą, upadek sądownictwa i prawa obywatela do sądu, wzrost egoizmów korporacyjnych kosztem dobra wspólnego. Wszystkie te zjawiska nabrały cech trwałych i mocno zadomowionych wad współczesnego państwa polskiego. Parcelacja państwa przyniosła skutek w postaci rozrostu agencji i funduszy znajdujących się poza jego kontrolą. Właściwością systemu politycznego są liczne wyłączenia i przywileje pozostające w sprzeczności z zasadą dobra wspólnego jako fundamentu wspólnoty politycznej.

Taką pozycję uzyskała – z opłakanymi skutkami dla kondycji mediów publicznych – Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. Na osobną uwagę zasługuje sądownictwo, które znalazło się właściwie poza państwem. Po roku 1989 nie przeszło żadnej istotnej reformy, a rozbudowany system przywilejów korporacyjnych, daleko wykraczający poza to, czego wymaga zasada niezawisłości sędziowskiej, doprowadził do paraliżu wymiaru sprawiedliwości. Jego kryzysowi towarzyszy załamywanie się podstawowej funkcji państwa, jaką jest ochrona bezpieczeństwa

obywateli. III RP, budowana w nieustannym proteście przeciwko państwu policyjnemu, z ultraliberalnym modelem polityki karnej, okazała się w niewielkim stopniu zdolna do egzekwowania sprawiedliwości.

### **Konstytucyjne przyczyny**

Wszystkie te wady mają swoje konstytucyjne zakotwiczenie.

Idea dobra wspólnego nie ma charakteru realnej zasady ustrojowej, która wyznacza treść całej konstytucji. Trudno w niej znaleźć oparcie dla ochrony interesu publicznego w ujęciu właściwym tradycji republikańskiej. Konstytucja padła ofiarą melanzu płytkiego liberalizmu, który definiuje zadania państwa czysto negatywnie, i socjalizmu, nakładającego na nie zobowiązania socjalne ponad realne możliwości.

W takiej sytuacji mamy z jednej strony rozproszenie państwa, z drugiej – umocnienie roszczeń, których nie jest w stanie spełnić. Negatywny kompromis przyniósł także osłabienie władzy wykonawczej. Podział kompetencji między prezydenta a premiera zachęca do nietwórczych konfliktów. Prezydent Polski, mający większe kompetencje – inicjatywa ustawodawcza, weto, liczne prerogatywy nominacyjne – niż prezydent Republiki Francuskiej, na której konstytucja w niemalym stopniu się wzorowała, w przeciwieństwie do francuskiego odpowiednika znajduje się w pozycji instytucji „nieodpowiedzialnej za politykę państwa”. Warto przypomnieć, że przed siedemdziesięciu laty Roman Rybarski pisał w rozprawie *Sila i prawo*, że prezydentura jest potrzebna po to, by opinia publiczna widziała różnicę między państwem a rządem. Różnica ta zanika w sytuacji czysto politycznego konfliktu między dwoma ośrodkami władzy wykonawczej.

Jeszcze większe znaczenie dla zaufania obywateli do państwa ma istnienie obdarzonej autorytetem władzy sądowniczej. Tymczasem konstytucyjne regulacje dotyczące sądownictwa mają charakter gwarancji korporacyjnych, a nie zasadnych praw trzeciej władzy. Uważna lektura rozdziału VIII konstytucji nie pozostawia wątpliwości, że cały wymiar sprawiedliwości znalazł się w rękach samorządu sędziowskiego. Nawet Krajowej

Radzie Sądownictwa przyznano status reprezentanta samorządu wobec państwa, a nie władzy publicznej w dziedzinie sądownictwa. W takich warunkach możliwości odbudowy cieszącej się autorytetem trzeciej władzy są bardzo ograniczone.

Konstytucja z roku 1997 nie tylko nie wzmocniła związku obywateli z państwem, ale uformowała model demokracji zablokowanej. Rewizja prawa wyborczego wymaga zmian w konstytucji, a obawa przed werdyktem obywateli legła u podstaw ułomnego uregulowania takich instytucji jak referendum z inicjatywy obywateli czy ludowa inicjatywa ustawodawcza. Obie instytucje skrojone zostały tak, by ostateczna decyzja w sprawie nadania im biegu zależała od większości parlamentarnej. Przykłady można mnożyć, słabości konstytucji są pochodną wad genetycznych – braku spójnej myśli ustrojowej i kompromisów, które często wyrażały się w gwarantowaniu partykularnych interesów kosztem państwa.

### **Potrzeba chwili**

W chwili obecnej ostry kryzys III RP wymaga stanowczych reakcji ustrojowych i konstytucyjnych. I choć każdy plan naprawy państwa ma znacznie szerszy zasięg, to jego elementem musi być zmiana ustawy zasadniczej. Plan ambitnych zmian nie zakłada ani naiwnej rewolucyjnej perspektywy, ani całościowej krytyki przeobrażeń dokonanych po 1989 roku. Przeciwnie. Punktem wyjścia do naprawy państwa powinien być pozytywny dorobek III RP – suwerenny byt państwa, odbudowa samorządu, dorobek orzeczniczy Trybunału Konstytucyjnego, gwarancje chroniące prawo do życia i prawa rodziny. Natomiast powstrzymanie ambitnych zmian pod hasłem obrony dorobku reform wzmacnia polityczny radykalizm. Polityka Samoobrony ma przecież na celu wykorzystanie kryzysu III RP do budowy stosunków politycznych całkowicie sprzecznych z wolnościową tradycją, której zawdzięczamy odzyskanie niepodległego bytu państwowego.

Dziś potrzebny jest nam systematyczny wysiłek zmierzający do odrodzenia polityki i budowy państwa, którego realnym, a nie tylko deklarowanym, celem będzie służba dobru wspólnemu.

mu. Pierwszym warunkiem naprawy jest powrót do myślenia w kategoriach interesu publicznego i całości państwa. Tylko w takich warunkach uda nam się odbudować spójne państwo z silną władzą wykonawczą, przywrócić autorytet sądownictwu, nadać nowe znaczenie służbie publicznej i odblokować obywatelską energię.

W historii ustroju Polski znane są przykłady zdominowania debaty konstytucyjnej przez płytkie interesy i doktrynerstwo. Oba motywy nieraz ze sobą sąsiadowały. Uwagę tę poczynić można nie tylko wobec prac ustrojowych prowadzonych po 1989 roku. Konstytucja marcowa, pisana przeciw Piłsudskiemu i oparta na modnej wówczas doktrynie supremacji parlamentu jako najlepszego wyraziciela woli ludu, osłabiła władzę wykonawczą. Wzmacniająca państwo konstytucja kwietniowa została z kolei wynaturzona przez następców Piłsudskiego, którzy reformę konstytucyjną połączyli z próbą zagwarantowania sobie władzy na wyłączność i eliminacji realnej opozycji.

Potrzebna jest dyskusja konstytucyjna wolna od doktrynerstwa i doraźności, stawiająca problem siły państwa w centrum uwagi. IV RP nie powstanie z wtorku na środek. Warunkiem jej budowy jest stworzenie zdrowego gruntu i stanowcze rozprawienie się z tym, co najgorsze we współczesnym ustroju Polski. Jej rozwój nie będzie możliwy przy utrzymywaniu się chorych mechanizmów ustrojowych. Umocnienie państwa jest warunkiem urzeczywistnienia najistotniejszych zadań publicznych. Ochrona bezpieczeństwa obywateli, rozwój gospodarczy, konkurencyjna edukacja – to zadania wymagające zdrowych instytucji państwowych. Jeśli ich zabraknie, prędzej czy później padają ofiarą partykularnych interesów, które biorą górę nad dobrem wspólnym.

Wyzwanie, jakim jest perspektywa rywalizacji wewnątrz Unii Europejskiej, nie pozostawia wiele czasu. Wbrew optyce płytkiego euroentuzjazmu konkurencja wewnątrz Unii w ogromnym stopniu zależy od jakości państwa narodowego. Bez rewizji konstytucji jakość Rzeczypospolitej nie ulegnie poważnej poprawie.

(„Rzeczpospolita”, 21.05.2003)



## IV RP bez konkurencji

Kierunek wyznaczony polskiej polityce przez sformułowany 10 lat temu projekt budowy IV RP jest nadal aktualny. Krytyczna ocena rządów PiS nie unieważnia idei odbudowy sprawnej władzy państwowej i przywrócenia perspektywy dobra wspólnego.

W klasycznych starożytnych tekstach poświęconych filozofii i polityce wiele miejsca zajmowało precyzyjne określenie przedmiotu dyskusji przed przystąpieniem do niej. Niestety, współczesna publicystyka bardzo daleko odeszła od dobrych wzorców stworzonych przez Greków i Rzymian, co bardzo często utrudnia debatę.

Tekst Witolda Gadomskiego *Niespodziewany koniec IV RP* („Gazeta Wyborcza” z 10-11 marca 2007), napisany z intencją rozpoczęcia debaty w kwestii przyszłości IV Rzeczypospolitej, posługuje się tym terminem w kilku znaczeniach. Raz jest to projekt ideologiczny, innym razem program wyborczy PiS-u, w kolejnym fragmencie po prostu okres rządów Prawa i Sprawiedliwości. Autor pośpiesznie ogłasza koniec IV Rzeczypospolitej i zachęca do dyskusji o tym, co nastąpi po niej.

Powiedzmy na początku, że IV Rzeczypospolita została przedstawiona jako projekt ustrojowy 10 lat przed zwycięskimi dla PiS-u wyborami i przez długi czas pozostawała poza polem programów politycznych i kampanii wyborczych. Podstawowe walory tej idei, która wciąż zachowuje aktualność, mają charakter właśnie ustrojowy. Idea powstała w kręgu Koalicji Konserwatywnej i była efektem reakcji na silną obecność balastu PRL-owskiego w porządku niepodległej Polski. W tym samym czasie PC Jarosława Kaczyńskiego przedstawiło podobną – choć nie tożsamą – ideę nowego państwa. Po wielu latach obie koncepcje spotkały się w programie PiS.

Idea IV RP – co należy wyraźnie zaznaczyć – nie ma charakteru rewolucyjnego. Przywraca ona ciągłość z polską tradycją ustrojową, i zachowuje to, co cenne po roku 1989: odbudowę samorządu terytorialnego, umocnienie pozycji Trybunału Konstytucyjnego, ochronę wolności obywatelskich. „Czwarta Rzeczpospolita nie będzie zbudowana jako całkowite zaprzeczenie Trzeciej. Będzie mogła czerpać nie tylko z jej doświadczeń, ale przejąć te instytucje, które nabrały cech nowego państwa” – pisał Rafał Matyja w tekście opublikowanym na łamach „Debaty” (*Obóz Czwartej Rzeczpospolitej*, „Debata” 1/1998). Mówimy zatem o projekcie odbudowy państwa, którego instytucje służą dobru wspólnemu, nie zaś partykularnym interesom, co oznacza konieczność głębokich zmian: uzdrowienie sądownictwa, likwidację instytucjonalnych źródeł korupcji, uwolnienie życia gospodarczego spod ograniczeń biurokratycznych.

Z oczywistych względów zwolennicy tego projektu ustrojowego musieli wystąpić przeciwko postkomunizmowi z całą gamą jego wad: oligarchizacją gospodarki, potężną rolą służb specjalnych w życiu publicznym oraz powiązaniem biznesu z administracją państwa. Wbrew czarnej legendzie, IV RP nie ma profilu autorytarnego. Zakładała ona zintegrowanie „rozparcelowanych” instytucji państwowych i w tym znaczeniu formułowała postulat umocnienia władzy wykonawczej państwa. Wypada zauważyć, że idea miała od początku charakter pełnowymiarowy i obok postulatu budowy silnej władzy państwowej, wyrażała zamiar decentralizacji, dystrybucji własności i stabilnych reguł życia gospodarczego.

Stąd za fałszywe należy uznać przeciwstawienie IV RP kanonem europejskim. W idei tej nie było nic, co uderzałoby w reguły przyjęte w państwach Europy Zachodniej. Czy postulat naprawy sądownictwa uzależnionego od władzy samorządu sędziowskiego nie byłby zrozumiany w tych krajach europejskich, w których rola ministra sprawiedliwości w dziedzinie nominacji sędziowskich i sprawności sądów jest znacznie większa niż w Polsce? Przykładowo we Francji, gdzie Naczelna Rada Sądownictwa obraduje pod kierownictwem prezydenta i ministra sprawiedliwości, a parlament nie wybiera do tego ciała ludzi reprezentujących środowisko prawnicze. Krytyka

coraz silniejszych w latach 90. mechanizmów oligarchizacyjnych w gospodarce była znakomicie rozumiana przez zachodnioeuropejskich obserwatorów. Wreszcie każdy, kto przyglądał się uważnie polskiemu życiu politycznemu, musiał dostrzec problem działania służb specjalnych poza kontrolą państwa.

Wypada zauważyć, że III RP nie wytrzymałaby krytyki z punktu widzenia klasycznego liberalizmu, gdyby ten w Polsce istniał jako silny nurt intelektualny, wolny od politycznej poprawności. Przewlekłość postępowań sądowych podważająca pewność obrotu prawnego, narastające bariery wejścia do życia gospodarczego, niskie notowania Polski w rankingu swobód gospodarczych to zjawiska, które w oczach pryncypialnych zwolenników państwa-minimum powinny uchodzić za konieczne do przezwyciężenia patologii.

Uczynienie z konieczności działań naprawczych jednego z punktów programu politycznego miało służyć nie potępieniu III RP, lecz prawdziwemu wzrostowi ustrojowemu. Tym bardziej, że reforma państwa odpowiadała wyzwaniu zbliżającej się akcesji do UE, a więc potrzebie państwa wewnętrznie sterowanego, zdolnego do aktywnego poruszania się w świecie nowoczesnych instytucji i procedur europejskich. Przeprowadzenie tej reformy nie jest aktem rewolucyjnym, lecz procesem wymagającym systematycznej pracy i wytrwałości ze strony polityków, którzy się tego trudnego zadania podjęli. Pojawiające się na ich drodze przeszkody oraz popełniane przez nich błędy nie przekreślają słuszności obranego kierunku.

Idea IV RP stała się hasłem politycznym w ostrej fazie kryzysu ustrojowego w czasach afery Rywina, gdy szerokie kręgi opinii publicznej rozumiały, że obok „ustroju oficjalnego” istnieje „ustrój realny” z niszczącymi życie publiczne mechanizmami. Polityka PiS-u była najbardziej wiarygodną i klarowną odpowiedzią na kryzys III RP. Osobiście byłem bardzo sceptyczny wobec praktyki nadużywania terminu IV Rzeczpospolitej w kampanii wyborczej, wychodząc z przekonania, że prawdziwa ustrojowa zmiana wymaga ciężkiej pracy. Jednak nie to różni mnie z Witoldem Gadomskim.

Publicysta „Gazety Wyborczej” uznaje samo założenie tej idei za błędne, rewolucyjne i destrukcyjne. Posługuje się przy



tym niezbyt zrozumiałymi analogiami do historii rewolucji socjalistycznej. I tak Bronisław Wildstein ma być wedle tej logiki postacią symboliczną dla rodzącego się rewizjonizmu, będącego wyrazem rozczarowania ideą IV RP wśród intelektualistów, którzy ją poparli w roku 2005.

„Wildstein’56” – pisze prześmiewczo Gadomski, przy okazji dość bezwzględnie obchodząc się nie tyle z byłym prezesem telewizji, co z ruchem i postaciami (Leszkiem Kołakowskim) istotnymi i ważnymi dla ideowej genealogii „GW”. Tymczasem reakcje na dymisję Bronisława Wildsteina z funkcji prezesa telewizji publicznej świadczą o sile prawicowej kultury politycznej, a nie są wyrazem rozczarowania ideą IV RP.

Dyskusja w gronie zwolenników IV RP dotyczy nie tyle odrzucenia tej idei, co sposobów jej realizacji. W tekście *W starciu z III RP* („Rzeczpospolita” z 3 marca 2007 r.) Wildstein nie pozostawia wątpliwości, że swoich poglądów nie zmienił. Dlatego fakt istnienia krytyki w obozie prawicy nie jest wyrazem frustracji intelektualistów, lecz tego, że projekt zasadniczej odnowy polskiej polityki ma o wiele szersze znaczenie i związany jest z szerszym obywatelskim przebudzeniem – z szerokim sprzeciwem wobec powrotu do praktyk III RP – aniżeli można wnioskować z licznych publikacji, sprowadzających temat do kłopotów (rzekomych lub nie) Prawa i Sprawiedliwości.

Przekonanie, że IV RP upada na naszych oczach jest raczej założeniem, niż prognozą. Nawet krytyczna ocena rządów PiS nie unieważnia wyrażonego w tej idei stanowiska ustrojowego. Czy można bagatelizować likwidację WSI, istotną reformę wymiaru sprawiedliwości i policji bądź przywrócenie odpowiedzialności państwa za ochronę narodowego Dziedzictwa? To za mało, żeby ogłosić dokonanie wielkiej zmiany ustrojowej, ale wystarczająco dużo, by mówić o likwidacji złych segmentów III RP. Zdecydowanie większe możliwości dawałaby koalicja PiS-PO. Gdyby do niej doszło, otworzyłaby się perspektywa uchwalenia nowej konstytucji dającej znacznie silniejsze podstawy dla przemian ustrojowych. Witold Gadomski zarzuca PiS-owi, że nie może doprowadzić do zmiany konstytucji, jednocześnie przypisując PO współodpowiedzialność za promocję idei IV RP w roku 2005. Te zarzuty wzajemnie się znoszą. Przycho-

---

dzą na myśl słowa Raymonda Arona: „formułując propozycję odpowiedz na pytanie co zrobiłbyś na miejscu podejmujących decyzję?”

Wiadomość o śmierci IV RP jest przedwczesna także z innego względu. Idea ta nie ma istotnej konkurencji w postaci ideowej i programowej alternatywy. Czytając wypowiedzi jej krytyków nie znajdujemy czytelnych propozycji programowych, nie ma ich również w artykule Witolda Gadomskiego. Lewica zapowiada wprost powrót do III RP, z większą dozą eksperymentów naruszających podstawy ładu społecznego, w PO brakuje pomysłów, którymi w podobnych sytuacjach wypełnione są deklaracje partii opozycyjnych w Niemczech czy Francji. Wyjątkiem są propozycje Jan Rokity wyrastające z przekonania o konieczności istotnych zmian ustrojowych. Nawet gdyby negatywna dla PiS-u prognoza wyborcza okazała się trafna, idea, o której dyskutujemy, będzie ważnym czynnikiem polskiego życia politycznego. Czynnikiem podtrzymującym projekt polityki ambitnej prowadzącej do rzeczywistego umocnienia i unowocześnienia państwa.

(„Gazeta Wyborcza”, 20.03.2007)



**Po pierwsze instytucje**



## Dobry i sprawny rząd

Możliwości dobrego rządzenia zależą w ogromnym stopniu od jakości instytucji znajdujących się w rękach tych, którym przyszło kierować państwami. Rzecz jasna historia zna liczne przypadki złych rządów w ramach dobrych instytucji. Każdy, kto śledził współczesną historię Wielkiej Brytanii, wie jak wielka różnica dzieliła gabinet Edwarda Heatha od rządów kierowanych przez Margaret Thatcher. Obydwa utworzone były przez konserwatystów, działały w tych samych warunkach ustrojowych. Rząd Heatha był rozbity wewnętrznie i uzależniony od związków zawodowych, a Thatcher narzuciła kierowanym przez siebie gabinetom dyscyplinę i spójność.

Podstawowe błędy popełnione po roku 1989 przez polskie elity polityczne wywodzące się z demokratycznej opozycji nie mogą być usprawiedliwione złym stanem instytucji państwowych. Jednak brak dobrze zorganizowanej władzy wykonawczej obniżał możliwości polityki polskiej. Dzisiejsza koalicja rządowa musi zatem posiadać plan rekonstrukcji instytucji składających się na dobry i sprawny rząd, tak, aby państwo mogło stać się sprawnym instrumentem w rękach narodu.

W roku 1989 odziedziczyliśmy właściwy modelowi radzieckiemu rząd pozbawiony podmiotowości i będący federacją resortów. Przypomnijmy, że system socjalistyczny zakładał dualizm struktur państwowych i partyjnych. Władza koncentrowała się w instancjach PZPR. Obowiązywała formuła „partia kieruje, a rząd rządzi”, co czyniło z rządu instytucję o zadaniach administracyjnych. Formuła ta w największym stopniu dotyczyła polityki zagranicznej, obrony narodowej i bezpieczeństwa wewnętrznego. W tych kwestiach partia podejmowała decyzje, a rząd był czynnikiem czysto wykonawczym. Podmiotowość rządu była większa w kwestiach ekonomicznych, ponieważ decyzje ustalano w specjalnych komitetach rządowych: Komisji Planowania i Komitecie Ekonomicznym Rady Ministrów.

Zwierzchność partii nad rządem gwarantowała swoista unia personalna. W latach 1952-54 stanowiska Prezesa Rady Ministrów i I sekretarza KC PZPR znajdowały się w rękach tej samej osoby. Sytuacja ta powtórzyła się w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych. Zawsze pozycję Prezesa RM wzmacniało członkostwo w Biurze Politycznym KC PZPR. Trzeba też wspomnieć o wspólnych posiedzeniach Prezydium RM i BP KC PZPR, które miały istotne znaczenie w podejmowaniu decyzji politycznych. Niezwykle ważna dla relacji między partią a rządem była polityka kadrowa prowadzona przez partię komunistyczną. W poszczególnych ministerstwach funkcjonowały komórki PZPR, które decydowały o obsadzie stanowisk.

Konstytucja z 1952 roku odrzucała zasadę podziału władz. Władza państwowa miała być jednolita, a z formalno-konstytucyjnego punktu widzenia za najwyższy organ władzy uznawany był Sejm. W myśl przepisów konstytucyjnych rząd stanowił podporządkowany Sejmowi „naczelnny organ wykonawczo-zarządzający”. Istotne było jednak praktyczne zwierzchnictwo partii komunistycznej nad rządem. W takich okolicznościach powołanie rządu przez Sejm nie było aktem stworzenia koalicji partyjnej wokół desygnowanego kierownika rządu i jego programu, bo koalicja ta istniała niezależnie od rządu, powołana wcześniej na mocy decyzji PZPR i jej sojuszników.

Stosunki partii i rządu uległy pewnej zmianie w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Pozycja ostatniego rządu przed upadkiem komunizmu, kierowanego przez Mieczysława F. Rakowskiego, charakteryzowała się większym zakresem autonomii politycznej względem PZPR. Była to jeszcze jedna konsekwencja kryzysu państwa komunistycznego i przerwania odpowiedzialności za jego skutki poza partię. Osobnym problemem jest wzrost znaczenia MSW i służb specjalnych w hierarchii instytucji państwowych.

Rok 1989 dawał szansę odbudowy demokratycznego i skutecznego państwa. Zlikwidowany został dualizm partii komunistycznej i instytucji państwowych. Jednak w pierwszych latach po upadku komunizmu nie dokonano zmian ustrojowych dających skuteczną władzę wykonawczą. Jej pozycja jak i kształt całego systemu politycznego były funkcją zmieniających się

kompromisów politycznych, nie zaś świadomych decyzji konstytucyjnych.

Umowy „okrągłego stołu” przyniosły hybrydowe rozwiązania: prezydenturę o szerokich kompetencjach i parlament zachowujący uprawnienia wynikające z przepisów konstytucji 1952 roku. Umowy zakładały m.in., że prezydent będzie pełnił rolę stabilizatora kontraktu politycznego i gwaranta interesów PZPR. Zapisany w ustawach model okrągłostołowy właściwie nie został nigdy zrealizowany.

Wysokie zwycięstwo odniesione przez komitety obywatelskie „Solidarności” nie tylko otworzyło drogę do władzy obozowi dawnej opozycji, ale także ukształtowało pozycję ustrojową prezydenta i rządu. Rząd Tadeusza Mazowieckiego pomimo względnie szczupłych kompetencji konstytucyjnych stał się kluczową instytucją systemu politycznego. Wolno nawet wysunąć tezę, że nie został powołany w trybie parlamentarnym. Rola parlamentu ograniczyła się do zatwierdzenia decyzji o jego utworzeniu i składu Rady Ministrów zaproponowanego przez premiera Mazowieckiego.

Gabinet Mazowieckiego stworzony został w drodze jego autorskich decyzji i ta właśnie okoliczność decydowała o jego spójności. Natomiast w parlamencie nie istniała większość działająca na rzecz rządu. Jego podstawa parlamentarna miała charakter negatywny, ponieważ kontraktowy parlament nie dysponował pełnym mandatem i nie mógł w praktyce wyegzekwować odpowiedzialności politycznej rządu. Podobny status miał gabinet kierowany przez Jana Krzysztofa Bieleckiego, z tą jednak różnicą, że faktycznie istniał on jako rząd prezydencki, powołany i nadzorowany przez Lecha Wałęsę.

Brak autentycznych reform konstytucyjnych bardzo szybko przyniósł negatywne rezultaty w postaci niestabilności i nieskuteczności władzy wykonawczej. Uchwalone wiosną 1991 roku prawo wyborcze premiowało małe partie i otworzyło drogę do rozbitcia politycznego parlamentu. Sejm I kadencji wybrany w październiku 1991 roku nie posiadał zdolności do wyłonienia stabilnej większości rządowej.

Zatem pierwsze dwa niekomunistyczne gabinety Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego działały w wa-



runkach braku istnienia większości rządowej w parlamencie. Pierwszy z nich do jesieni 1990 roku dysponował poparciem parlamentu dla swoich decyzji politycznych i ustawodawczych. W okresie od jesieni 1990 roku do wyborów parlamentarnych w roku następnym Sejm blokował decyzje rządu. Gabinet Bieleckiego w rzeczywistości administrował, a nie rządził.

Rządy Jana Olszewskiego i Hanny Suchockiej wyłonione zostały przez parlament, ale o ich słabości decydował mniejszościowy charakter. W przypadku rządów Suchockiej dodatkowym czynnikiem osłabiającym siłę gabinetu była jego swoista „niepolityczność”. Większość rządową tworzyła koalicja złożona z siedmiu partii politycznych. Przywódcy najsilniejszych partii rządzących znaleźli się poza rządem, co faktycznie doprowadziło do wytworzenia się procedury uzgadniania ważnych decyzji przez dwa gremia – Radę Ministrów i liderów partyjnych. Ważne kwestie, takie jak akceptacja budżetu czy ustawy podatkowe, rozstrzygane były w obu gremiach. Wydłużało to procedurę podejmowania decyzji. Kierownictwo rządu poszukiwało metody obejścia tej sytuacji w postaci uzyskania zgody sejmu na wydawanie przez RM rozporządzeń z mocą ustawy. To jednak również okazało się niemożliwe ze względu na rosnący konflikt w samej koalicji rządowej.

Słabość władzy wykonawczej pogłębiała też praktyka ustrojowa prezydentury Lecha Wałęsy. Prezydentura ta nie została oparta na żadnych założeniach merytorycznych. Wałęsa odrzucił konieczną w warunkach sytemu prezydencko-parlamentarnego współpracę z reprezentowanymi w parlamencie siłami politycznymi w okresie 1991-1993, gdy nie istniały żadne merytoryczne i polityczne przeszkody takiej współpracy. W tamtych latach współdziałanie z większością parlamentarną mogło powstrzymać ekspansję sił postkomunistycznych i owocować istotnymi reformami o znaczeniu ustrojowym. Wałęsa jednak wybrał autonomiczny model sprawowania władzy bez współpracy z większością parlamentarną, a często w konfrontacji z nią (np. z rządem Jana Olszewskiego). Prezydent próbował także nadzorować politykę rządu poprzez ministrów kierujących tzw. resortami prezydenckimi i poprzez ingerencję w działalność administracji rządowej. W sprawowaniu władzy oparł się

na jej twardych elementach – wojsku i służbach specjalnych, które uczestnicząc w konfliktach między centralnymi instytucjami państwa, uzyskały status autonomiczny. Wszystkie te okoliczności uderzały w spójność rządu i dezintegrowały jego instytucje.

Ważna zmiana zaszła wraz z uchwaleniem w roku 1993 nowej ordynacji wyborczej do Sejmu. Ordynacja ta była ostatnią decyzją parlamentu wybranego w 1991 roku. Ta ostatnia decyzja Sejmu I kadencji dawała podstawy stabilizacji systemu politycznego poprzez wprowadzenie progów wyborczych i preferującego duże partie mechanizmu obliczania wyników w okręgach. Sejm wybrany we wrześniu 1993 roku według przepisów nowej ordynacji po raz pierwszy od upadku komunizmu okazał się zdolny do wytworzenia stabilnej większości rządowej. Raz jeszcze potwierdziła się teza, że elementarnym warunkiem stabilności rządów jest skoncentrowana struktura polityczna parlamentu. Praktyka polityczna ostatnich trzech lat potwierdza również tezę, że koalicja rządowa SLD-PSL zachowuje możliwość sprawowania władzy przez okres całej kadencji, a zmiany rządów wewnątrz niej były powodowane nadzwyczajnymi okolicznościami.

Stabilność rządów nie rozwiązała jednak problemu sprawności i spójności władzy wykonawczej. Nadal niejasne pozostają relacje między dwoma jej segmentami: prezydenckim i rządowym. Utrzymana też została „federacyjna” struktura rządu, utrudniająca prowadzenie spójnej polityki.

Mała konstytucja nie usunęła możliwości występowania konfliktu ustrojowego między prezydentem a rządem. Pole sporu znajdowało się na obszarze instytucji bezpieczeństwa narodowego, a niejasny status resortów prezydenckich przyczyniał się do utrzymywania stanu konfliktu. III RP pozostanie na długi czas państwem o ustroju prezydencko-parlamentarnym. Fale „parlamentarne” i „prezydenckie” są niejako wpisane w logikę tego ustroju. Nie można jednak dopuścić do tego, by konstytucja sprzyjała antagonizmowi między dwoma członami władzy wykonawczej.

Poważną wadą ustrojową jest również brak instytucji centrum rządu. Rząd pozostaje federacją ministerstw, nie zaś in-

stytucją prowadzącą wspólną politykę. Premier nie dysponuje prawnymi i instytucjonalnymi możliwościami narzucenia jednolitej polityki całego gabinetu. Taka „federacyjna” struktura rządu przynosi złe skutki wszędzie tam, gdzie konieczna jest koordynacja działań kilku resortów. Dobrym przykładem jest rozległa sfera stosunków międzynarodowych. Mieliśmy tu do czynienia z sytuacją podejmowania decyzji rządowych poza Ministerstwem Spraw Zagranicznych przez konkurujące z nim urzędy – Ministerstwo Obrony Narodowej i Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą. W listopadzie 1994 roku, a więc w okresie, w którym funkcję premiera sprawował Waldemar Pawlak, tekst umowy o współpracy wojskowej z Rosją przygotowywany był przez MON i MWGzZ, bez wiedzy MSZ. Kluczowe dla Polski posunięcie tworzone było zatem w oderwaniu od całokształtu polityki rządu. Dezintegracja rządu ułatwiała także zjawisko „prywatyzacji” państwa, tzn. budowania instytucji takich jak Korporacja Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych czy Agencja Rozwoju Gospodarczego, które w praktyce służyły okężnemu finansowaniu partii rządzących.

Istotnym ograniczeniem władzy premiera jest jego stosunkowo niewielki udział w kształtowaniu projektu ustawy budżetowej. Głównym autorem budżetu pozostaje nadal minister finansów, a właściwie biurokracja tego ministerstwa. Budżet opracowywany jest poza premierem. Kancelaria Premiera nie dysponuje biurem finansowym i nie nadzoruje prac nad budżetem, i dopiero w ostatniej fazie zostaje on przedłożony Radzie Ministrów. W tym momencie zaczyna się dyskusja wewnątrz rządu o korektach do projektu opracowanego przez Ministerstwo Finansów. Na brak spójności rządu w pracach budżetowych wskazywał Hubert Izdebski: „cele i priorytety określa aparat podległy Ministrowi Finansów, który następnie w dużej mierze samodzielnie ustala projekt, bez wystarczających uzgodnień, a w ich braku – arbitrażu. Na Radę Ministrów projekt trafia tak późno, że jest ona zmuszona przyjąć go w proponowanej wersji, najwyżej z nieznacznymi korektami. W rezultacie możliwe jest to, co zdarzyło się nie po raz pierwszy w końcu 1992 roku, że niektórzy członkowie rządu kwestionują nawet przed Sejmem, określone postanowienia ustawy budżetowej –

co nie powinno mieć miejsca przy prawidłowej procedurze”<sup>1</sup>. Trzeba dodać, że rozbitcie rządu w sprawach budżetu miało miejsce także po roku 1993, a zatem w okolicznościach, gdy rząd koalicji PSL i SLD posiadał pewną i stabilną większość. Zatem budżet i – szerzej – polityka finansowa państwa nadal będą funkcją interesów silnych resortów. Nie obowiązują w praktyce żadne priorytetowe wydatki i zadania państwa. Mamy zatem do czynienia z sytuacją dezintegracji rządu tam, gdzie chodzi o finansowy wymiar polityki państwa.

W takich okolicznościach nie może powstać, jak formułuje to Michał Kulesza, administracja na rzecz polityki państwowej: „Nie ma właściwie reguły, jakie funkcje mają spełniać ministerstwa, a jakie urzędy i instytucje administracji centralnej. W rezultacie ministerstwa w większości pełnią funkcje wykonawcze administracji publicznej, a obsługi administracyjnej wobec polityki państwowej, którą mają prowadzić ministrowie i rząd, nikt nie sprawuje. Nie ma w Polsce wykwalifikowanego aparatu administracyjnego polityki państwowej”.

Nie zmieniła tej sytuacji reforma centrum rządu przeprowadzona przez koalicję SLD-PSL. Polegała ona na reorganizacji istniejących resortów w bardziej sterowaną strukturę. Tymczasem ominięto podstawowe zadanie, jakim jest dostosowanie całego centrum państwa do jego nowych zdań i nowych wyzwań. Utrzymano podstawowe wady konstrukcji centrum państwa.

Przed wszystkim reforma w wykonaniu lewicy nie przywróciła silnego centrum rządu. Premier nie uzyskał prawnych i organizacyjnych możliwości narzucania spójnej polityki całej RM. Wśród szczegółowych kompetencji przysługujących mu w ramach koordynowania i kontrolowania prac członków RM nie ma takich, które dają możliwość egzekwowania dyscypliny politycznej. Zasada, że premier ustala w drodze rozporządzenia zakres działania ministrów „nie wymienionych w konstytucji”, w rzeczywistości okazuje się martwa, skoro kompetencje klu-

---

<sup>1</sup> *Materiały reformy administracji publicznej. Funkcjonowanie i aparat Rady Ministrów i Prezesa RM*, red. H. Izdebski, Warszawa 1993, s. 18.

czowych ministrów określone są sztywno przez konstytucję i same ustawy uchwalone w ramach reformy. Również tryb podejmowania decyzji przez rząd wyznacza premierowi rolę osoby kierującej pracami, pierwszego pośród równych. Ustawa o organizacji i trybie prac Rady Ministrów oraz o zakresie działania ministrów w art. 21 stanowi, że Rada Ministrów „podejmuje rozstrzygnięcia w drodze uzgodnienia”. W przypadku braku consensusu uruchamiana jest procedura głosowania w trybie większości zwykłej. Premier może być przegłosowany, ponieważ nie przysługuje mu prawo weta w stosunku do decyzji ministrów.

Premier pozbawiony jest możliwości decydowania o pracach nad projektem budżetu. Lewica zachowała to, co można nazwać „dyktaturą Ministerstwa Finansów”. Zachowanie tej „dyktatury” pociąga za sobą utrzymanie centralizmu i biurokracji resortowej. Dziś w gestii administracji centralnej znajduje się 90% wydatków publicznych. Centralizm finansów publicznych prowadzący do marnotrawstwa jest na dłuższą metę obciążeniem dla państwa i rządu.

Mamy zatem do czynienia z sytuacją, w której prawo wyborcze sprzyja stabilności rządu, ale brak jest konstytucyjnych i instytucjonalnych przesłanek jego spójności i sprawności. Zadaniem obozu skupionego wokół AWS i UW jest dokonanie autentycznej reformy władzy wykonawczej, tak, aby umożliwiła ona pożyteczne rządzenie. Reforma powinna doprowadzić do:

a) wyposażenia premiera w kompetencje rzeczywistego szefa egzekutywy i odbudowy centrum rządu. Premier powinien mieć prawo do narzucania jednolitej linii polityki swojego gabinetu. Polityka budżetowa państwa musi być dziełem całego rządu. Projekt budżetu powinien być funkcją przyjętych priorytetów, a premier powinien poprzez podległe mu biuro budżetowe nadzorować szczegółowe międzyresortowe uzgodnienia dotyczące wydatków budżetowych. Po przesłaniu projektu budżetu do parlamentu, budżet musi być broniący solidarnie przez wszystkich ministrów. Następstwem tej zmiany będzie zniesienie „dyktatury Ministerstwa Finansów”, która narzuca premierowi i Radzie Ministrów stanowisko w sprawach polityki finansowej państwa.

b) decentralizacji państwa i ograniczenia rządowej administracji specjalnej, która znajduje się poza kontrolą wojewody – reprezentanta rządu w terenie. Złamanie centralizmu odciąży rząd i podległą mu administrację od zadań, które powinien realizować samorząd terytorialny. Zarazem umożliwi mu skoncentrowanie się na wykonywaniu podstawowych funkcji państwa, takich jak wymiar sprawiedliwości, bezpieczeństwo wewnętrzne, polityka zagraniczna i obronna.

Doświadczenia ustrojowe Czech i Węgier przemawiają za dokonaniem pełnej reformy. Praktyka ustrojowa wskazuje na to, że systemy polityczne naszych południowych sąsiadów okazały się bardziej stabilne i skuteczne. Wspólnym elementem czeskich i węgierskich rozwiązań ustrojowych jest prawo wyborcze sprzyjające formowaniu stabilnej większości i wybór demokracji parlamentarnej z jednolitą egzekutywą, co rzecz jasna eliminuje zachodzące w Polsce konflikty między segmentami władzy wykonawczej. Poza tym zachodzą jednak poważne różnice. W Republice Czeskiej siła rządu zależy w ogromnym stopniu od osobistej pozycji premiera Vaclava Klause, a więc od okoliczności, która z natury rzeczy może ulec zmianie. Z punktu widzenia konstytucji premier jest jedynie przewodniczącym kolegialnie działającego rządu. Czeska demokracja parlamentarna nie jest wyposażona w racjonalizujące ją mechanizmy, takie jak konstruktywne wotum nieufności. Rząd pozostaje także w wymiarze swej wewnętrznej organizacji federacją resortów. Póki koalicja centroprawicowa dysponowała poparciem stabilnej większości parlamentarnej, wydawało się, że brak konstytucyjnych i instytucjonalnych czynników siły rządu nie ma większego znaczenia. Po ostatnich wyborach, gdy rząd Klause ma charakter mniejszościowy, nieobecność tych czynników przeszkadza w rządzeniu.

Inaczej przedstawia się sytuacja rządu na Węgrzech. System polityczny Węgier przyjął rozwiązania bliskie modelowi niemieckiemu. Konstruktywne wotum nieufności stabilizuje rząd i wzmacnia pozycję premiera. Wielkie znacznie miała także przeprowadzona z inicjatywy samego Jozefa Antalla reforma centrum rządu na wzór kanclerski. Na Węgrzech zatem konstytucja i nowe instytucje umacniają siłę władzy wykonawczej tak,

że może ona sprawnie pracować bez względu na rozkład sił politycznych. Powinniśmy pójść właśnie tą drogą.

(„Biuletyn Grupy Windsor”, Warszawa 1997)

## **Prawdziwa batalia o kształt państwa**

Gdyby zapytano uważnych obserwatorów, jakie jest największe osiągnięcie odrodzonego po 1989 roku państwa polskiego, większość z nich wskazałaby zapewne działalność samorządów terytorialnych. Gdyby to samo pytanie postawiono w sondażu opinii publicznej – odpowiedź taka znalazłaby niewątpliwie poparcie niewielu osób. Jeden z najważniejszych składników Rzeczypospolitej pozostaje nadal niedoceniany. Jest to – dodajmy – składnik zbudowany od początku do końca zgodnie z ustrojową logiką nowego państwa, nie noszący na sobie zbyt wielu znamion instytucji PRL. Jest to składnik angażujący w swoje funkcjonowanie kilkadziesiąt tysięcy polityków lokalnych – radnych i członków zarządów – oraz znacznie szerszą grupę urzędników i pracowników komunalnych.

Duże kampanie wyborcze – parlamentarne czy prezydenckie – toczą się zwykle pod dyktando krytycznych opinii o gospodarce, systemie władzy, czy o społecznych konsekwencjach wprowadzanych zmian. Ta negatywna strona kampanii przesłania niezwykle ważny element programu każdej z walczących o poparcie stron: wskazanie tego, co należy chronić i wzmacniać. Przykładowo: koalicja SLD-PSL chroni ukształtowany w minionych latach system powiązań nieformalnych zwany kapitalizmem politycznym, wspiera anachroniczny model szkolnictwa czy nadmiernie obciążający gospodarkę i budżety rodzinne system podatkowy.

Polska prawica powinna – u progu kampanii prezydenckiej – sformułować nie tylko wyraźną, krytyczną ocenę rządów Pawlaka i Oleksego, ale także wskazać zjawiska pozytywne i godne politycznego wsparcia. Jestem rzecznikiem poglądu, że wskazanie samorządu terytorialnego jako największego sukcesu minionych lat, a zarazem największej szansy na dalszą przebudowę i realną dekomunizację struktur państwa będzie mocnym



atutem programowym prawicy. Nie ulega bowiem wątpliwości, że

### **wiele negatywnych zjawisk,**

o których mówimy od kilku lat, można zwalczyć tylko po przeprowadzeniu skutecznej decentralizacji. Przykładowo: wprowadzenie samorządowych powiatów odbierze władzy centralnej sporą część kompetencji i środków finansowych i zapewni skuteczniejsze wykorzystanie publicznych środków przeznaczonych na politykę społeczną, funkcjonowanie sektora usług publicznych.

Takiej propozycji programowej zarzuca się niekiedy to, że jej beneficjentami będą wszystkie ugrupowania polityczne uczestniczące we władzach lokalnych. Zgoda, ale reforma powiatowa – czy, szerzej, reforma administracji publicznej przekazująca kompetencje centrum władzom lokalnym – będzie zbliżać model państwa do ustrojowej wizji polskiej prawicy.

Jest to wizja odwołująca się do formułowanej przez nauczanie społeczne Kościoła zasady pomocniczości, która każe lokować maksimum kompetencji na jak najniższym poziomie. Jest to wizja czerpiąca z programowego dorobku zachodniego konserwatyizmu, prowadzącego dziś walkę z rozbudowaną do granic państwową biurokracją. Jest to wreszcie wizja radykalnego zerwania z dziedzictwem PRL, państwa, w którym samorząd terytorialny w jego dzisiejszej postaci byłby największą herezją.

Nie będę zatem zaniepokojony, gdy program przekazywania kompetencji wielkim miastom czy tworzenia powiatów zostanie poparty przez burmistrza z SLD czy wójta z PSL. Cała bowiem grupa polityków samorządowych jest w pewnym sensie programowym

### **sojusznikiem prawicy**

w jej dążeniu do przebudowy ustroju Rzeczypospolitej. Odnoszą się oni nieufnie do prawicy rozumianej jako obóz polityczny, krytycznie oceniając jej nieskuteczność i brak szerokiego,

odpowiadającego potrzebom Polski programu. Ta nieufność może jednak zostać przewyciężona.

Po pierwsze dlatego, że negatywny stosunek obu rządów lewicowej koalicji do reformy powiatowej pozbawił elity samorządowe wszelkich złudzeń.

Po drugie dlatego, że właśnie w wyborach samorządowych prawica potrafiła zachować się racjonalnie i stworzyła koalicje dające jej pozycję jednej z trzech głównych sił politycznych w miastach.

Po trzecie dlatego, że nie jest ona zainteresowana politycznie utrzymaniem dotychczasowej dominacji władz centralnych nad lokalnymi. Przeciwnie – uważa centralizm za źródło wielu patologii w polskim życiu publicznym.

Sojusz elity samorządowej z polską prawicą ma zatem długofalową perspektywę: przynajmniej do czasu, kiedy obecna proporcja podziału władzy między centrum a wspólnoty lokalne wynosząca 9:1 nie zmieni się na 7:3 czy 6:4.

Jeszcze półtora roku temu liczni politycy samorządowi upatrywali swego sojusznika przede wszystkim w Unii Demokratycznej, a potem w Unii Wolności. Działo się to w sytuacji, gdy Unia jako jedyna wprowadziła sporą liczbę posłów do parlamentu, zaś los prawicy pozostawał niepewny. Dziś jest jasne, że

### **Unia sama nie jest w stanie obronić**

losów reformy powiatowej ani nawet znacznie skromniejszego programu pilotażowego. Co więcej, jasne jest, że nie potrafiła stworzyć skutecznego sojuszu parlamentarnego w tej sprawie.

Dziś warunkiem trwałego sojuszu prawicy i środowisk samorządowych jest również elementarna skuteczność polityczna. Poparcie w wyborach prezydenckich Adama Strzembosza, jedynego silnego kandydata o jednoznacznej sympatii dla programu decentralizacji, jest ważnym atutem. Jeżeli jednak liderzy samorządowi zachowają się wobec tej kandydatury biernie, to atut ten nie zostanie wykorzystany.

Drugim istotnym krokiem powinno być stworzenie forum wymiany poglądów elity samorządowej i czołówki politycznej

polskiej prawicy. Z własnego doświadczenia wiem, że diagnoza sytuacji politycznej, a zwłaszcza stanu państwa i zagrożeń dla interesu publicznego, jest w większości wspólna i stanowi dobry punkt wyjścia dla wystąpień publicznych w sprawach o charakterze ustrojowym, nie ograniczających się do zagadnienia władzy lokalnej.

Kadry samorządowe – zwłaszcza te z doświadczeniem z pierwszej kadencji – są bowiem dziś najlepiej przygotowanym do sprawowania władzy segmentem elit politycznych. Mają dobrze wykształcone wycucie realiów i potrzeb rozmaitych grup społecznych, a zarazem poczucie odpowiedzialności, którego czasami brakuje na szczeblu ogólnopolskim.

Od tego, czy siły polityczne działające na szczeblu centralnym będą w stanie dostrzec i spożytkować ten potencjał, zależy zatem nie tylko los ich samych, ale także w znacznym stopniu kształt polskiej demokracji.

Po roku 1989 funkcjonował mit ścierania się nowych, nie przygotowanych do rządzenia elit, z fachowcami dawnego systemu. Dziś naprzeciwko peerelowskich fachowców z czerwonymi i zielonymi legitymacjami stoi spora rzesza ludzi, którzy mają już doświadczenie w sprawowaniu władzy, wśród nich szczególnie liczna grupa o doświadczeniu samorządowym.

Jeśli dzisiejsza opozycja powróci do władzy, to w swoim własnym interesie powinna utworzyć rząd oparty nie tylko na rachunku wpływów poszczególnych partii, ale także uwzględniający doświadczenie elit samorządowych.

Pięć lat temu – w maju 1990 roku – Polska nie zmieniła swego oblicza, ale uzyskała w postaci samorządu lokalnego poważny fundament dla demokracji i siły instytucji państwowych. Podczas niedawnego konfliktu między prezydentem i parlamentem na lewicy odezwało się wielu zwolenników i obrońców demokracji. Trudno uznać to za przywiązanie do zasad, skoro rządząca lewica ponosi odpowiedzialność za naruszenie elementarnych praw samorządów terytorialnych.

Podważanie budżetów gminnych (nałożenie na gminy obowiązku wypłaty dodatków mieszkaniowych bez zabezpieczenia odpowiednich środków pieniężnych) i niszczenie autorytetu władz lokalnych wyrządza szkodę nie mniejszą niż ostre

---

konflikty między centralnymi instytucjami władzy. Stabilne demokracje opierają się na ciałach pośredniczących, w ogromnej mierze na samorządach terytorialnych. To one są źrenicą demokracji i fundamentem nowego państwa. Kto nie wierzy, niech przeanalizuje modele ustrojowe państw powstałych na gruzach ZSRR.

(„Rzeczpospolita”, 02.05.1995)



## **Nie wolno zgodzić się na kompromis**

Program reformy państwa przedstawiony przez rząd premiera Jerzego Buzka może przynieść wielką i pożyteczną zmianę ustrojową. Jej główny sens nie polega na obronie praw społeczności lokalnych czy też technicznych przesunięciach kompetencyjnych, ale na fakcie, że dobra organizacja państwa będzie zasadniczym atutem pomnażającym nasz potencjał narodowy.

Decentralizacja państwa może zmienić Polskę w stopniu większym, niż się tego wszyscy spodziewamy. Piszę: może – ponieważ powodzenie będzie zależało od woli budowy nowego państwa i determinacji rządzącej koalicji. Zmiana ustrojowa będzie możliwa wtedy, gdy w praktyce zostanie zakwestionowany centralistyczny model ustrojowy. Polska jest krajem scentralizowanym, w rękach administracji rządowej znajdują się kompetencje o charakterze lokalnym i blisko dziewięć część środków publicznych.

### **Przeciw marnotrawstwu**

Stałym elementem ustroju jest również dezintegracja państwa, to znaczy hegemonistyczna pozycja specjalnych administracji będących praktycznie poza kontrolą premiera i wojewodów. W sytuacjach trudnych, takich jak klęska żywiołowa, brak silnego samorządu i dużych województw przekreśla możliwość skutecznej reakcji państwa w skali regionalnej. W zwykłym czasie centralizm owocuje słabością państwa i marnotrawstwem. Rekordy w tym względzie bije administracja specjalna – z trzykrotnym wzrostem zatrudnienia w ciągu ostatnich kilku lat i wydłużonym obiegiem pieniądza publicznego. Trzeba też powiedzieć, że centralizm umacnia inne wady polskiego życia publicznego: korupcję, kapitalizm polityczny, klientowski model relacji państwo-obywatel. Zjawiska te nie byłyby tak powszechne, gdyby nie możliwość niekontrolowanego dyspono-

wania przez biurokrację rządową tak wielką częścią wydatków publicznych.

### **Interes Polski, a nie Unii**

Reforma ma usunąć wewnętrzne wady ustroju naszego kraju. Wbrew uproszczonym opiniom nie jest ona pochodną uczestnictwa Polski w Unii Europejskiej. Powiat czy region nie stanowią jakiegoś europejskiego kanonu. Wśród krajów UE jest na przykład Francja, której profil ustrojowy ma zdecydowanie centralistyczne oblicze. To w interesie Polski, a nie Unii Europejskiej leży przeprowadzenie zmian ustrojowych tworzących skuteczne i oszczędne państwo. Taki jest właśnie prawdziwy sens odbudowy samorządowych powiatów i dużych województw.

Aby to się powiodło, zmiana ustrojowa musi być pełna. Nie wolno zgodzić się na kompromis polityczny utrzymujący przywileje administracyjne dawnych województw czy też pozostawienie uprzywilejowanej pozycji niektórych administracji specjalnych. Z tego punktu widzenia zaniepokojenie budzi opóźnienie prac nad nową ustawą kompetencyjną i zawarta w projekcie ustawy o administracji rządowej w województwie możliwość powoływania wicewojewodów o terytorialnym, to znaczy pokrywającym się z obszarem likwidowanych województw, zakresie kompetencji.

Wreszcie wypada przyznać rację tym, którzy żądają szybkich decyzji w sprawach finansowych, ponieważ w ostatecznym rachunku to prawnofinansowe regulacje będą wyznaczały pozycję nowych instytucji. Wszystkie te okoliczności skłaniają jednak do przyspieszenia prac parlamentarnych nad odbudową powiatów i silnych województw, nie zaś do ich wstrzymywania. W wypadku reform o ustrojowym znaczeniu parlament z reguły odgrywa rolę czynną i ma możliwość skorygowania błędów popełnionych przez rząd. Wypada zauważyć, że odbudowa gmin w roku 1990 odbyła się z inicjatywy Senatu I kadencji, a presja parlamentu stanowiła w tej sprawie czynnik ważniejszy niż stanowisko rządu Mazowieckiego. Nic nie stoi na przeszk-

dzie, by obecny parlament ponownie stał się głównym aktorem zmian ustrojowych.

Wbrew opiniom oponentów reformy nie ma sprzeczności między decentralizacją a siłą państwa. Ci, którzy widzą w projektowanych zmianach spełnienie głoszonych przed kilkunastu laty koncepcji Samorządnej Rzeczypospolitej, popełniają błąd o fundamentalnym znaczeniu. Wtedy chodziło o samorządową kontrolę nad instytucjami obcego państwa. Aktualna reforma ma przynieść nowe państwo z silnym samorządem i ze spójnym centrum. Decentralizacja ma odchudzić centrum ze zbędnych zadań i funkcji oraz zintegrować władzę wykonawczą wokół premiera. Należę do tej grupy polityków, którzy nie bagatelizują wysuwanych przez grupę posłów reprezentowanych przez Jana Łopuszańskiego zarzutów podnoszących kwestię osłabienia jedności organizmu państwowego.

### **Rozbite centrum, słaby samorząd**

Nie mogę zgodzić się jednak z zawartą w ich argumentacji sugestią, że państwo polskie w obecnym kształcie jest silne i spójne. Słabość ustrojowa Polski ma podwójny charakter, mamy bowiem i słaby samorząd, i rozbite między resorty centrum państwa. Rząd pozostaje federacją ministerstw, nie zaś instytucją prowadzącą wspólną politykę. Premier nie dysponuje prawnymi i instytucjonalnymi możliwościami narzucania jednolitej polityki całemu gabinetowi. Istotnym ograniczeniem władzy premiera jest jego niewielki udział w kształtowaniu projektu ustawy budżetowej. Federacyjna struktura rządu przynosi fatalne skutki wszędzie tam, gdzie jest konieczna koordynacja działań kilku resortów. Dotyczy to szczególnie obszaru bezpieczeństwa narodowego, w którym mamy do czynienia ze stałą konkurencją między poszczególnymi ośrodkami władzy wewnątrz samego rządu. Resortowy charakter rządu jest także źródłem słabości wojewodów i dezintegracji państwa na szczeblu terytorialnym.

A zatem nie ma sprzeczności między decentralizacją a spójnością państwa. Wręcz przeciwnie, zerwanie z centralizmem stanowi warunek odbudowy silnej władzy państwowej na tery-



torialnej podstawie. Dopiero przełamanie dominacji resortów pozwoli rządowi odzyskać możliwość podejmowania i kontrolowania decyzji, a wojewodzie stać się rzeczywistym reprezentantem rządu w terenie.

Utrzymywanie ustrojowego *status quo* wystawia nas na niebezpieczeństwo powiększania się cywilizacyjnego dystansu między Polską a naszymi zachodnimi sąsiadami. Jeśli wskazujemy na problem dysproporcji między potencjałami Dolnego Śląska, Pomorza Zachodniego i wschodnich landów Niemiec, to trzeba wyraźnie stwierdzić, że jej zmniejszenie okaże się niemożliwe bez radykalnych zmian ustrojowych. Także i z tego względu potrzebujemy nowego zreformowanego państwa.

(„Rzeczpospolita”, 19.02.1998)

## **Sejm w państwie prawników, czyli jak nie wylać dziecka z kąpielą**

W wypowiedziach przedstawicieli świata prawniczego głoszony jest ostatnio pogląd, że warunkiem podniesienia jakości naszego prawa jest ograniczenie wpływu parlamentu i polityków na przygotowanie projektów aktów prawnych. Poglądy te, choć wynikają z troski prawników o prawo, zwracają się przeciwko demokratycznemu państwu prawa i mają niewiele wspólnego z prawdziwymi źródłami kryzysu prawa w Polsce.

W czasie zorganizowanej w ubiegłym roku pod auspicjami Trybunału Konstytucyjnego konferencji poświęconej tworzeniu prawa, parlament został postawiony w roli głównego winowajcy odpowiedzialnego za wady porządku prawnego w Polsce. Proponowany przez uczestników konferencji plan sanacji polega na powołaniu silnego Centrum Legislacyjnego Rządu i ograniczeniu wpływu Sejmu i Senatu na kształt uchwalanych ustaw. Szczególnym ograniczeniom powinno podlegać prawo do zgłaszania zmian i poprawek w trakcie procesu legislacyjnego.

Narzekanie na jakość prawa w Polsce stało się już rytuałem spotkań prawników i innych „profesjonalistów” na co dzień stykających się z prawem. Brzmiały one jak echo podobnych skarg z okresu II Rzeczypospolitej, skarg, w których prym wiodli konserwatyści. W latach dwudziestych parlament również był na cenzurowanym, a brak prawniczego przygotowania posłów, niedouczenie rządowych legislatorów i poddawanie się presji wyborców budziły zgrozę u profesorów prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy w ciągle dość wpływowym obozie konserwatywnym odgrywali pierwszoplanową rolę. Bez wątplenia i wówczas i dziś podstawy do narzekania były aż nazbyt oczywiste.

Różnica między ówczesnymi i dzisiejszymi pomysłami na zaradzenie kryzysowi jakości prawa polega jednak na tym, że

zgłaszane dziś propozycje nie odnoszą się do rzeczywistych przyczyn kryzysu, próbują za to tylnymi drzwiami wprowadzić do naszego ustroju zasady, które w otwartej dyskusji nie ostałyby się ani minuty.

### **Parlament nowej Rzeczypospolitej**

Po roku 1989 parlament był podstawowym czynnikiem odradzania się rządów prawa i budowy nowych instytucji państwowych. Z perspektywy dziesięciu lat od chwili odzyskania niepodległości dorobek ustawodawczy parlamentu zasługuje w tym względzie na bardzo pozytywną ocenę. Ocenę tym lepszą, że w przeciwieństwie do Sejmu II Rzeczypospolitej obecny Sejm nie ma wsparcia merytorycznego porównywalnego choćby do Komisji Kodyfikacyjnej działającej w latach dwudziestych i trzydziestych.

Dziełem parlamentu zasługującym na docenienie wbrew opinii krytyków, są nie tylko akty prawne uchwalone z inicjatywy rządu, ale również ustawy powstałe w ławach poselskich. Wystarczy tu wymienić ustawy kładące fundamenty pod reformę samorządową roku 1990, czy ordynację wyborczą do Sejmu i Senatu z roku 1993, a zatem akty prawne o ustrojowym znaczeniu. Również Sejm III kadencji ma na swoim koncie wartościowe ustawy przygotowane z inicjatywy posłów: ordynację wyborczą do rad gmin, rad powiatów i sejmików wojewódzkich, nowelizację ustawy o NIK, drugą ustawę lustracyjną (projekt senacki), ustawę o odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów, którzy w latach 1944-89 sprzeniewierzyli się zasadzie niezawisłości sędziowskiej, ustawę o sejmowej komisji śledczej oraz ustawę o wykonywaniu inicjatywy ustawodawczej przez obywateli. Te dwie ostatnie ustawy mają duże znaczenie ustrojowe i uchwalone zostały na długo przed rozpoczęciem rządowych prac nad dostosowaniem prawa do nowej konstytucji.

Wnikliwy analityk z łatwością odnajdzie błędy, luki i sprzeczności w prawie uchwalonym przez Sejm. Nie sposób jednak zgodzić się z poglądem, że skuteczna ochrona przed błędami polega na ograniczeniu wpływu parlamentu w dziedzinie ustawodawstwa. Parlamentowi stawia się zresztą w tym

względzie zarzuty wzajemnie sprzeczne. Z jednej strony czyni się go odpowiedzialnym za częste zmiany w prawie, z drugiej strony wzywa do rychłego usunięcia wad. Dobrym przykładem tych sprzecznych oczekiwań jest „Roczny Raport NIK za rok 1998”. W części dotyczącej stanu prawa w Polsce NIK wskazuje na „wielość zmian przepisów ustawowych”, ten sam dokument wzywa jednak do prac nad zmianami w 17 ustawach, m.in. w ustawach o zamówieniach publicznych, radiofonii i telewizji, zagospodarowaniu przestrzennym, fundacjach, archiwach itd.

### **Belka w oku rządu**

Dorobku prawnego parlamentu trzeba też bronić w perspektywie błędów popełnianych przez władzę wykonawczą. Prawotwórstwo rządowe jest najłabszą częścią systemu tworzenia prawa w Polsce. Rzecz nie dotyczy wyłącznie błędów zawartych w przedkładanych Sejmowi projektach ustaw. Podstawowym obszarem kryzysu prawa w Polsce są bowiem podstawowe akty prawne o znaczeniu wykonawczym, z natury rzeczy znajdujące się poza wpływem Sejmu i Senatu. Pogląd taki wielokrotnie prezentowany był w corocznych „Informacjach Prezesa Trybunału Konstytucyjnego”. Trybunał zwracał uwagę na słabości aktów wykonawczych i jeszcze przed wejściem w życie nowej konstytucji, jasno regulującej te kwestie, żądał od organów wydających rozporządzenia spełnienia wymogu działania na podstawie i w ramach upoważnienia ustawowego<sup>1</sup>.

Również wspomniany „Raport NIK” w odniesieniu do aktów wykonawczych mówi o „nieopracowywaniu projektów podstawowych przepisów wykonawczych do ustawy wraz z ustawą określającą obowiązek ich wydania, nierealizowaniu lub nieterminowej realizacji obligatoryjnych upoważnień ustawowych, przekraczaniu tych upoważnień, niespójności przepisów, wydawaniu przepisów bez podstawy prawnej”<sup>2</sup>.

---

<sup>1</sup> Por. Informacja Prezesa TK dotycząca istotnych problemów wynikających z działalności i orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego w roku 1997.

<sup>2</sup> *Sprawozdanie Roczne NIK za rok 1998.*

Krytykę rządowego prawotwórstwa przeprowadził także autor koncepcji powołania Rządowego Centrum Legislacji, profesor Andrzej Zoll. Mówi on o poważnych różnicach w siłach legislatorskich poszczególnych resortów i o tym, że istnieją resorty, w których nie ma odpowiednio przygotowanych legislatorów. W tekście promującym Rządowe Centrum Legislacji stwierdza, że „poziom poszczególnych aktów przedstawionych Radzie Legislacyjnej jest na bardzo niskim poziomie i wymaga właściwie powtarzania prac nad przygotowaniem projektu (...) Przedstawiane projekty opracowane przez poszczególne resorty wykazują zasadnicze rozbieżności dotyczące tak techniki legislacyjnej jak i regulacji zbliżonych, czy nawet identycznych zagadnień merytorycznych, wspólnych dla kilku aktów prawnych”<sup>3</sup>.

Pierwszym zadaniem w dziele podniesienia jakości prawa stanowionego w Polsce musi być zatem naprawa służb legislacyjnych znajdujących się w dyspozycji władzy wykonawczej. Może ona polepszyć zarówno poziom rządowych projektów ustaw jak i aktów prawnych o znaczeniu wykonawczym. Wszelkie działania na rzecz poprawy jakości prac legislacyjnych rządu i ich koordynacji zasługują więc na gorące poparcie.

Plan naprawy rządowych służb legislacyjnych zawarty jest w projekcie powołania Centrum Legislacji, które miałyby wykonywać zadanie kontrolowania poprawności legislacyjnej przygotowywanych w resortach aktów wykonawczych i projektów mniej obszernych ustaw oraz przygotowywać skomplikowane ustawy na podstawie merytorycznych i politycznych wskazań ministrów. Centrum ma więc podnieść poziom prac legislacyjnych rządu i spełniać funkcję koordynacyjną.

### **Teoretycy, praktycy i politycy**

Pewne wątpliwości budzi jednak autonomiczna pozycja Centrum Legislacyjnego. W myśl przedstawionego projektu ma ono być państwową jednostką organizacyjną, pozostającą poza

---

<sup>3</sup> A. Zoll, *Rządowe Centrum Legislacji*. Referat wygłoszony podczas konferencji *Tworzenie prawa w Polsce: tradycja i współczesność* zorganizowanej przez Trybunał Konstytucyjny w 80. rocznicę powstania Komisji Kodyfikacyjnej.

strukturą Kancelarii Premiera i dysponującą własnym budżetem. Autonomizacja Centrum i usytuowanie go poza Kancelarią Premiera odpowiedzialnego za spójną politykę rządu jest poważnym błędem. Zastrzeżenie budzi także preferencja dla naukowych środowisk prawniczych i lekceważenie potrzeby udziału w pracach legislacyjnych prawników praktyków. Trudno zrozumieć dlaczego Biuro Studiów i Ekspertyz Centrum Legislacyjnego, które ma zajmować się analizą stanu prawnego i zgłaszaniem wniosków legislacyjnych, ma opierać swe prace wyłącznie na „zespołach naukowców zatrudnionych na wydziałach prawa Uniwersytetów”.

Doświadczenie międzywojennej Komisji Kodyfikacyjnej kieruje w zupełnie inną stronę. Przedstawiciele praktyki prawniczej nie tylko byli licznie reprezentowani w Komisji, ale często kierowali jej pracami<sup>4</sup>. Warto przypomnieć również, że Komisja Kodyfikacyjna była organem pomocniczym Sejmu, a jej projekty trafiały do parlamentu poprzez Ministra Sprawiedliwości. Powszechnie uznawany za pozostający na najwyższym poziomie dorobek Komisji obejmuje sześć wielkich kodyfikacji: kodeks zobowiązań, postępowania cywilnego, karny, postępowania karnego, prawo o ustroju sądów powszechnych, kodeks handlowy oraz ustawy zawierające prawo autorskie, wekslowe i czekowe.

Dorobek powołanych po roku 1989 komisji kodyfikacyjnych jest znacznie skromniejszy i nie tylko dlatego, że nie musiały one podejmować pracy nad unifikacją prawa i opracowaniem na nowo całości prawa cywilnego. W pracach na kodeksami karnymi popełniono tak wiele błędów, że sami ich twórcy zdecydowali się po dwóch latach na obszerną nowelizację obejmującą kilkadziesiąt zmian. W świetle tych faktów zupełnie inaczej wyglądają uchwalone z inicjatywy poselskiej i cynicznie zawetowane przez prezydenta ustawy o zaostreniu kar za upowszechnianie twardej pornografii czy naprawa ewidentnego

---

<sup>4</sup> Wiceprezydentami Komisji byli Stanisław Bukowiecki z Prokuraturii Generalnej i adwokat Ludwik Ciechowicz. Por. S. Grodziski, *Komisja Kodyfikacyjna Rzeczypospolitej Polskiej*, „Czasopismo Prawno-Historyczne”, 1/1981.

błądu kodeksu karnego, jakim było złagodzenie sankcji karnych za gwałt zbiorowy i gwałt ze szczególnym okrucieństwem. W powszechnej opinii wady ustawodawstwa karnego obciążają jednak konto Sejmu i polityków, mimo że są dziełem środowiska naukowego.

### **Arystokracja prawników?**

Jedynym wytłumaczeniem postulatu ograniczenia grona rządowych superlegislatorów do uniwersyteckich teoretyków może być wyraźne przywiązanie twórców koncepcji Centrum Legislacyjnego do idei prawniczej arystokracji (nie jest to wizja nowa, swymi korzeniami sięga do platońskich rządów filozofów, a triumfy święci od połowy lat sześćdziesiątych wśród liberalnej elity prawniczej Stanów Zjednoczonych). Zakłada ona, że prawo jest na tyle wyjątkowym systemem norm społecznych, że wymaga specjalnych kompetencji w zakresie jego tworzenia i stosowania. Ta wyjątkowość przypisana jest prawnikom, zwłaszcza sędziom, którzy ze względu na wykształcenie, nieusuwalność, specyficzne wymogi argumentacji i rozumowania prawniczego mogą podejmować najbardziej racjonalne decyzje. W myśl tej koncepcji tylko prawnicy posiadają kompetencje umożliwiające wydanie praktycznego osądu konkretnej sytuacji: owa umiejętność odnalezienia rozstrzygnięcia prawnego wymaga doświadczenia, zdolności odczytania oraz zinterpretowania tych zasad prawnych, zawartych w systemie prawnym, które umożliwią wydanie sprawiedliwego wyroku. Racjonalność prawników (u nas jednak sędziowie z pewnością nie znajdują się na szczycie zawodowej hierarchii) z racji rzeczy nie jest dostępna zwykłym obywatelom, a już z pewnością nie politykom, którzy kierują się swoimi przesądami, względem na reelekcję, czy po prostu interesami grup wspierających ich finansowo.

Przedstawianie zalet pozycji ustrojowej „hiperaktywnego” Sądu Najwyższego USA (który pełni również funkcje Sądu Konstytucyjnego) czy wpływu profesjonalnych ciał prawniczych na legislację, prowadzi często do krytyki demokratycznych reprezentantów społeczeństwa. Pogląd o wyjątkowych kompeten-

cyjach prawników jest oczywiście sprzeczny ze współczesnymi zapatrywaniami egalitarnej opinii publicznej. Można jednak odnaleźć jego wpływ w niektórych postulatach ograniczenia nieodpowiedzialnych ustawodawców, próbach ingerencji Trybunału Konstytucyjnego w samą procedurę ustawodawczą i praktykach „szantażu konstytucyjnego”, żądaniach pełnego uniezależnienia prokuratury od Ministra Sprawiedliwości, czy dążeniach do absolutyzacji samorządności środowiska sędziów.

### **Prawnicy, nie konserwatyści**

Rzecz jasna, trzeba zachować dystans wobec skrajnie parlamentarnych koncepcji ustrojowych, przyznających sejmowej większości prawo decydowania o każdym szczególe życia publicznego. Konserwatywna myśl polityczna zawsze poddawała krytyce wizje zakładające hegemoniczną pozycję parlamentu w systemie organów władzy państwowej. Konserwatyści w dwudziestoleciu międzywojennym obawiali się przekształcenia parlamentaryzmu w rządy partii politycznych, osłabienia władzy wykonawczej i podkreślali wysoką pozycję głowy państwa dbającej o całość spraw publicznych. Byli też rzecznikami powołania Trybunału Konstytucyjnego, mającego prawo oceniać zgodność ustaw z konstytucją. To konserwatyści wreszcie zaproponowali na początku lat dwudziestych powołanie Rady Stanu (Rady Prawniczej), która bez wątpienia była inspiracją dla twórców koncepcji Centrum Legislacyjnego<sup>5</sup>. W tamtych latach idee takie napotykały na gwałtowny sprzeciw lewicy, która uważała, że jakakolwiek ocena decyzji parlamentu jest naruszeniem zasad republikańskiej demokracji.

Trzeba jednak zauważyć, że współczesna „antyparlamentarna” tendencja nie ma nic wspólnego z troską o równowagę między władzą ustawodawczą a wykonawczą. Jest ona po prostu próbą zakwestionowania pozycji parlamentu jako głównego organu władzy ustawodawczej w imię utopii prawa tworzonego przez „fachowców”.

---

<sup>5</sup> Na temat koncepcji Rady Stanu por. S. Estreicher, *Udoskonalenie ustawodawstwa*, [w:] *O naprawę Rzeczypospolitej*, Kraków 1922, s. 51-62.



### **Utopia demokracji prawników, czyli Rousseau à rebours**

To, co u naszych prawników przejawia się w formie często nie całkiem uświadomianych odruchów niechęci wobec wyborców i ich przedstawicieli, pojawia się jako teoria „demokracji konstytucyjnej” w pracy Dominika Rousseau o sądownictwie konstytucyjnym w Europie, opublikowanej ostatnio przez Wydawnictwo Sejmowe<sup>6</sup>. Chociaż więc sama książeczka (100 stron) i zawarte w niej tezy nie są chyba warte polemiki, to warto je przedstawić, bo może się okazać, że trafią na podatny grunt i uczynią jeszcze wiele szkód w myśleniu o naszym państwie.

Rousseau twierdzi, że demokracja przedstawicielska jest „wyeksploatowaną formą ustrojową” i w najlepszym razie przeżywa głęboki kryzys. Jego własna „demokracja konstytucyjna” ma być odpowiedzią na ten kryzys. Ma ona odebrać parlamentowi monopol na tworzenie prawa, „gdyż jego wola podporządkowana jest konstytucji w takiej postaci, w jakiej interpretuje ją sąd konstytucyjny i jaką narzuca on w toku sprawowania kontroli”. Podstawowy walor takiego stanowiska polegać ma na konkurencji „wielorakich «przedsiębiorców ustawodawczych» [co] czyni z dyskusji nad przepisem ustawy zasadę i w konsekwencji przyczynia się do zmiany w pojmowaniu ustawy. Otóż staje się ona w mniejszym stopniu wynikiem woli powszechnej, wyrażonej tylko przez parlament, w większym zaś – wynikiem debaty powszechnej między różnymi podmiotami uczestniczącymi w procesie jej tworzenia”. Wszystko to dlatego, że – zdaniem Rousseau – parlament jest niereprezentatywnym z punktu widzenia obywatela „klębowiskiem interesów politycznych”, a sąd konstytucyjny pełni rolę strażnika praw obywatelskich i z tego względu wolno mówić o jego wyższości w stosunku do władzy politycznej.

### **Przeciw demokratycznemu państwu prawa**

W pracy Rousseau pojawia się wiele innych poglądów wymagających szczegółowej polemiki, ale największy sprzeciw budzi

---

<sup>6</sup> D. Rousseau, *Sądownictwo konstytucyjne w Europie*, Warszawa 1999.

fakt, że autor z taką dezynwolturą podważa zasadę demokratycznego państwa prawa.

Demokratyczne państwo prawa oznacza bowiem panowanie norm ogólnych uchwalonych przez parlament wybrany w wolnych wyborach. Jest zatem przeciwstawieniem państwa opartego na prawie, czy raczej „prawie”, które jest wyrazem arbitralnej woli władcy. Władza ustawodawcza parlamentu wynika z faktu, że odzwierciedla on wyrażony w wyborach podział i zróżnicowanie opinii publicznej. Władza ta przejawia się poprzez ustawy – normy ogólne, czyli takie, które odnoszą się do każdego i dlatego tworzą taki sam dla każdego obywatela układ odniesienia.

Kwestionowanie reprezentatywnego waloru parlamentu musi prowadzić albo do rządów tłumu, albo do rządów mędrców. U Rousseau mamy do czynienia z drugim wariantem. Jego powszechna debata prowadzona między parlamentem („kłębowisko interesów”) a sądem konstytucyjnym (mędrcy) wcale nie wzmacnia jednak reprezentatywności tworzenia prawa. Wystawia go natomiast na potencjalne próby manipulowania „powszechną debatą”, co w epoce mass mediów jest aż nadto realne. Istotne znaczenie dla reprezentatywności prawa ma przecież fakt, że projekt ustawy w parlamencie jest oglądany (publicznie!) z wielu punktów widzenia i oceniany w perspektywie praktycznej realizacji prawa. Żadna instytucja nie zastąpi w tej dziedzinie parlamentu, a z pewnością sądy nie są tu bardziej reprezentatywne.

Posłowie rzeczywiście reprezentują sprzeczne interesy, ale jest to gwarancją, że wszystkie słabe i mocne strony projektu zostaną ujawnione, a nawet jeżeli interesy przeważają nad racjonalnością, czy sprawiedliwością, to faktu tego nie da się ukryć przed wyborcą. Zresztą można wskazać na wiele dobrych rozwiązań, które weszły do porządku prawnego z inicjatywy posłów w ostatniej fazie procesu legislacyjnego, właśnie w wyniku powszechnej debaty parlamentarnej. Trzeba jednak przede wszystkim podkreślić, że to członkowie parlamentu ponoszą odpowiedzialność przed społeczeństwem za kształt prawa i w przeciwieństwie do sędziów, członków komisji kodyfikacyj-

nych i uczestników instytucji eksperckich mają umowę o pracę przedłużaną (lub nie) co cztery lata.

Ograniczenie parlamentu w wykonywaniu funkcji stanowienia prawa na rzecz na przykład sądu konstytucyjnego jest nie tylko antydemokratyczne (i nie pomogą tu karkołomne próby wykazania przez Rousseau, że sąd jest instytucją demokratycznie legitymizowaną), ale i zagraża państwu prawa. Sam Rousseau zauważa, że unieważnienie przez sąd konstytucyjny działającej już ustawy wprowadza do systemu prawnego element niepewności, którego państwo prawa stara się uniknąć za wszelką cenę. Jeżeli na szalach leżą rzadkie przypadki unieważnienia ustawy sprzecznej z konstytucją i podważenie zaufania obywateli do prawa, to z ważnych przyczyn możemy się zgodzić na konieczność podważenia zasady pewności ram prawnych działań obywateli. Jeżeli jednak zasadą miałyby być niekonstytucyjność ustaw do czasu potwierdzenia ich konstytucyjności przez sąd (a takie są konsekwencje teorii Rousseau), to wracamy do państwa, w którym nie rządzą ogólne normy prawa, ale arbitralna wola władcy, tyle, że ubranego w togę.

### **Realne państwo prawa, nie utopie prawników**

Państwo prawa nie jest państwem parlamentu. Wejście w życie ustawy wymaga akceptacji Prezydenta, który – przynajmniej w teorii – stosując weto wobec ustawy winien ocenić ją z punktu widzenia zgodności z konstytucją. Sądowi konstytucyjnemu przysługuje prawo do uchylania ustaw sprzecznych z ustawą zasadniczą i orzeczenia te mają moc ostateczną. Polskie prawo parlamentarne chroni również proces legislacyjny przed pośpiechem i dowolnym działaniem parlamentarzystów. Tryb uchwalania ustaw w trzech czytaniach, specjalne wymogi odnoszące się do uchwalania kodeksów, takie jak przymus powołania Komisji Nadzwyczajnej, wydłużenie terminów rozpatrywania projektów, czy wymóg zebrania 15 podpisów pod projektem poprawki do kodeksu, służą tworzeniu prawa z namysłem. Taka też jest racja dwuizbowości parlamentu, a więc istnienia Senatu jako izby refleksji i korekty prawa.

Polska początku trzeciego tysiąclecia nie jest sejmokratyczną II Rzeczpospolitą, jej prawu nie grozi anarchia parlamentarna. Dlatego ani karkołomne teorie francuskiego teoretyka państwa, ani ciche marzenia naszych „fachowców od prawa” nie zagrażają parlamentowi jako twórcy prawa nowej Rzeczypospolitej. Mogą one jednak skierować energię tak potrzebną w dziele podnoszenia jakości stanowionego u nas prawa w ślepią uliczkę walki z „niekompetentnym” Sejmem. Szukajmy więc wspólnie realnych środków służących naprawie legislacji zamiast tracić czas na puste spory rodem z modnych podręczników jursprudencji.

W pierwszej kolejności mówić trzeba zatem o podniesieniu poziomu służb legislacyjnych. Uwaga ta dotyczy nie tylko rządu, ale również Sejmu i Senatu. Elementem wzmocnienia Sejmu i Senatu powinna być rozbudowa służb legislacyjnych i przyciągnięcie do pracy wysoko wykwalifikowanych legislatorów. Jestem przekonany, że przedsięwzięcie to nie wykracza poza możliwości budżetowe Kancelarii Sejmu. Osobnym problemem jest powołanie do życia Biura Budżetowego Sejmu, które zajmowałoby się oceną projektu budżetu i stanowiłoby realne oparcie dla posłów w pracach nad nim.

Reforma rządowych służb legislacyjnych musi respektować silną pozycję Premiera i podlegającej mu Kancelarii odpowiedzialnej za egzekwowanie spójnej polityki rządu. Bez wątpienia, droga do odrodzenia prawa poprzez osłabienie parlamentu i autonomizację rządowych służb prawniczych wiedzie donikąd.

Udział akademickich środowisk prawniczych w dziele odrodzenia prawa ma wielkie znaczenie. Trzeba jednak dbać o to, by prace prowadzone były na rzecz instytucji konstytucyjnie odpowiedzialnych za przygotowywanie i uchwalanie prawa.

(„Kwartalnik Konserwatywny”, nr 7, Zima 2001)



## Naprawa sądownictwa

Wielkie tradycje prawne i ustrojowe różnią się odmiennym pojmowaniem roli sądownictwa. Wysoka pozycja sądownictwa w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych ma swoje źródło w przyznaniu sądom roli tworzenia prawa. W funkcjonującym w tych krajach systemie *common law*, prawo kształtowane jest przez wiele pokoleń. Historyczne zakorzenienie podnosi i wzmacnia autorytet sądów. Konserwatywny piewca tego systemu H. Drucker stwierdzał, iż „mądrość jednego pokolenia nie mogłaby być większa od mądrości tych wszystkich minionych generacji, które żyły i formowały *common law*”. Europa kontynentalna przyjęła odmienny system: uznaje prymat ustawy wśród pozostałych źródeł prawa i oponuje przeciwko prawotwórczej roli sądów. Monteskiusz widział w takiej roli nieuzasadnione roszczenie do sprawowania przez władzę sądowniczą roli władzy ustawodawczej.

Wspólną cechą tych różnych tradycji prawnych jest postrzeganie silnego i niezależnego sądownictwa jako podstawy wolności i rządów prawa. Monteskiusz pisał, że „nie ma wolności bez oddzielenia władzy sądowej od ustawodawczej i wykonawczej” (*O duchu praw*). Podobne sądy formułował Alexis de Tocqueville w sławnym dziele *O demokracji w Ameryce*. Współczesna myśl polityczna i prawna traktuje sądownictwo jako główną zaporę dla arbitralności władzy. Głębokie uzasadnienie tego stanowiska daje encyklika *Centesimus annus*, w której Ojciec Święty stwierdza, że „jest wskazane by każda władza była równoważona przez inne władze i inne zakresy kompetencji, które by ją utrzymywały we właściwych granicach. Na tym właśnie polega zasada państwa praworządnego, w którym najwyższą władzę ma prawo, a nie samowola ludzi”.

Również polska myśl konserwatywna deklarowała wielkie uznanie dla silnej pozycji władzy sądowniczej. Konserwatyści występowali w obronie autonomicznej pozycji prawa i jego

ponadpolitycznego charakteru. W latach trzydziestych sprzeciwiali się instrumentalizacji prawa przez rządzący obóz sanacyjny i formułowali postulaty wzmocnienia władzy sądowniczej. To wśród konserwatystów pojawiła się propozycja powołania Trybunału Konstytucyjnego. Niezależne sądownictwo było dla nich nie tylko gwarancją wolności, ale także warunkiem istnienia państwa. Sądy są bowiem ze swej natury najbardziej neutralną i niepartykularną instytucją ustrojową. Tam, gdzie nie ma sądów strzegących prawa wiążącego także władzę, tam przestaje istnieć państwo jako wspólnota polityczna.

Aktualny kryzys władzy sądowniczej jest konsekwencją słabości sądownictwa w państwie komunistycznym. W PRL-owskiej hierarchii władzy pozostawała ona daleko w tyle za służbą bezpieczeństwa, prokuraturą, policją i rzecz jasna za partią komunistyczną. Partia komunistyczna decydowała o nominacjach i awansach sędziów. Kontrolę nad Sądem Najwyższym zapewniał przepis o 5-letniej kadencji tej instytucji. Niezawisłość sędziowska była fikcją w warunkach obowiązywania przepisów o dawaniu przez sędziów rękami należytego wykonywania zawodu. Przepis ten ze względu na swoją ogólnikowość i odwołanie do zasad ustrojowych pozwalał na usuwanie niedyspozycyjnych sędziów. Potężnym – i sprzecznym z zasadą, iż sędzia podlega tylko ustawie – środkiem były wytyczne wymiaru sprawiedliwości uchwalane przez Sąd Najwyższy. Autor pracy *Sądownictwo w PRL* Andrzej Rzepliński pisał, iż były one „silnym środkiem oddziaływania na sądy w myśl potrzeb i oczekiwań partii, Ministerstwa Sprawiedliwości, MSW, MON i prokuratury (ale także i innych instytucji władzy wykonawczej, w zakresie np. stosunków rolnych – Ministerstwa Rolnictwa, a w zakresie stosunków pracy – Ministerstwa Pracy)”<sup>1</sup>.

Degradacja sądownictwa była w ogromnym stopniu konsekwencją upadku prawa w państwie socjalistycznym. Prawo utraciło status obiektywnych i trwałych reguł chroniących przestrzeń wolności obywateli, a stało się instrumentem sprawowania władzy. Sens tej zmiany uchwyciła Jadwiga Staniszkis pisząc w *Ontologii socjalizmu* o państwie prerogatywnym, ponad-

---

<sup>1</sup> A. Rzepliński, *Sądownictwo w PRL*, Londyn 1990, s. 74.

prawnym, w którym państwo „odrzuca prawną regulację samego siebie”<sup>2</sup>.

W niepodległym państwie zniknęła zależność sądownictwa od partii, pozostała jednak słabość instytucji, pozostawiająca wiele do życzenia poziom merytoryczny kadry sądowej i anachroniczna infrastruktura sądowa. Po roku 1989 zaniechano takich reform władzy sądowniczej, które usuwałyby wyżej wymienione wady. Wprowadzono natomiast szerokie prawa samorządu sędziowskiego, co w ogromnym stopniu ograniczyło możliwość wpływu rządu na jakość pracy sądów. Trzeba też powiedzieć, że w ostatnich latach w związku z odrodzeniem wolnego rynku zwiększyła się radykalnie ilość spraw rozstrzyganych przez sądy. Uwaga ta dotyczy w szczególności spraw gospodarczych i wieczystoksięgowych, których rozpatrywanie jest najbardziej przewlekłe. Pogłębiło to jeszcze kryzys władzy sądowniczej i ograniczyło praktyczne prawo obywatela do sądu.

Podstawowym problemem jest zatem przywrócenie sądownictwu wysokiego poziomu merytorycznego i moralnego.

W ostatnich latach wprowadzono bardzo silne gwarancje niezawisłości i niepolityczności sędziów. Przepisy nowej konstytucji potwierdzają niezawisłość sędziów wraz z gwarancjami w postaci zakazu odwołania i przeniesienia sędziego bez zgody samego sądu. Jednocześnie doszło do zdominowania korporacji sędziowskiej przez sędziów, których kariery przypadły na okres komunizmu oraz do odejścia z zawodu wielu dobrych prawników. Raport Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości „Quo vadis iustitia” stwierdza „fakt dość powszechnego obecnie zjawiska odpływu sędziów i asesorów do zawodów bardziej konkurencyjnych pod względem finansowym. Dotyczy to w szczególności młodych sędziów, połowa odchodzących z zawodu to ludzie, którzy nie przekroczyli 35 lat”. Raport wskazuje też na feminizację zawodu sięgającą w niektórych okręgach (np. Okręgu Sądu Wojewódzkiego w Warszawie) 80 procent.

Tak więc zachodzi konieczność przyjęcia przez państwo pozytywnej polityki mającej na celu wzrost rangi zawodu sędziowskiego. W perspektywie kilkunastu lat stanowisko sędzie-

---

<sup>2</sup> J. Staniszkis, *Ontologia socjalizmu*, Warszawa 1990, s. 72.



go musi stać się zwieńczeniem kariery prawniczej. Promocja dobrych sędziów wymaga podniesienia kwalifikacji koniecznych do powołania na stanowisko sędziego i wzrostu uposażeń sędziowskich, tak, by odpowiadały one autorytetowi trzeciej władzy i dawały możliwość przyciągnięcia do zawodu najlepiej wykwalifikowanych prawników. Może to jednak pociągać za sobą konieczność ograniczenia uprawnień zgromadzeń ogólnych sądów apelacyjnych i wojewódzkich, które praktycznie przeciwstawiają się jakimkolwiek zmianom w sądownictwie.

Z autorytetem sądownictwa ściśle związana jest kwestia obecności w zawodzie sędziów, którzy w okresie państwa komunistycznego sprzeniewierzyli się zasadzie niezawisłości sędziowskiej. W roku 1989 powszechna była wiara w samoczyszczenie środowiska sędziowskiego. Koncepcja ta poniosła całkowitą klęskę, żaden z sędziów nie odszedł dobrowolnie z zawodu. W roku 1993 Trybunał Konstytucyjny zakwestionował nowelizację ustawy „Prawo o ustroju sądów powszechnych”, dającą prezydentowi możliwość odwołania sędziów, którym udowodni się takie czyny. Uzasadnienie wskazywało na sprzeczność nowelizacji z zasadą niezawisłości sędziowskiej. Dlatego też podjęta przez AWS w 1997 roku inicjatywa ustawodawcza, pozwalająca na wydawanie w tych sprawach sądowych orzeczeń dyscyplinarnych, wydaje się ostatnią możliwością rozwiązania tej kwestii. Chodzi w niej nie tylko o indywidualną odpowiedzialność za zachowania sprzeczne z istotą zawodu sędziego, ale przede wszystkim o odrodzenie autorytetu trzeciej władzy.

Zmiany muszą obejmować również pozycję ustrojową sądownictwa. W PRL sądownictwo traktowane było jako element jednolitej władzy państwowej. Postulaty opozycji przedsierniowej – Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, Ruchu Młodej Polski, czy KOR wskazywały na konieczność odbudowy niezależności sądownictwa. Siłą rzeczy propozycje te zwracały się w kierunku usamorządowienia sądownictwa. I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” w specjalnej uchwale o niezawisłości sądownictwa mówił o „zmianach na rzecz uzy-

skania sądownictwa w pełni samorządnego i niezależnego od władzy politycznej i administracji państwowej<sup>3</sup>.

Po upadku komunizmu reakcją na upolitycznienie władzy sądowniczej było przyznanie hegemonistycznej pozycji samorządowi sędziowskiemu. Wolno sądzić, że ówczesna reforma formułowana była nadal z pozycji właściwych opozycji demokratycznej postulującej demokratyczną kontrolę nad *de facto* obcym państwem. Jeden z autorów tych zmian, profesor Adam Strzembosz przyznał, że kompetencje samorządu i Krajowej Rady Sądownictwa są „szersze niż w zdecydowanej większości krajów Europy Zachodniej”. Nowe regulacje do minimum ograniczyły kompetencje Ministra Sprawiedliwości w zakresie nadzoru administracyjnego. Obecnie zgromadzenia sądów apelacyjnych i wojewódzkich mają możliwość blokowania powoływania przez Ministra Sprawiedliwości kandydatów na stanowiska prezesów sądów. Zgromadzenia te zyskały decydujący wpływ na wybór prezesów, a więc osób odpowiedzialnych za tempo pracy sądów.

Niezawisłość sędziów i niezależność sądów powinny pozostać trwałymi elementami nowego państwa. Jednak istotnym elementem reformy usprawniającej sądownictwo powinno być przywrócenie równowagi między uprawnieniami samorządu sędziowskiego a kompetencjami Ministra Sprawiedliwości w zakresie nadzoru administracyjnego, a co za tym idzie powoływania i odwoływania prezesów sądów i zwiększenie możliwości oddziaływania władzy na pozajudykacyjną stronę pracy sądów. Odpowiedzialność, także przed parlamentem, za tę stronę ich pracy ponosi Minister Sprawiedliwość. Wysuwane przez sędziów żądanie odwołania ze stanowiska wiceministra sprawiedliwości Leszka Piotrowskiego (krytykującego środowiska prawnicze w związku z trudnościami przy obsadzeniu składu sądu lustracyjnego) jest również z tego względu uzurpacją.

Trzeba jednak podkreślić, że jakość pracy sądów nie ulegnie zmianie bez materialnego wzmocnienia trzeciej władzy. Jeśli dostępność sądu uznać za jeden z warunków rządów pra-

---

<sup>3</sup> Uchwała I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” w sprawie niezawisłości sądownictwa, 7-8 października 1981.

wa, to z pewnością nie jest on w Polsce spełniony. Długotrwałość postępowań w sprawach cywilnych zamienia prawo do opieki sądowej w fikcję, a nierozstrzygane przez lata głośne sprawy karne obrażają elementarne poczucie sprawiedliwości. Przywoływany tu już raport Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości wskazuje wyraźnie na podważanie bezpieczeństwa obrotu prawnego przez opóźnienia pracy sądów. Najpoważniejsze opóźnienia dotyczą spraw karnych rozstrzyganych w pierwszej instancji przez sądy wojewódzkie (wskaźnik 7,1 miesiący), spraw cywilnych procesowych w sądach wojewódzkich (9,3 miesiąca) oraz spraw nieprocesowych gospodarczych w sądach rejonowych, które trwają ponad półtora roku. Do tej kategorii spraw należą sprawy wieczystoksięgowe, stanowiące 45 procent wszystkich spraw. Dane te oznaczają, że prawo obywatela do rzetelnego rozstrzygnięcia sprawy w rozsądnym terminie jest realizowane tylko w ograniczonym zakresie.

W niemałym stopniu jest to rezultat materialnej degradacji sądownictwa, szczupłości kadr, anachronicznej infrastruktury sądowej. Wspomnianym zmianom w sądownictwie towarzyszyć musi wzrost wydatków publicznych na wymiar sprawiedliwości, uznanie tego za jedno z podstawowych zadań polityki państwa. Słabość sądownictwa w PRL i jego obecny kryzys wiąże się z degradacją prawa. Odbudowa rządów prawa nie nastąpi z dnia na dzień. W ogromnym stopniu zależy ona od poziomu kształtującej prawo elity parlamentarnej i urzędniczej. Decydujące znaczenie ma bowiem to, co nazywa się wewnętrzną treścią prawa. Już dziś wskazać można na pozytywny wpływ sądów. Potwierdza to lektura orzeczeń NSA i Trybunału Konstytucyjnego. Decyzje w sprawie ochrony życia, praw podatników, praw własności, praw samorządu gminnego sprzyjały odrodzeniu się prawa w Polsce. Dlatego też wolno mieć nadzieję, że rozszerzenie się kontroli sądowej, traktowane dziś jako jedna z przyczyn spowolnienia pracy sądów, wywierać będzie pozytywny wpływ na interpretację prawa, a pośrednio także na jego tworzenie. Wymaga to jednak podjęcia dzieła odbudowy autorytetu i podniesienia poziomu trzeciej władzy w Polsce.

(„Kwartalnik Konserwatywny”, nr 3, Lato 1998)

## **Trzecia władza ponad państwem**

Kryzys wymiaru sprawiedliwości jest jednym z najpoważniejszych objawów słabości III Rzeczypospolitej. Trudno nie zgodzić się ze Stanisławem Iwanickim, gdy w tekście *Model prokuratury, model prawa* („Rzeczpospolita” z 8 lipca 1999 r.) pisze, że deklarowane przez Europejską Konwencję o Ochronie Praw Człowieka „prawo obywatela do rozpatrzenia jego sprawy w rozsądnym terminie przez sąd” staje się w warunkach polskich fikcją.

Wielokrotnie broniłem wyrażanego przez autora poglądu, że zwiększenie nakładów finansowych na sądownictwo jest warunkiem rekonstrukcji sprawnego wymiaru sprawiedliwości. Jednak istota propozycji Stanisława Iwanickiego – koncepcja usamorządowienia prokuratury i dalszego poszerzenia uprawnień instytucji samorządu sędziowskiego – jest pomyłką. Pomyśły te, przedstawiane w demokratycznym opakowaniu, oznaczają w istocie pozbawienie parlamentu i rządu jakiegokolwiek wpływu na wymiar sprawiedliwości.

### **Minister nie jest władcą absolutnym**

Głównym przedmiotem krytyki Stanisława Iwanickiego jest „dyktatorska” niemal pozycja ministra sprawiedliwości wobec instytucji wymiaru sprawiedliwości, sądów i prokuratury. Minister sprawiedliwości przedstawiany jest jako władca absolutny. Tymczasem jego pozycja wobec samorządu sędziowskiego jest bardzo słaba. Po upadku komunizmu reakcją na upolitycznienie władzy sądowniczej było przyznanie hegemonistycznej pozycji samorządowi sędziowskiemu. Nowe regulacje do minimum ograniczyły kompetencje ministra sprawiedliwości w zakresie nadzoru administracyjnego, który ma istotne znaczenie dla sprawności sądownictwa. Zgromadzenia samorządu sędziowskiego uzyskały decydujący wpływ na wybór prezesów sądów – osób odpowiedzialnych za jakość funkcjonowania tych instytu-

cji. Stali się oni całkowicie zależni od samorządu sędziowskiego, co utrudnia im oddziaływanie na sprawność pracy sędziów. Niezawisłość sędziów i niezależność sądów pozostaną trwałym elementem III RP. Reforma sądownictwa musi jednak stworzyć równowagę między kompetencjami rządu a wpływami samorządu sędziowskiego, taką, jaka jest w Europie Zachodniej. Zostało to uwzględnione w ministerialnym projekcie nowelizacji ustawy o ustroju sądów powszechnych i właśnie dlatego zasługuje on na życzliwe przyjęcie.

### **Uchylenie odpowiedzialności**

Koncepcje autonomii finansowej sądownictwa i usamorządowania prokuratury oznaczają w praktyce uchylenie odpowiedzialności parlamentu i rządu za egzekwowanie prawa i stan praworządności. Zawarta w projekcie ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa idea autonomii finansowej całego sądownictwa powszechnego jest nadużyciem ustrojowym. Rada ma konstytucyjny obowiązek stania na straży niezależności sądów i niezawisłości sędziów, ale nie uzyskała silnego konstytucyjnego umocowania do reprezentowania ich w sferze finansów publicznych. Była wzorowana na francuskiej Najwyższej Radzie Sądownictwa. Jednak we Francji instytucja ta jest rzeczywistym organem władzy państwowej w dziedzinie sądownictwa. Na jej czele stoi prezydent (jako jej przewodniczący) i minister sprawiedliwości (jako jedyny wiceprzewodniczący), a w skład wchodzi obok sędziów osoby spoza środowiska prawniczego. W Polsce Krajowa Rada Sądownictwa jest zdominowana przez sędziów i stała się wyrazicielem interesów korporacji sędziowskiej wobec innych organów państwa. Trudno zgodzić się, by tylko jej głos decydował o przyszłości sądownictwa w Polsce.

Z tych samych względów nie można się zgodzić z pomysłem usamorządowania prokuratury. Stanisław Iwanicki stwierdza, że prokuratura powinna zachować całkowitą niezależność i protestuje przeciwko stawianiu prokuratorów „pod pręgierzem” i „wywieraniu na nich presji”. To jasne, że prawo o prokuraturze musi respektować obiektywizm i bezstronność jej działań. Trzeba jednak podkreślić, że to minister sprawiedliwo-

ści, a nie poszczególni prokuratorzy, jest konstytucyjnie i politycznie odpowiedzialny za działanie prokuratury. Dlatego też nie może pozostawać bez wpływu na jakość pracy i dobór kadr prokuratorskich.

### **Głos korporacji**

Stanisław Iwanicki pomija prawdziwe problemy polskiej prokuratury – niski poziom pracy i znane opinii publicznej skutki korupcji prokuratorów. Nie potrzeba wiele trudu, by uzmysłowić sobie, w jakim stopniu prokuratura stała się elementem krytykowanego przez Stanisława Iwanickiego kapitalizmu politycznego. Sam autor w innym fragmencie tekstu przyznaje, że stanowiska sędziowskie i prokuratorskie powinny uzyskiwać osoby o najwyższych kwalifikacjach merytorycznych i wysokim poziomie moralnym. Czy ten poważny problem da się rozwiązać przez przyznanie prokuratorom szerokich uprawnień samorządowych? Czy ułatwi to sytuacja, w której nominacja na stanowisko prokuratora będzie całkowicie zależać od wyrażającej interesy zawodowe obecnych prokuratorów Krajowej Rady Prokuratury? Nie sądzę. Wyposażona w nowe silne kompetencje korporacja będzie się bronić przed faktyczną kontrolą i odpowiedzialnością.

Autor zastanawia się, dlaczego w ustawie istnieje jeszcze przepis nakazujący prokuratorowi wykonanie polecenia przełożonego. Odpowiedź jest prosta, prokuratura jest instytucją zorganizowaną hierarchicznie i zobowiązaną do reprezentowania przed sądami prawa i interesu publicznego. W żadnym wypadku nie można zgodzić się z poglądem, że najważniejsza w pracy prokuratora jest odpowiedzialność przed samym sobą. Roli prokuratorów nie należy mylić z sędziami, którzy mają przymiot niezawisłości, ponieważ tylko do nich należy ostateczna decyzja wydania wyroku. To z tego względu prokuratura nie jest w krajach europejskich instytucją konstytucyjną i w większości z nich stanowi część władzy wykonawczej.

### **Wynaturzona idea**

W dyskusjach nad reformą wymiaru sprawiedliwości padają ciężkie zarzuty. Rządowy projekt ustawy o prokuraturze porów-

nywany jest z praktykami reżimu Łukaszenki. W innym tekście czytamy, że projekt zrównoważenia stosunków między rządem a samorządem sędziowskim wyraża tęsknotę za ręcznym sterowaniem. Z wypowiedzi tych wynika, że mamy do czynienia z wynaturzeniem idei niezależności sądów i niezawisłości sędziów. Gwarancją niezależności i niezawisłości jest wykluczenie wpływu władzy politycznej na orzeczenia sądów, a nie odizolowanie ich od innych organów władzy państwowej. Gdyby przyjąć tę koncepcję, państwo składałoby się z wianuszka niezależnych instytucji, a jego podstawą stałyby się korporacje zawodowe.

Żadna z władz nie jest w pełni niezależna, rząd odpowiada przed parlamentem, ustawy podlegają sądom konstytucyjnym, wymiar sprawiedliwości powiązany jest z władzą ustawodawczą i wykonawczą. W większości państw europejskich wpływ ministra sprawiedliwości na nominacje sędziowskie oraz administracyjną stronę prac sądów jest znacznie większy niż w Polsce. W Niemczech sędziowie związkowi powoływani są przez prezydenta przy kontrasygnacie rządowej. Francuski minister sprawiedliwości ma znacznie więcej kompetencji w zakresie nominacji sędziowskich i awansów niż polski. Inna jest także rola ustrojowa Najwyższej Rady Sądownictwa. Prokuratorzy podlegają ministrowi sprawiedliwości i nie korzystają z konstytucyjnej gwarancji nieusuwalności. Czy rozwiązania niemieckie i francuskie oparte są na białoruskich wzorcach?

W polskim życiu politycznym utarła się praktyka budowania karier politycznych przez kokietowanie poszczególnych grup zawodowych. Politycy, którzy idą tą drogą, z góry zakładają, że nie będą rządzić i ponosić odpowiedzialności. Chcą reprezentować poszczególne branże i resorty w świecie polityki. W przypadku wymiaru sprawiedliwości protest przeciwko tej praktyce jest obroną państwa jako wspólnoty odpowiedzialnej za egzekucję prawa i bezpieczeństwo obywateli. Jeśli w dobrej wierze traktuje się reformę wymiaru sprawiedliwości jako zadanie państwowe, to trzeba raz na zawsze debatę nad nią wyrwać z korporacyjnych okowów.

(„Rzeczpospolita”, 20.07.1999)

## **Adwokaci – egoizm bez misji**

*Moim kolegom adwokatom*

W dzieciństwie często dla zabawy zakładałem togi adwokackie moich rodziców. Ze środowiskiem adwokackim łączą mnie tradycje rodzinne i wykształcenie prawnicze. Mój dziadek w latach 30. brał udział w wielu procesach politycznych, m.in. był obrońcą w procesie brzeskim. W czasie wojny został, podobnie jak wielu adwokatów, aresztowany za udział w konspiracji i zamordowany w Oświęcimiu. W klasie maturalnej w roku 1982 stanąłem przed sądem wojskowym, będąc oskarżonym o rozpowszechnianie fałszywych wiadomości mogących budzić niepokój publiczny. Wyrok w zawieszeniu zawdzięczam niezjącaemu już adwokatowi Jerzemu Tewińskiemu. Wspomnienie o wspaniałej karcie w historii polskiej adwokatury dzielę z wieloma uczestnikami opozycji demokratycznej. Spór o rolę i pozycję adwokatury jest zatem czymś, co przeżywam osobiście jako spór dotyczący bardzo bliskiego mi środowiska.

### **A gdzie sprawy publiczne**

Wydaje się, że problem zasługuje na większą uwagę i większy namysł. Przekaz medialny po gwałtownej wymianie zdań, do jakiej doszło w czasie dyskusji nad Centralnym Biurem Antykorupcyjnym między posłem Kaliszem a posłem Gosiewskim, oddała nas od najistotniejszych pytań dotyczących roli i powinności adwokatury. Odrzucam pogląd, że adwokatura jest w sposób szczególny dotknięta obecnością praktyk korupcyjnych. Czy jednak adwokaci mają prawo mówić o naruszeniu zasad demokratycznych, o uderzeniu w niezależność sądów i Trybunału Konstytucyjnego? Czy można używać tego argumentu, sugerując, że wszelkie zmiany w położeniu prawnym adwokatów mają antydemokratyczny charakter? Każdy, kto zna



i nie waha się nazwać po imieniu prawdziwych problemów wymiaru sprawiedliwości, wie, że reakcja środowiska jedynie te problemy skrywa.

Wypada przypomnieć tradycję polskiej adwokatury nie tylko ze względu na rolę, jaką odegrała w czasach naruszania podstawowych praw i wolności, ale również z uwagi na doświadczenie tej korporacji w czasach II Rzeczypospolitej. Wolnościowa tradycja polskiej adwokatury jest bardzo bogata. Palestra może poszczycić się wspaniałym zastępem obrońców. Pouczająca jest nie tylko wolnościowa funkcja adwokatury, ale również jej wkład w życie publiczne II Rzeczypospolitej. Adwokaci uczestniczyli w życiu politycznym wszystkich liczących się na scenie politycznej obozów – od PPS (Adam Pragier, Herman Lieberman), przez partie chłopskie (Władysław Kiernik, Stefan Korboński), pilsudczyków (Stanisław Car, Waław Makowski), aż po Narodową Demokrację (marszałek Wojciech Trąpczyński i ostatni przedwojenny prezes Stronnictwa Narodowego Kazimierz Kowalski) – sprawując funkcje ministrów i parlamentarzystów.

Wypada zauważyć, że wybitni przedstawiciele palestry nie definiowali swojej roli jako reprezentantów korporacji wobec państwa, lecz brali udział w kształtowaniu jego polityki i ustawodawstwa. Adwokaci mieli bardzo poważny udział w powołanej w roku 1919 Komisji Kodyfikacyjnej kierowanej przez adwokata Xawerego Fiericha. I znów przedstawiciele palestry w Komisji Kodyfikacyjnej nie reprezentowali zawodowego punktu widzenia.

Doświadczenie czynnego udziału w życiu publicznym nie powtórzyło się po 1989 roku. Adwokatura, która do III RP weszła ze wspaniałą kartą udziału w procesach politycznych ludzi „Solidarności” i opozycji demokratycznej, po paru latach straciła poważną część tego kapitału. Wprawdzie nieliczni adwokaci nadal pełnili funkcje publiczne, ale zachowania przeważającej części członków środowiska ukształtował nowy ekonomistyczny duch. Proces ten – zrozumiały w warunkach odradzania się gospodarki rynkowej – przyjął jednak tak duży rozmiar, że doszło właściwie do wycofania się z jakiegokolwiek poważnej roli publicznej. I to właśnie osłabiło siłę korporacji, która zawdzię-

czała swoją pozycję tradycji i cnotom zobowiązującym do zachowań przekraczających horyzont interesów ekonomicznych.

### **Głucha korporacja**

W tej sytuacji stanowisko korporacji bardzo często było całkowicie głuche na argumenty odwołujące się do kategorii interesu publicznego, w tym na argumenty przemawiające za naprawą wymiaru sprawiedliwości. Adwokatura przez długi czas nie zauważała kryzysu wymiaru sprawiedliwości, poprzestając na prezentacji partykularnego punktu widzenia, który całkowicie współbrzmiał z ultraliberalną linią polityki karnej. Dziś również wypowiada się przeciw pomysłom ministra Zbigniewa Ziobro, który proponuje uproszczenie i przyspieszenie procedury karnej (sądy 24-godzinne), odpowiadając na najbardziej elementarne potrzeby uzdrowienia wymiaru sprawiedliwości. Wystarczy tym czasem sięgnąć do klasycznej pracy francuskiego ministra sprawiedliwości Alaina Peyrefitta *Wymiar sprawiedliwości, między ideałem a rzeczywistością*, aby przekonać się, że są to standardowe rozwiązania ustrojowe.

Przed rokiem byliśmy świadkami akcji mecenasa Widackiego reprezentującego Jana Kulczyka, której celem było odroczenie w czasie jego stawiennictwa przed komisją śledczą. Takie zachowanie niemiecka ustawa o komisji śledczej sankcjonuje karą 10 tys. euro, natomiast w Polsce uznano by to za pogwałcenie wolności.

Wezwania do obrony niezależności sądownictwa nie mają silnego oparcia merytorycznego. Próby ograniczenia bardzo silnej pozycji samorządu sędziowskiego mieszczą się w ramach europejskich modeli ustrojowych. W większości państw europejskich wpływ ministra sprawiedliwości na nominacje sędziowskie oraz administracyjną stronę prac sądów jest znacznie większy niż w Polsce. W Niemczech sędziowie związkowi powoływani są przez prezydenta przy kontrasygnacie rządowej. Francuski minister sprawiedliwości ma znacznie więcej kompetencji w zakresie nominacji sędziowskich i awansów niż polski. Inna jest także rola ustrojowa francuskiej Najwyższej Rady Sądownictwa, którą kierują prezydent i minister sprawiedliwo-

ści. Jest ona rzeczywistym organem władzy państwowej w dziedzinie sprawiedliwości i nie ma korporacyjnego charakteru, parlament zaś nie może wybrać do niej osób związanych ze środowiskiem prawniczym.

Wypada także powrócić w spokojnym tonie do kwestii otwarcia korporacji prawniczych. Argumenty wskazujące na konieczność egzekwowania kryterium kompetencji nie mogą być lekceważone. Ale otwarcie zawodów prawniczych nastąpiło po długich latach bardzo zachowawczych praktyk i było przez te praktyki sprowokowane. Ustawa cieszyła się poparciem obecnej opozycji (z wyjątkiem Sojuszu Lewicy Demokratycznej) i wielu środowisk społecznych. Tuż po jej uchwaleniu niektóre Okręgowe Rady Adwokackie podwyższyły wpisowe, by utrudnić dostęp do zawodu. Był to krok kruszący zaufanie społeczne do korporacji.

Moja szczególna odpowiedzialność polityczna dotyczy kultury, a więc sfery bardzo odległej od wymiaru sprawiedliwości. Piszę te słowa ze względu na wagę problemu, solidarność z polityką rządu i poczucie związków z korporacją, która odegrała tak ważną rolę w historii Polski. Wielu moich kolegów z opozycji studenckiej lat 80. zostało adwokatami. Wykonują ten zawód uczciwie i z wielką kompetencją. Moja wspaniała koleżanka z okresu studiów pani mecenas Joanna Agacka jest wiceprezesem Naczelnej Rady Adwokackiej i wiem, że wraz z kolegami działa na rzecz odbudowania najlepszych wzorców etyki zawodowej. Czy wysiłki te przybiorą formę czysto negatywnego protestu, który gdyby okazał się skuteczny, spowodowałby wstrzymanie oczekiwanych reform wymiaru sprawiedliwości? Czy też adwokatura będzie zdolna do definiowania swojej roli w kontekście interesu publicznego?

Z naturalnych względów przedstawiciele tego zawodu bronią wolności i praw obywatelskich, ale ich pełna egzekucja możliwa będzie dopiero po gruntownej reformie wymiaru sprawiedliwości.

(„Gazeta Wyborcza”, 9.03.2006)

## **Prawo do kary**

Dyskusja o nowym ustawodawstwie karnym przyjętym w czerwcu 1997 roku ogniskowała się wokół zagrożeń karnych za poszczególne przestępstwa. Tymczasem podstawowy

### **błąd tego kodeksu**

polega na odebraniu prawu karnemu jego tradycyjnego, zgodnego z poczuciem sprawiedliwości znaczenia. Kara za przestępstwo przestaje być aktem przywracającym sprawiedliwość, a staje się środkiem resocjalizacyjnym.

Obrońcy kodeksu zapewniali, że można wyciągać z niego dobre i złe rzeczy. Niestety, analiza części ogólnej kodeksu karnego wskazuje na to, że ustawodawstwo zachęca do liberalizacji w wymierzaniu i stosowaniu kar. Do tych samych wniosków prowadzi lektura Komentarza do kodeksu napisanego przez jego twórców Kazimierza Buchałę i Andrzeja Zolla. (*Kodeks Karny. Część ogólna. Komentarz, Zakamycze 1998.*)

Autorzy regulacji kodeksowych w taki oto sposób prezentują rewolucję w prawie karnym: „Nastąpiło gruntowne prze-wartościowanie celu karania. W miejsce odwetu, sprawiedliwej odpłaty, karze poczęto przypisywać funkcję ochronną przed popełnieniem nowych przestępstw przez niebezpiecznych sprawców... Sprawcy zasługują na surowszą karę nie dlatego, że na nią swym czynem zasłużyli; ich czyn bezprawny i zawniony nie stanowi podstawy dla takiej kary, jest raczej

### **okazją do ukarania,**

czyn ten sygnalizuje, że zachodzą symptomy zagrożenia; zatem rozmiar i rodzaj orzekanej kary im powinien odpowiadać, nie zaś zawartości bezprawia i winy”.

Rewolucyjne znaczenie ma też szeroka interpretacja zasady humanitaryzmu. W nowym kodeksie idea humanitaryzmu stała

się nakazem zaadresowanym do sądów, w myśl którego powinny one baczyć na to, by wymierzanie i stosowanie kar miało na względzie przede wszystkim resocjalizację przestępcy.

Nic zatem dziwnego, że z resocjalizacyjnego punktu widzenia negatywnie oceniane jest dożywocie i długoterminowe kary pozbawienia wolności. Autorzy nie kryją np. negatywnego stosunku do kary dożywotniego pozbawienia wolności, która ze względu na swą naturę nastawiona jest na izolację sprawcy i odstraszenie potencjalnych przestępców. Przypomnę, że karę tę przedstawiano opinii publicznej jako dobry

### **substytut kary śmierci.**

Tymczasem K. Buchała i A. Zoll poddają w wątpliwość jej sens i piszą, że siła odstraszenia tej kary jest przeceniana, a jej niekorzystnym skutkiem jest powodowanie „negatywnych zakłóceń osobowości sprawców w wieku lat 20 i zbliżonym”.

Autorzy Komentarza pokładają nadzieję w tym, że mimo wszystko uda się przy pomocy dożywocia osiągnąć cel resocjalizacyjny: „Gwarancją spełniania tego celu jest konieczność poszanowania godności człowieka, której orzeczenie tej kary go nie pozbawia, a co zapewnia perspektywa warunkowego zwolnienia... Nieudzielenie warunkowego zwolnienia, mimo osiągnięcia przez sprawcę resocjalizacji, koliduje z zasadą humanitaryzmu i godności człowieka”.

W przypadku długoterminowych kar pozbawienia wolności twórcy kodeksu piszą, że ich „przedłużanie może być nawet szkodliwe, bo niweczy wyniki resocjalizacji”. W Komentarzu czytamy: „Niektórzy przyjmują, że długoterminową karą pozbawienia wolności jest kara przekraczająca 5 lat, powołując się przy tym na zasadę humanitaryzmu, prawa jednostki i ekonomię kary”.

Jeśli kara ma być przede wszystkim aktem prewencji indywidualnej w jej resocjalizacyjnym, a nie odstrasającym aspekcie, to nic dziwnego, że nowy kodeks zachęca, by jej wymiar był

**niższy niż wina**

i ciężar przestępstwa. Tak właśnie brzmi art. 53 kk regulujący zasady i dyrektywy sądowego wymiaru kary. Artykuł ten stanowi, że sąd wymierza karę bacząc, by jej dolegliwość nie przekraczała stopnia winy. Jasne jest zatem, że stopień winy ma w oczach ustawodawcy mniejszą wagę niż cele resocjalizacyjne. Dyrektywa prewencji indywidualnej uzyskała w nowym kodeksie podstawowe znaczenie. „Wynika stąd – piszą autorzy komentarza – że kara może być orzeczona poniżej górnego stopnia winy”.

Dalej mamy nawet coś w rodzaju przestrogi przed orzekaniem kar surowych, odpowiadających stopniowi winy, bowiem czytamy w Komentarzu, że sąd, który chce orzec karę w górnej granicy winy, musi uważać, czy nie narusza zasady humanitaryzmu, „zwłaszcza, że sąd w trakcie orzekania nie może mieć pewności, że orzeczona kara w jej wykonaniu spełni założone cele”.

Komentarz przedstawia resocjalizacyjne rozumienie kary za współczesną normę. Tymczasem wśród aktualnych doktryn karnych obecna jest nadal tendencja klasyczna, która widzi w karze akt

**sprawiedliwej odpłaty,**

która przywraca naruszony przez przestępstwo porządek. Tak przedstawia sens kary etyka katolicka.

Katechizm Kościoła katolickiego stawia aspekt sprawiedliwościowy przed resocjalizacyjnym: „Pierwszym celem kary jest naprawienie nieporządku wywołanego przez wykroczenie. Gdy kara jest dobrowolnie przyjęta przez winowajcę, ma wartość zadośćuczynienia. Ponadto kara ma na celu ochronę porządku publicznego i bezpieczeństwa osób. Wreszcie kara ma

**wartość leczniczą;**

powinna w miarę możliwości przyczynić się do poprawy winowajcy”.

Zerwanie z tradycyjnym pojmowaniem prawa karnego i kary jest pochodną stanowiska ideologicznego. Rzecznicy nowych rozwiązań zakładają optymistyczną wizję społeczeństwa i możliwość resocjalizowania wszystkich przestępców. Kwestionują natomiast odstrasżający cel kary. Zdaniem K. Buchały i A. Zolla prewencja generalna negatywna (odstrasżanie potencjalnych przestępców) koliduje z etyką i jest w praktyce nieskuteczna. Odstrasżanie ma być nieskuteczne z powodu... niskiej wykrywalności przestępstw. Słabość państwa ma przemawiać za rezygnacją z odstrasżającego znaczenia kary, a sytuacja w więziennictwie za ograniczeniem kary pozbawienia wolności. Sprawa jest zatem

### **postawiona na głowie.**

Zamiast wzmocnić siłę państwa i wykrywalność przestępstw, mamy po prostu ograniczać stosowanie kar, które nie mieszczą się w ramach resocjalizacyjnej ideologii, a jeśli już orzekamy karę pozbawienia wolności, to powinniśmy często korzystać z warunkowego zawieszenia i przedterminowego zwolnienia.

Stanowisko to w sposób oczywisty przeczy doświadczeniu społecznemu. W każdym społeczeństwie zawsze istnieje grupa przestępców, których nie można poprawić. Nie wolno opierać polityki karnej na założeniu, że sprawca morderstwa dokonanego z najwyższym okrucieństwem zostanie zresocjalizowany. Stosowanie wobec tej grupy sprawców złagodzonych kar mija się z celem. Nikt nie może zaprzeczyć, że przestępczość jest też zjawiskiem socjologicznym i stanowi zły owoc rozpadu ładu społecznego. Państwo ma obowiązek wspierania akcji wychowawczej zapobiegającej powstawaniu przestępczości. Jednak alternatywa – wychowywać czy karać – jest fałszywa. Kara bezpodstawnie złagodzona nie wychowuje, skłania do bezkarności, a u pokrzywdzonego wywołuje uzasadnione poczucie krzywdy.

Wielki polski tomista ojciec Jacek Woroniecki pisał w *Katolickiej etyce wychowawczej*, że „pobłażliwość będąca niedomiarem surowości, jest także czymś złym, świadczy bowiem o obojętności na zło w życiu społecznym, które coraz

bardziej ulega rozkładowi, gdy zapanuje w nim bezkarność”. Podkreślał, że z punktu widzenia etyki chrześcijańskiej można mówić o

### **prawie społeczeństwa**

do sprawiedliwej kary.

Obóz zwolenników twardej polityki karnej i odbudowy silnego państwa jest dziś w mniejszości. Stać nas na drobne sukcesy i ograniczenie fali pobłażliwości wobec przestępców. Warunkiem poważnej zmiany jest zakwestionowanie ideologicznych fundamentów nowych kodeksów i przywrócenie prawu karnemu tradycyjnej funkcji. Prawo do kary musi stać ponad interesem przestępcy.

Alan Peyrefitte, któremu przyszło kierować francuskim resortem sprawiedliwości w drugiej połowie lat 70., pisał, że „tam gdzie ginie odwaga karania, zwycięża fałszywa litość, która popycha przeciwko ogółowi uczciwych ludzi całą armię złoczyńców”. W książce *Wymiar sprawiedliwości. Między ideałem a rzeczywistością* stwierdzał: „Społeczeństwo, które nie wierzy już w znaczenie kar, nie wierzy już w wartość wolności”. W Polsce w znaczenie kar muszą uwierzyć ludzie, którzy ponoszą w najwyższym stopniu odpowiedzialność za wolność i bezpieczeństwo obywateli.

(„Życie”, 8.10.1998)





## Bierność wraca

Dwadzieścia lat temu ukończyłem studia prawnicze w atmosferze radykalnej krytyki polityki karnej lat osiemdziesiątych posługującej się represją do walki z opozycją polityczną i zastraszania społeczeństwa. Podobnie jak większość moich koleżanek i kolegów związanych z opozycją i „Solidarnością” byłem zwolennikiem liberalizacji prawa karnego i szybkiej likwidacji państwa policyjnego.

Po odzyskaniu niepodległości ludzie „Solidarności” nie wiedzieli co zrobić, by demokratyczne państwo dysponowało siłą w walce z przestępczością. Środowisko byłej opozycji mimo upadku komunizmu wyrażało nieufność wobec instytucji odpowiadających za twarde funkcje państwa. Wiara, że samorząd sędziowski będzie gwarantem sprawnego sądownictwa była silnym elementem tej wizji. Ten typ myślenia szybko zaowocował bezradnością państwa w walce o bezpieczeństwo obywateli.

Moją intuicję, że demokracja nie musi oznaczać słabości w tej sferze potwierdziła lektura książki Alaina Peyrefitta, francuskiego ministra sprawiedliwości z końca lat 70. (Alain Peyrefitte, *Wymiar sprawiedliwości. Między ideałem a rzeczywistością*, Warszawa 1987). Gaullistowski minister dzielił się z czytelnikami doświadczeniem polityka, który odpowiadał za walkę z przestępczością i dobre funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości w warunkach państwa prawa i dojrzałej demokracji. Program Peyrefitta zakładał zaostrenie reakcji karnej na ciężkie przestępstwa, krytykę ideologii skutkującej masową liberalizacją kar i poszukiwanie instytucjonalnych warunków umocnienia wymiaru sprawiedliwości w ramach zasad panujących w naszej cywilizacji. W swej książce pisał, że „społeczeństwo, które nie rozumie znaczenia kary, nie docenia znaczenia wolności”. Z pewnością poglądy podobne do idei Peyrefitta spotkałyby się

w Polsce z krytyką środowisk, które doprowadziły do uchwalenia kodeksu karnego z roku 1997 i utożsamiają nowoczesną politykę karną z opcją, która zakłada, że resocjalizacja musi w każdej sytuacji wyprzedzać sprawiedliwą reakcję.

W moim najgłębszym przekonaniu Polsce potrzebna jest racjonalna polityka karna w duchu Peyerfitta. Polityka wolna zarówno od nadmiernej surowości, jak i ukształtowanej przez skrajny liberalizm pobłażliwości, która skutkuje praktyczną bezsilnością wobec przestępczości.

Wbrew temu, co mówi minister Cwiągalski, rządzący nie muszą wybierać między drakońskim kodeksem z 1969 roku a pełnym liberalizmem w tej sferze. Mogą z powodzeniem i korzyścią dla państwa i obywateli szukać realistycznych rozwiązań bez obawy, że zaostrzenie kar za najcięższe przestępstwa i umocnienie aparatu ścigania doprowadzi automatycznie do naruszenia zasad państwa prawa. Niestety, ani Zbigniew Ziobro ani Zbigniew Cwiągalski nie wybrali tej drogi. Pierwszy z nich zmarnował okazję podporządkowując swoje działania doraźnej i nastawionej na marketingowy efekt strategii, obecny minister odrzuca natomiast szukanie rozwiązań innych niż te, które dominowały w polityce karnej lat dziewięćdziesiątych. Zachowuje się tak jakby w Polsce nie było przestępstw popełnianych przez recydywistów na przepustkach, bezsilności wobec chuligaństwa, kompromitacji prokuratorów odpowiedzialnych za zwolnienie Edwarda Mazura, rażących zaniedbań prokuratury w sprawie afery Rywina czy też opisywanych w oficjalnych raportach Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości gigantycznych opóźnień w postępowaniach sądowych.

W polityce ministra Cwiągalskiego istotna jest zatem nie opozycyjność wobec metody przyjętej przez ministra Ziobrę, ale praktyczne przejście do porządku dziennego nad przyczynami kryzysu państwa – słabością w walce z przestępczością i niesprawnością sądownictwa. Przypomnijmy, że analizy wskazujące źródła kryzysu pojawiły się przed powstaniem PiS, a w czasie działania komisji śledczej ds. afery Rywina były formułowane przez polityków i ekspertów z wielu środowisk, także tych identyfikujących się z PO.

Polityka ministra Zbigniewa Cwiąkalskiego nie próbuje jednak rozwiązać żadnego z rzeczywistych i ważnych problemów wymiaru sprawiedliwości. Oficjalne deklaracje rządu w dziedzinie reformy prawa karnego są bardzo ogólnikowe i sprowadzają się do zapowiedzi prac nad kompleksową reformą. Jeśli przyjrzymy się dokładniej wypowiedziom ministra sprawiedliwości, to nie będziemy mieć wątpliwości, że wszelkie zmiany odbywać się będą w ramach aksjologii i rozwiązań przyjętych w kodeksach karnych uchwalonych w 1997 roku. Minister powtarza dogmat o tym, że podstawowe znaczenie ma szybka reakcja na przestępstwo i nieuchronność kary. Ten argument mógłby być prawdziwy, gdyby nie fakt, że łagodność niektórych regulacji kodeksowych – np. w stosunku do recydywistów – powoduje osłabienie organów sprawiedliwości w działaniu. Tymczasem, ministerstwo idzie dalej i zapowiada np. zniesienie specjalnej odpowiedzialności karnej za występki o charakterze chuligańskim, które dodatkowo osłabi reakcję karną na bardzo dolegliwe dla obywateli przestępstwa. „Tam, gdzie ginie odwaga karania, zwycięża fałszywa litość, która popycha przeciw ogółowi uczciwych ludzi całą armię złoczyńców” – powiada Alain Peyrefitte we wspomnianej książce i doprawdy trudno doszukać się w tym cytacie wezwania do zemsty.

Przyjmijmy, że profesor Zbigniew Cwiąkalski działa w dobrej wierze i ma rację przyznając zasadnicze znaczenie stosowaniu prawa, a nie jego zmianie. Wszakże pod warunkiem, że przedstawia projekt usprawnienia wymiaru sprawiedliwości i aktywnie mobilizuje prokuraturę do twardego działania. Tymczasem to, co mówi o zadaniach prokuratury obecny minister sprawiedliwości wskazuje na to, że nie potrafi wyjść poza perspektywę właściwą dla obrońcy. Pytanie o to, czy adwokat może pełnić funkcję ministra sprawiedliwości zawiera w sobie nieuzasadnioną dyskwalifikację tego zawodu. Ale z chwilą objęcia funkcji ministra sprawiedliwości polityk staje się adwokatem interesu publicznego.

Wydaje się, że minister Cwiąkalski świadomie tej roli nie chce podjąć. Projekt wyodrębnienia prokuratury z resortu sprawiedliwości oznacza przecież praktycznie „zalegalizowanie” bezczynności ministra – tym samym bezczynności demokra-

tycznej władzy – w dziedzinie egzekucji praworządności. W reakcji na polityzację prokuratury dojdzie zatem do jej korporatyzacji, bo chodzi o coś więcej niż oddzielenie funkcji ministra od stanowiska prokuratora generalnego. Prokuratura ma znaleźć się poza rządem, a prokurator generalny ma być powołany spośród kandydatów wysuniętych przez Krajową Radę Sądownictwa i Krajową Radę Prokuratury. Tymczasem, to do ministra sprawiedliwości należy aktywny nadzór i kierowanie całością działań prokuratury albo przynajmniej – jak dzieje się to w Niemczech i Szwecji – nadzór nad podległą mu prokuraturą generalną. Dramatyczna sprawa porwania Krzysztofa Olewnika (syna płockiego biznesmena uprowadzonego dla okupu i zamordowanego w wyniku nieprawidłowości działania organów ścigania) jest przykładem patologii, do jakich dochodzi wtedy, gdy prokuratura nie podlega nadzorowi ze strony nieuwikłanej władzy dysponującej silnym mandatem demokratycznym.

Trzeba dodać, że wbrew deklaracjom rządu ulokowanie prokuratury poza władzą wykonawczą nie jest normą europejską, przypomina raczej rozwiązanie z czasów PRL. Przypomnijmy, że przyporządkowanie prokuratury ministrowi sprawiedliwości było jednym z demokratycznych postulatów programu „Solidarności” z 1981 roku. Podobnie normą europejską nie jest tak silna pozycja samorządu sędziowskiego, która eliminuje realny nadzór administracyjny nad sądami ze strony ministra sprawiedliwości. Z deklaracji ministra Cwiągalskiego wynika, że nie będzie poszukiwał rozwiązań usprawniających sądownictwo. Działania takie nie muszą wywoływać ostrego konfliktu z korporacją sędziowską, ale powinny naruszać naiwne przekonanie, że samorząd zawodowy sam rozwiąże te problemy. Bierność w tej dziedzinie oznacza zgodę na niesprawność sądownictwa zauważaną nawet z pozycji przychylnych dla dokonania III Rzeczypospolitej. Warto zastanowić się nad głosem Leszka Balcerowicza, który w niesprawności sądów widzi jedną z przyczyn spowalniających rozwój gospodarczy.

Piszę te słowa z uczuciem zawodu i bez najmniejszej satysfakcji. Pomimo różnic w podejściu do wymiaru sprawiedliwości mam szacunek dla dorobku profesora Cwiągalskiego i jego

postawy w stanie wojennym. Jednak wygodna strategia, którą wybrał jako minister sprawiedliwości, oznacza brak reakcji na rzeczywiste słabości polskiego wymiaru sprawiedliwości. Oznacza także zwycięstwo optyki korporacyjnej nad dobrem publicznym, które domaga się poważnych zmian. Każdy obserwator polskiej sceny publicznej wie, że sondażowy rachunek pozwala na prowadzenie takiej polityki ze względu na silny społeczny sprzeciw wobec polityki PiS-u. Jednak cena niskiej efektywności wymiaru sprawiedliwości i opóźnień w postępowaniach sądowych zostanie zapłacona przez obywateli. Zapłacimy ją również z tego względu, że niepewność prawa i niesprawność sądownictwa jest jednym z czynników pomniejszających atrakcyjność inwestowania w Polsce. Prawo cywilne już w czasach rzymskich znalazło określenie dla szkody wynikającej z braku możliwości działania. *Lucrum cessans* – zysk utracony, w tym wypadku poniesiony z powodu braku dobrej i odważnej polityki.

(„Gazet Wyborcza”, 19.05.2008)



## **Miejsce kultury w polskiej polityce zagranicznej**

Zagadnienie roli kultury w prowadzeniu polityki zagranicznej państwa stało się – między innymi za sprawą redakcji „Plusa Minusa” – przedmiotem debaty publicznej. Ale nie tylko debaty. Podpisanie przed kilkoma miesiącami listu intencyjnego ministra kultury i dziedzictwa narodowego oraz ministra spraw zagranicznych, powołanie Instytutu im. Adama Mickiewicza i wzmocnienie pionu dyplomacji kulturalnej w MSZ stworzyło w tej dziedzinie nowe fakty.

Szczególnie powstanie Instytutu im. Adama Mickiewicza traktuję jako jedno z najważniejszych wyzwań, które stoją przed kierowanym przeze mnie resortem. Nie sposób też nie zauważyć olbrzymiego zdynamizowania działań MSZ w tym kierunku. Zmiany instytucjonalne jednak nie wystarczą. Niezbędne jest szybkie przyjęcie stosownego programu celów i środków polskiej dyplomacji kulturalnej oraz zagwarantowanie na jej realizację odpowiednich funduszy.

Jednym z istotnych osiągnięć rządu Jerzego Buzka w kształtowaniu zasad polityki zagranicznej III Rzeczypospolitej będzie zapewne stworzenie fundamentów polskiej dyplomacji kulturalnej, częściowo tylko trafnie zwanej „trzecim filarem” polityki zagranicznej. Często bowiem trudno jest oprzeć się wrażeniu, że to właśnie kontakty kulturalne jako pierwsze torują miejsce innym formom współpracy. Często również tam, gdzie ścisła współpraca polityczna jest trudna bądź niemożliwa, kontakty kulturalne są podstawowym narzędziem kształtowania stosunków międzynarodowych.

### **Kultura a polityka**

„Dyplomacja kulturalna” to stosunkowo nowe pojęcie w słowniku polskiej polityki. Jednak nie mamy tutaj do czynienia z niezapisaną tablicą. Można zaryzykować stwierdzenie, że



swego rodzaju polityka kulturalna Polski była jedynym sposobem prowadzenia polityki polskiej przez długie lata zaborów oraz w znacznym stopniu w latach PRL. Życie duchowe i intelektualne było tym obszarem, w którym toczyło się suwerenne życie narodu i jego komunikacja z innymi narodami. Dlatego nazwisko Adama Mickiewicza jako poety, który wywarł olbrzymi wpływ na literatury naszej części Europy, oraz między innymi wykładowcy College de France, jest jak najbardziej na miejscu, jako patrona instytutu promującego polską kulturę. Warto tu również przypomnieć rolę ośrodków emigracji powojennej – szczególnie w Wielkiej Brytanii i Francji, które odegrały bezprecedensową rolę w prowadzeniu najważniejszych interesów i spraw narodu przez 45 lat komunizmu.

### **Co mamy do zaoferowania**

Nie ma skutecznej dyplomacji kulturalnej bez określenia ogólnych kierunków polityki zagranicznej Polski. Chciałbym bronić tezy fundamentalnej dla naszej dyskusji, że dyplomacja kulturalna nie może być jedynie prostą prezentacją osiągnięć polskiej kultury – tworzeniem wystaw, organizowaniem spotkań z pisarzami czy koncertów. Dyplomacja kulturalna jest realizacją celów polityki zagranicznej państwa za pomocą osiągnięć polskiej kultury i polskiego dorobku intelektualnego. Powinna ona więc w pewnej mierze obejmować również promocję dorobku politycznego i gospodarczego Polski.

W tak rozumianej promocji mamy do zaoferowania wiele bardzo atrakcyjnych towarów. Pozwolę sobie tylko wskazać na trzy przykłady. Dorobek I Rzeczypospolitej jako państwa republikańskiego, opartego na unii wolnych narodów, państwa broniącego chrześcijańskich fundamentów Europy – a zarazem zasad tolerancji religijnej, które może być ciekawym punktem odniesienia w dzisiejszych debatach nt. integracji europejskiej. Dorobek „Solidarności” – przede wszystkim jej szczególnie wkład w uwolnienie Europy od komunizmu, który w świadomości międzynarodowej został przyćmiony przez spektakularne wydarzenia związane z upadkiem muru berlińskiego. Wreszcie

dorobek ostatniego dziesięciolecia, a zwłaszcza osiągnięcia reform rządów Tadeusza Mazowieckiego i Jerzego Buzka.

### **Priorytety**

Wypada w tym miejscu skonfrontować priorytety polityki zagranicznej Polski z realnymi działaniami, jakie prowadzi polska dyplomacja kulturalna.

**1. Integracja europejska.** Sądzę, że najważniejszym priorytetem polityki zagranicznej Polski po wejściu do NATO jest dzisiaj polityka europejska. Podstawowym zadaniem dyplomacji kulturalnej jest rozbrajanie obaw i stereotypów, które mogą obciążać naszą współpracę i negatywnie wpływać na możliwości politycznego oddziaływania w Unii Europejskiej. Zadaniem, które stoi przed nami, jest pokazanie Polski jako kraju twórczego, który posiada długą tradycję kulturalną i polityczną i który dokonał w ciągu ostatniej dekady olbrzymiego skoku cywilizacyjnego.

Chciałbym wspomnieć w tym miejscu o realizowanym we współpracy MKiDN z MSZ udziale w Europaliach – wielkim festiwalu kultury w Brukseli, w przyszłym roku. Nie sposób tu pominąć Frankfurtu 2000. Jestem przekonany, że wbrew wielu słusznym, i tym niezasłużonym, krytykom, bilans tej imprezy wypadnie pozytywnie, chociażby w postaci dorobku translatorskiego Funduszu Literatury, którego działalność zamierzam utrzymać również w przyszłości, w ramach zadań Instytutu Mickiewicza. Ważnym problemem, którego rozstrzygnięcie może wpłynąć na poziom polskiej obecności w Niemczech, jest przyszłość Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Sądzę, że Fundacja powinna być dofinansowana przez oba rządy również po wyczerpaniu środków z niemieckiego kredytu. Myślę, że jej profil powinien w większym stopniu uwzględniać inicjatywy, zmierzające do promocji Polski w Niemczech.

**2. Polityka wschodnia.** Tu najciekawszym towarem eksportowym są polskie doświadczenia z wolnością: zarówno doświadczenia obrony polskiej kultury i społeczeństwa przed totalitaryzmem, jak i doświadczenia odbudowy suwerennego państwa. Bez sprawnej dyplomacji kulturalnej niemożliwa jest re-

alizacja naszej „wschodniej specjalizacji” w ramach NATO i UE. Przy ograniczonych zasobach innych środków, budowa silnych relacji polskich i ukraińskich jest jednym z instrumentów wzmacniania współpracy na innych płaszczyznach. Sądzę, że niezwykle ważną wagę mają dla nas również dobre kontakty z Rosjanami. Na Białorusi dyplomacja kulturalna może pełnić pewne zastępcze funkcje wobec niemal nieistniejących relacji politycznych.

Pierwszym celem jest tu zabezpieczenie dotychczasowych osiągnięć i „stanu posiadania”. Paradoksalnie, w wielu przypadkach nastąpił swego rodzaju regres nawet w stosunku do sytuacji w latach 60. i 70., kiedy kontakty z Polską były często na obszarze ZSRR jedyną formą komunikacji z Zachodem! Oczywiście obniżenie się konkurencyjności języka polskiego wobec ekspansji anglosaskiej kultury masowej, to – obok zaprzestania tradycyjnej promocji na Wschodzie polskiej prasy, książki i filmu – podstawowy powód tej sytuacji. Dodatkowo niepokojąca jest nieobecność Polski na licznych uczelniach wyższych na Wschodzie.

W stosunkach z Ukrainą wielkie znaczenie mają projekty, które dotyczą wątków kultury łączących nasze narody. Cieszę się, że prowadzony w ubiegłym roku pod patronatem premiera Jerzego Buzka program „Roku Słowackiego” stał się okazją do kilku ważnych wydarzeń o skali międzynarodowej, wciągających do współpracy stronę ukraińską. Mam nadzieję, że w ciągu kilku miesięcy w dworku krzemienieckim powstanie muzeum jako miejsce spotkań pisarzy polskich i ukraińskich.

**3. Polityka regionalna.** Współpraca z państwami Grupy Wyszehradzkiej jest przykładem wymiany doświadczeń pomiędzy państwami o podobnym poziomie rozwoju i możliwościach. Zarówno ze względu na podobieństwo kultury, dziejów, położenia, jak i interesów politycznych, współpraca ta może przynieść ważny efekt zarówno w postaci wzmocnienia istniejących już powiązań, jak i wspólnych inicjatyw promocyjnych wobec partnerów trzecich, zwłaszcza w Unii Europejskiej i USA. Wspólne występowanie na arenie międzynarodowej stwarza nam możliwości wzmocnienia naszego głosu. Ważną rolę

w promowaniu tej współpracy winien odegrać powołany przez premierów przed miesiącem Fundusz Wyszehradzki.

**4. USA.** Sądzę, że najtrudniejszym wyzwaniem są dla nas ciągle Stany Zjednoczone. Warto wspomnieć, że również w tym tak niełatwym dla nas kraju-kontynencie daje się promować polską kulturę. Przykład wystawy „Polska – kraj skrzydlatych jeźdźców” jest tu najlepszym dowodem. Mam nadzieję, że krokiem w dobrym kierunku jest założenie długo oczekiwanego Instytutu Polskiego w Nowym Jorku.

### **Wyzwania**

Lista spraw, które wymagają podjęcia w szybkim tempie, jest wciąż długa: niskie budżety instytutów polskich, brak zasad certyfikacji języka polskiego, brak programu promocji polskiej kultury w Rosji, poza Moskwą i Petersburgiem, w tym w pozaeuropejskiej części Rosji, rozszerzenie działania Instytutu Polskiego w Kijowie, przyjęcie programów rozwoju obecności kultury polskiej w tak wrażliwych miejscach jak Wilno i Lwów, kompleksowy program pomocy zasłużonym dla kultury polskiej instytucjom emigracyjnym i w ogóle wciągnięcie Polonii i Polaków za granicą do współpracy nad promocją Polski. To tylko niektóre z działań stojących przed nami.

Obecnie pomiędzy MKiDN a MSZ trwają ostateczne uzgodnienia dokumentu rządowego „Priorytety zagranicznej polityki kulturalnej Polski”. Sądzę, że zbuduje on właściwe ramy dla działań promocyjnych. Nie ukrywam jednak, że realizacja wielu z tych zadań uzależniona jest od możliwości finansowych rządu.

Niewątpliwie jednak olbrzymi skok organizacyjny i finansowy został dokonany – nie tylko w ramach programów już wymienionych. Mówiąc o szeroko rozumianej promocji Polski, warto doliczyć do tego jeszcze pieniądze wydane m.in. na obecność w Hanowerze, jak i planowane w ciągu najbliższych lat przez rząd ok. 80 mln zł na promocję w krajach Unii Europejskiej.

### **Organizacje pozarządowe**

Polityka zagraniczna jest w zasadzie domeną rządu. Ale polityka zagraniczna w zakresie promocji polskiej kultury nie jest i nie powinna być prowadzona wyłącznie przez rząd i jego agendy. Dlatego agendy rządowe, w tym Instytut Adama Mickiewicza, powinny być otwarte na współpracę z organizacjami pozarządowymi. Chcemy tworzyć możliwości włączania prywatnego mecenatu do konkretnych polskich projektów promocyjnych. Chociażby zaangażowanie polskich organizacji pozarządowych na Białorusi pokazuje, jak wielkie znaczenie może mieć współdziałanie na rzecz wspólnych celów, instytucji rządowych oraz fundacji i stowarzyszeń.

Wydaje się, że w polityce promocji Polski za granicą rola instytucji państwowych powinna polegać przede wszystkim na określaniu politycznych priorytetów polityki kulturalnej, opracowywaniu i dyskretnym koordynowaniu większych akcji promocyjnych oraz zapewnieniu na ich realizację podstawowych środków. Wykonawstwo jednakże poszczególnych projektów zdecydowanie powinno się opierać na zaangażowaniu całej palety instytucji współpracujących: od instytutów polskich, poprzez emigracyjne instytucje polskie, aż po organizacje pozarządowe.

\* \* \*

Polityka kulturalna za granicą to przedsięwzięcie tyleż polityczne, co niepartyjne. Działania, które dzisiaj planujemy, przyniosą owoce dopiero za kilkanaście lat, gwarancją ich powodzenia musi być kontynuacja podjętych dzisiaj działań przez kolejne ekipy rządowe. Dlatego cieszę się z narastającego zainteresowania tematem dyplomacji kulturalnej i promocji Polski, ponieważ uważam, że należy zbudować wokół tej sprawy polityczny i społeczny konsensus.

(„Rzeczpospolita”, 22.07.2000)

# **Pamięć i przyszłość**



## Państwowiec osobliwy

„Tezą naszą jest, że polityka polska dopiero *a la longue* będzie mogła stanąć na wysokości zadań, kiedy zostanie przez konstytucję od ingerencji ludu i jego 444 reprezentantów uniezależniona i kiedy zależeć będzie tylko od jednego człowieka, od Naczelnika Państwa. Teza ta jest wyrozumowana nie na jakiejś podstawie antydemokratycznej czy innej; jest ona przede wszystkim spostrzeżeniem historycznym. Historia, i to nie tylko historia Polski, która zresztą w tym wypadku wydaje się być szczególnie wymowną, ale historia w ogóle stwierdza, że pierwszym i naczelnym warunkiem dobrej polityki zagranicznej jest uniezależnienie jej od ślepych sił demagogicznych i stworzenie potężnej i świadomej siły wyłącznie państwowej”.

Autor tych słów, Adolf Bocheński (1909-44), wywodził swoją tradycję z politycznego myślenia krakowskich stańczyków, ze szkoły Stanisława Tarnowskiego, Józefa Szujskiego i Michała Bobrzyńskiego. Podobnie jak stańczycy w centrum zainteresowań stawiał problem siły państwa i domagał się wzmocnienia władzy wykonawczej. W pracy *Ustrój a racja stanu*, z której pochodzi ten cytat, pisał, że ustrój polityczny musi być tak skonstruowany, by gwarantował stałość i spójność polskiej polityki zagranicznej. Kraj walczący o utrzymanie niepodległości nie może sobie pozwolić na to, by o polityce zagranicznej i obronie decydowały gry stronnictw sejmowych.

### Monarchista z rozsądku

Książka ukazała się dwa lata po zamachu majowym, który położył kres systemowi rządów parlamentarno-gabinetowych. Gdy myślimy o ówczesnych sporach, musimy pamiętać, iż nie tylko marszałek Piłsudski i jego zwolennicy opowiadali się wówczas za zmianą konstytucji marcowej. Kilka miesięcy przed zamachem prof. Roman Rybarski, wybitny przedstawiciel Narodowej



Demokracji, pisał na łamach „Myśli Narodowej” o głębokim kryzysie parlamentaryzmu, postulował stworzenie silnego rządu i odbudowę ładu publicznego. W podobnym duchu pisali prawnicy i publicyści związani z endecją i innymi ugrupowaniami uczestniczącymi w przedmajowych rządach parlamentarnych, tacy jak Waław Komarnicki, Edward Dubanowicz czy Bohdan Wasiutyński.

Młody Bocheński krytykował konstytucję marcową radykalnie. Uważał, że system polityczny uformowany pod jej rządami uniemożliwiał budowę silnego państwa. Hegemonia Sejmu, proporcjonalna ordynacja wyborcza umacniająca pozycję aparatów partyjnych, słabość rządu składały się na państwo pozbawione skutecznej władzy. Jego zdaniem idei silnego państwa najlepiej odpowiada ustrój monarchiczny. Dodajmy, że w jego pojęciu monarchia to takie rozwiązanie ustrojowe, w którym cała władza wykonawcza podporządkowana była królowi. Za monarchią przemawiały jego zdaniem argumenty pragmatyczne: „We wszystkich dziedzinach życia państwowego, czy to będzie polityka zagraniczna, ekonomiczna, czy rozbudowa floty, dokonanie czegoś naprawdę trwałego wymaga dłuższego czasu. Gdy ustrój nie zapewnia rządowi pozostawania przez kilkuletni co najmniej okres przy sterze, istnieje tylko bardzo nikłe prawdopodobieństwo, by państwo mogło zrobić krok naprzód w hierarchii międzynarodowej... Zagadnienie stałości władzy również wskazuje dobitnie na konieczność rządów człowieka, który by ją posiadał konstytucyjnie zapewnioną na jak najdłuższy okres czasu”.

Autor *Ustroju i racji stanu* był zatem monarchistą pragmatycznym. Opowiadał się za monarchią, bo ona mogła zapewnić stałość władzy w najważniejszych dla państwa dziedzinach. „Tak” dla monarchii nie wpływało z motywów religijnych czy tradycjonalistycznych, jak to miało miejsce w przypadku Mariana Zdziechowskiego, Hieronima Tarnowskiego czy Kazimierza Mariana Morawskiego.

## Konstytucja – tak, ordynacja – nie

W latach trzydziestych stanowisko Bocheńskiego ewoluuje w kierunku rozwiązań, które dziś określilibyśmy mianem prezydencko-parlamentarnych. Krytyka „sejmokracji” nie prowadziła go do przyjęcia rozwiązań autorytarnych. Co więcej, gdy obóz rządzący zmierzał do eliminacji opozycji z życia politycznego, gdy starał się podporządkować sobie sądownictwo, uniwersytety i stowarzyszenia społeczne, Bocheński należał do głównych przeciwników tej polityki. Zwalczał ją w imię wolności i... siły państwa. Twierdził bowiem, że autorytaryzm wywołuje kryzysy polityczne, pcha opozycję do działań nielegalnych, przez co osłabia państwo w stopniu nie mniejszym niż ustrój nieograniczonej wolności. W artykule *Dwie konstytucje* pisał: „Konstytucja gwarantująca w bardzo dużym stopniu legalną stałość może z największą łatwością doprowadzić do niestałości nielegalnej”.

Propozycje ustrojowe Adolfa Bocheńskiego szły w kierunku przywrócenia równowagi między autorytetem władzy a wolnością polityczną. Sądził, że obszar dyplomacji i armii powinien zostać wyłączony z demokratycznej rywalizacji i w całości powierzony prezydentowi. W pozostałych kwestiach obowiązywać powinny reguły parlamentaryzmu. Jednym słowem, Bocheński domagał się realizacji nie tylko litery, ale również ducha konstytucji kwietniowej:

„Wyrazem potrzeby siły i wolności oraz należytego między nimi kompromisu jest Konstytucja Kwietniowa. Dlatego też stoimy na gruncie tej konstytucji, domagając się jednak szczerzego wykonania nie tylko jej litery, ale również i ducha: uczciwego wypełniania nie tylko tych przepisów, które mówią o uprawnieniach władzy wykonawczej, lecz również tych, które mówią o współudziale obywateli w pracy państwowotwórczej. Odsunięcie społeczeństwa od tej pracy, zepchnięcie obywateli do roli biernych, załęczonych i w głębi duszy nienawidzących autokratyzmu poddanych jest prawie równym nieszczęściem jak rządy liberalno-parlamentarne”.

W pierwszej kolejności chodziło o wprowadzenie w życie konkurencyjnej ordynacji wyborczej dającej możliwość legal-

nego dochodzenia opozycji do władzy bez naruszania stałej linii polityki państwa w dziedzinie polityki zagranicznej. Uchwalenie ordynacji wyborczej dającej spadkobiercom Józefa Piłsudskiego „władzę na własność” traktował jako wynaturzenie konstytucji kwietniowej, nie zaś jej urzeczywistnienie.

### **Pułkownicy do koszar**

Bocheński uznawał zasługi historyczne i autorytet marszałka Piłsudskiego, kwestionował jednak niejednokrotnie politykę jego najbliższych zwolenników. Współpracował z prosanacyjnym, wydawanym przez Jerzego Giedroycia pismem „Bunt Młodych”, przekształconym następnie w „Politykę”. Gdy jednak sanacja sięgnęła po brutalne metody walki politycznej i utworzyła obóz w Berezie Kartuskiej, doszło do dwuletniego konfliktu Adolfa Bocheńskiego i Ksawerego Pruszyńskiego z bardziej ugodowym wobec obozu rządzącego Giedroyciem. W roku 1934 Bocheński na znak protestu chciał zgłosić się do Berez jako dobrowolny więzień. W ostatniej chwili uległ namowom brata Aleksandra i wycofał się z pomysłu. Efektem sporu z Giedroyciem było powołanie do życia dwutygodnika „Problemy” otwarcie krytykującego politykę rządu. Właśnie na łamach tego pisma ukazał się tekst pt. *Rusyfikacja Polski współczesnej*, w którym Bocheński postawił pułkownikom najcięższy zarzut przenoszenia na grunt polski wschodniej kultury politycznej: „Dziś rusyfikację ustroju wewnętrznego w Polsce robią ludzie, których głównym puklerzem są zasługi poniesione w walce politycznej z Rosją. Ten system, przeciw któremu protestowaliśmy u Nowosilcowa i u Kunty, nie wywołuje takiego odruchu, gdy robiony jest przez Biernackiego i Klukowskiego. Stacamy się zupełnie w przepaść, u dna której znajduje się zupełny podbój Polski przez kulturę rosyjską”.

Zakochany w polskiej tradycji wojskowej Bocheński nie wahał się pisać o „koszaryzacji życia politycznego” spowodowanej coraz większą rolą wojskowych, których mentalność prowadzi do etatyzmu, rządów przymusu i upadku poczucia samoczynnego patriotyzmu. „Reżim pomajowy ma w Polsce do spełnienia wielką misję. Misją tą jest obrona kraju przed barba-

rzyńskimi prądami zagrażającymi jej na zewnątrz z lewej strony i ze strony prawej. Misją tą jest zamienienie Polski na państwo zachodnioeuropejskie, oparte na swobodnych, zamożnych, z dobrowolnym przywiązaniem odnoszących się do Rzeczypospolitej obywateli. Misji tej reżim pomajowy nie spełni, jeśli opierać się będzie na metodach rządzenia, a zwłaszcza gospodarowania siłami wybrakowanej stupajkowszczyzny wojskowej”.

Krytykował też Adolf Bocheński obóz belwederski za kwestionowanie autonomii wyższych uczelni, za ograniczanie praw samorządu terytorialnego i za tendencje etatystyczne w gospodarce. Bronił własności prywatnej i indywidualnej inicjatywy ekonomicznej, przeciwstawiał się popularnym w latach trzydziestych wezwaniom do rozszerzenia udziału państwa w życiu gospodarczym. W jednym z listów do swego kolegi z „Buntu Młodych” Mieczysława Pruszyńskiego stwierdzał:

„Chociażbym miał być zupełnie sam, chociażbym miał zwichnąć całą moją karierę polityczną, będę zawsze głosił te rzeczy, które uważam za zasadnicze i bez których państwo cywilizowane nie może się obejść. Najniebezpieczniejszą cechą młodego pokolenia, i to całego, tak endecji, jak i lewicy, jest wrogie ustosunkowanie się do a) kapitalizmu b) wolności politycznej, czyli do tej czy innej formy parlamentaryzmu. Jest to potężny prąd, który zagraża w ogóle podstawom cywilizacji w Polsce i w Europie. Za nasz obowiązek uważam stworzenie potężnego ruchu umysłów w przeciwnym kierunku”.

Bocheński był dziwnym państwowcem. Podczas gdy myśl państwowa w latach trzydziestych i po wojnie szła w całej Europie w kierunku centralizmu i etatyzmu, twierdził, że silne państwo musi być zdecentralizowane i nie powinno mieć ambicji, żeby sprawować kontrolę nad gospodarką.

### **Otwarcie na Ukraińców**

W wydanych przed dwudziestoma kilkoma laty *Stylach politycznego myślenia* Marcin Król ukazał Adolfa Bocheńskiego niemal wyłącznie jako antagonistę Narodowej Demokracji. Tymczasem spór z endecją miał w niemałym stopniu charakter debaty wewnętrznej, był rywalizacją o rząd dusz młodego po-

kolenia. Istniał również obszar spraw ważnych i wspólnych dla całej prawicy. Adolf Bocheński bronił Kościoła i tradycyjnego świata wartości przed atakami środowisk lewicowo-liberalnych. Zachowały się jego gwałtowne polemiki z „Wiadomościami Literackimi” i kosmopolitycznym przesłaniem sztuki Antoniego Słonimskiego „Rodzina”. Wielokrotnie polemizował z radykalnymi poglądami Tadeusza Boya-Żeleńskiego na obyczajowość.

Spór z publicystyką narodowodemokratyczną odnosił się do rozumienia interesu narodowego i roli państwa. „Różnica zasadnicza między polskim konserwatyzmem a nacjonalizmem, między szkołą Bobrzyńskiego i Mackiewicza a szkołą Dmowskiego leży nie w celu, który u obu jest ten sam, lecz w środkach, które do tego celu, do wielkości Narodu prowadzić mają”. Bocheński uważał, że interes narodowy zależy od siły państwa. „W ogóle w walce o byt walczą bezpośrednio nie narody, lecz państwa. Im który naród posiada silniejsze państwo, tym wyższe zajmuje stanowisko w hierarchii narodów i tem łatwiej potrafi się obronić”. Z tego właśnie względu Bocheński przeciwstawiał się endeckiej koncepcji polityki wobec mniejszości ukraińskiej. Uważał, że dążenie do jej zasymilowania prowadzi do walk wewnętrznych, kryzysu państwa, a co za tym idzie – do osłabienia pozycji Polski na arenie międzynarodowej. Dla Bocheńskiego ważny był nie fakt istnienia mniejszości narodowych, lecz to, jaką postawę zajmują wobec państwa, lojalną czy rewolucyjną, pozytywną czy negatywną. W polemice ze Stanisławem Grabkim pisał, że „między interesem narodu a jego etnograficznym rozprzestrzenianiem się nie ma stałego związku i wręcz odwrotnie – jest najczęściej zupełna sprzeczność”. Proponował prowadzenie wobec Ukraińców polityki liberalnej, zmierzającej do pozyskania ich dla państwowości polskiej. Uważał za konieczne rozszerzenie ich swobód kulturalnych, uznanie języka ukraińskiego za drugi język urzędowy i wyrażenie zgody na otwarcie uniwersytetu ukraińskiego. Opowiadał się też za reformą ordynacji wyborczej do samorządu lokalnego, która zapewniłaby równą reprezentację Polaków i Ukraińców. Liczył, że dzięki temu dojdzie do współpracy obu narodów na obszarach mieszanych.

Bocheński wierzył w możliwość zgodnego życia Polaków i mniejszości narodowych pod dachem Rzeczypospolitej. Jego program mniejszościowy nie rościł sobie pretensji do rozwiązania problemu stosunków polsko-ukraińskich raz na zawsze. Wysunięty przez piłsudczyka Tadeusza Hołówkę i działacza PPS Mieczysława Niedziałkowskiego pomysł przyznania mniejszości ukraińskiej autonomii terytorialnej uznawał za przedwczesny. Był rzecznikiem poglądu, że liberalna polityka mniejszościowa ma sens, jeśli towarzyszyć jej będzie tępienie szowinizmu i popieranie „wszelkimi godziwymi środkami naturalnych dążeń narodu polskiego do rozwoju własnych instytucji”.

### **Z Niemcami, przeciw Rosji**

Drugim obszarem sporu ze szkołą Romana Dmowskiego była polityka zagraniczna. Kariera dyplomatyczna Bocheńskiego trwała bardzo krótko, w roku 1936 był urzędnikiem w poselstwie polskim w Pradze. Ze stanowiskiem musiał się pożegnać, gdy publicznie skrytykował postępowanie władz polskich wobec Wincentego Witosa, który w Czechosłowacji schronił się przed prześladowaniem.

Poglądy na kwestie zagraniczne Adolf Bocheński wyłożył w opublikowanej w 1937 roku pracy zatytułowanej *Między Niemcami a Rosją*. Od wydawcy – Jerzego Giedroycia – zażądał, by książka ukazała się bez jakiegokolwiek dotacji ze strony MSZ. Praca jeszcze dziś może służyć jako podręcznikowy przykład erudycyjnej rozprawy politycznej. Była wykładem oryginalnej we wnioskach, zdecydowanie antysowieckiej koncepcji. Jej istotę stanowiło przekonanie, że największym zagrożeniem interesów państwa polskiego jest sojusz Rosji z Niemcami. Sojusz ten może zostać zawiązany niezależnie od ideologicznych różnic. „Opierać politykę polską na nadziejach, że Rzesza Niemiecka będzie wbrew swemu interesowi narodowemu prowadzić politykę pochodzącą wyłącznie z niechęci do komunizmu w Rosji, tzn. chcieć budować zamki na lodzie, względnie kręcić bicze z piasku”. Bocheński uważał więc, że naczelnym obowiązkiem polityki polskiej jest odsuwanie tego niebezpieczeństwa poprzez podtrzymywanie antagonizmu niemiecko-

rosyjskiego. W tym celu wspierać trzeba bardziej agresywnego i zaczepnego uczestnika sporu – Niemcy. W dalszej perspektywie Polska powinna osłabić potęgę jednego ze swych wielkich rywali. Bocheński przekonywał, że w dobie nacjonalizmów słabszy jest wielonarodowy moloch – Związek Radziecki. Uważał, że osłabienie Rosji Sowieckiej poprzez wytworzenie na jej zachodnich granicach kilku państw narodowych zażegna niebezpieczeństwo koalicji niemiecko-rosyjskiej.

Polska miała być państwem rewizjonistycznym, to znaczy stawiającym na zmianę układu wytworzonego po I wojnie światowej. „Musimy zrozumieć, że tylko radykalna zmiana konfiguracji terytorialnej Europy Wschodniej może nas w przyszłości uchronić przed koalicją niemiecko-rosyjską”. Bocheński formułował swe koncepcje w okresie relatywnego ocieplenia stosunków polsko-niemieckich po 1934 roku i w tym czasie bagatelizował możliwość skierowania ekspansji Niemiec przeciwko Polsce. Nie dostrzegał też niebezpieczeństwa związanego z przemarszem wojsk niemieckich w ramach wspólnej akcji przeciw ZSRR. W momencie gdy Niemcy wysunęły roszczenia rewindykacyjne, jednoznacznie wypowiadał się przeciwko polityce ustępstw, stojąc na stanowisku, że na „wszelką próbę pomniejszenia terytorium możemy odpowiedzieć tylko zbrojnie”.

Historia zaprzeczyła logicznym wywodom Bocheńskiego. Jednak wartościowa, co więcej – aktualna jest proponowana przez niego metoda myślenia o polityce zagranicznej. Adolf Bocheński uważał, że wyłączną dyrektywą polityki polskiej powinna być racja stanu, a dokładnie – potęga państwa mierzona stosunkiem sił na arenie międzynarodowej. Celu tego nie wolno poświęcać na ołtarzu ideologicznych planów i historycznych sympatii. Zarzut ideologizacji polityki polskiej odnosił przede wszystkim do profrancuskiego nastawienia endecji. W najbardziej pasjonujących fragmentach *Między Niemcami a Rosją* kulturowy frankofil, jakim był Bocheński, dowodził istnienia „nieuchronnej” sprzeczności między interesami Rzeczypospolitej a polityką Francji, która poszukuje najsilniejszego partnera pozwalającego zrównoważyć wzrost potęgi Niemiec. Polska w takiej optyce musiała przegrać z Rosją.

Bocheński uważał, że polityką zagraniczną rządzi zasada dynamizmu. Nie wolno więc apriorycznie wskazywać dobrych i złych sąsiadów Polski. Uważał, że błędem szkoły Dmowskiego było zapoznanie elementarnej zasady dynamizmu stosunków międzynarodowych i wypowiedanie poglądu o wiecznie dobrych i złych sąsiadach Polski.

### **Gdy koncepcja się nie sprawdziła...**

Z chwilą wybuchu wojny Adolf Bocheński uznał, że jego proniemieckie koncepcje geopolityczne poniosły klęskę. Wybrał służbę wojskową, propozycje pracy w dyplomacji i prasie konsekwentnie odrzucał. W *Autobiografii na cztery ręce* Jerzy Giedroyc napisał: „Dla Adzia sprawą zasadniczą była zgodność słów i czynów. Gdy jego koncepcja współpracy z Niemcami przegrała, poszedł do wojska i dał dowody wielkiej odwagi. Był zbyt religijny, by popełnić samobójstwo, ale szukał śmierci”. Rzeczywiście, zasłynął jako żołnierz szaleńczej odwagi, kochany i szanowany przez podwładnych. W roku 1939 ze względu na zły stan zdrowia nie został zmobilizowany, właściwie wykupił się do pułku ułanów. Jego brat Józef, uczestnik kampanii roku 1920, nie dawał mu żadnych szans w wojsku ze względu na słabe zdrowie i indywidualizm. Tymczasem Adolf przedarł się do Francji, walczył w Norwegii, kampanii francuskiej, by później stać się jednym z najsłynniejszych żołnierzy Brygady Karpackiej. Wokół jego czynów wojskowych i stosunku do podwładnych urosła legenda. Zginął, rozbrajając minę pod Ankoną 18 lipca 1944 roku.

Co stałoby się z Adolfem Bocheńskim po zakończeniu wojny? Spora grupa współpracowników „Polityki” wybrała współpracę z nowym reżimem. Brat Adolfa Aleksander inspirował powołanie PAX-u i tuż po wojnie ogłosił *Dzieje głupoty w Polsce*, ostrą krytykę tradycji powstańczo-niepodległościowej. Zdaniem ludzi tak różnych jak Jerzy Giedroyc i Józef Mackiewicz to on „wymyślił” powojenną rolę Bolesława Piaseckiego. Ksawery Pruszyński, Jan Meysztowicz, Józef Winiewicz służyli w PRL-owskiej dyplomacji. Powody tak szerokiego udziału



ludzi tego środowiska w oficjalnym życiu politycznym PRL wymagają osobnej refleksji.

Cała droga życiowa Adolfa Bocheńskiego zwracała go w przeciwnym kierunku i wykluczała aktywność w państwie pozbawionym niepodległości. Chodzi nie tylko o wzgląd moralny, ale również o czynnik czysto intelektualny. Wszystkie jego koncepcje polityczne wiązały się z istnieniem niepodległego państwa polskiego, musiały zatem szukać sposobów odzyskania niepodległości jako warunku prowadzenia polityki polskiej. Benedykt Heydenkorn, jeden ze współpracowników „Polityki”, uważał, że Bocheński powróciłby do idei odbudowy stosunków polsko-niemieckich. Nieliczne teksty, które publikował w czasie wojny na łamach „Orla Białego”, wskazują na trwałość jego zapatrywań w dziedzinie stosunków polsko-ukraińskich. Powojenna linia „Kultury” jest w niemałym stopniu kontynuacją publicystyki Adolfa Bocheńskiego.

Trudno sobie wyobrazić myśl polityczną Bocheńskiego w warunkach braku suwerennego państwa, gdy trzeba było pogodzić się z ewolucyjnym i długofalowym odzyskiwaniem niepodległości. W tym miejscu dotykamy słabej strony jego koncepcji politycznych. Pewien anachroniczny rys myśli politycznej autora *Między Niemcami a Rosją* bierze się z XIX-wiecznego widzenia polityki. Podobnie jak wielu innych przedstawicieli kierunku konserwatywnego redukował rację stanu do militarno-dyplomatycznego położenia państwa. W przeciwieństwie do ludzi swojego pokolenia, Stefana Kisielewskiego czy Wojciecha Wasiułyńskiego, zapoznawał kulturowe i cywilizacyjne czynniki rozwoju narodowego, które w XX wieku odegrały rolę kluczową. W roku 1945 cała metodologia myśli Adolfa Bocheńskiego musiałaby ulec rewizji.

Jednak błędy Bocheńskiego nie mogą przyćmić zalet jego myśli: chłodnej analizy ustrojowej, poszukiwania równowagi między umocnieniem państwa a wolnością, świetnej argumentacji w myśleniu o sprawach międzynarodowych, słowem – tych wartości, które pozwoliły Catowi-Mackiewiczowi widzieć w nim pierwsze pióro młodej publicystyki.

(„Gazeta Wyborcza”, 30.11.2002)

## Dziedzictwo Ruchu Młodej Polski

W sierpniu minęła dwudziesta rocznica powstania Ruchu Młodej Polski, pierwszego prawicowego ugrupowania opozycji demokratycznej. Członkowie RMP uczestniczyli w strajku w Stoczni Gdańskiej i brali udział w tworzeniu „Solidarności”. Później jako grupa „Polityki Polskiej” stanowili jedno z najbardziej twórczych środowisk politycznych. Kres istnienia politycznego RMP przypadł na okres odzyskania niepodległości. Do dziś jednak istotne pozostają dorobek ideowo-polityczny i dziedzictwo Ruchu Młodej Polski.

### **Osoba, naród, niepodległość**

Podstawową zasługą Ruchu Młodej Polski było odtworzenie ciągłości polskiej myśli politycznej i przedstawienie, pod koniec lat siedemdziesiątych, propozycji ideowo-programowej wychodzącej poza horyzont „demokratycznego socjalizmu”. RMP jako jedyne spośród ugrupowań opozycyjnych prezentowało wyrazisty profil ideowy i przedstawiało „personalistyczno-narodową” wizję życia publicznego. Na łamach młodopolskiego „Bratniaka” przywódca Ruchu Aleksander Hall, bronił dorobku znieawidzonej przez lewicę Narodowej Demokracji i upominał się o myślenie w kategoriach interesu narodowego.

Ogłoszona w sierpniu 1979 roku *Deklaracja ideowa RMP* uznawała dobro osoby ludzkiej za najwyższy cel każdej struktury społecznej i państwowej: „Człowiek, osoba ludzka, jej dobro i rozwój, to podstawowa wartość, najwyższy cel, któremu winna służyć każda struktura społeczna i każda forma organizacji politycznej społeczeństwa. Struktury te powinny być kształtowane w taki sposób, aby stwarzały każdemu człowiekowi pełne warunki samorealizacji. Kładziemy akcent na słowa *każdemu człowiekowi*, bo tylko przyjęcie całkowitej powszechności tej zasady nadaje jej rzeczywisty sens. Podważanie zasady po-

wszechności otwiera możliwość uzależnienia człowieka od struktur społecznych i politycznych, wobec których staje się on obiektem manipulacji, a nie podmiotem. Tylko oparcie życia społecznego na zasadzie podmiotowości każdego człowieka umożliwia budowanie sprawiedliwego świata”.

Deklaracja stwierdzała jednak, że prawa i wolności osoby ludzkiej powinny być widziane w związku z powinnościami wobec drugiego człowieka, narodu, państwa i całej rodziny ludzkiej: „Rozwój społeczny jednostki może dokonać się jedynie pod warunkiem trwałego zakorzenienia w naturalnych strukturach społecznych takich jak rodzina, naród, państwo”. Dokument przywoływał etykę chrześcijańską jako podstawowe źródło inspiracji ideowej i podkreślał wielką rolę Kościoła jako obrońcy tożsamości narodowej i strażnika ładu społecznego.

Najbardziej znaczącym i wyróżniającym środowisko elementem ideowym było przyznanie szczególnego znaczenia wspólnocie narodowej: „Jedną z podstawowych wspólnot, w której realizuje się jednostka ludzka jest naród. Naród to duchowa, moralna, kulturalna wspólnota pokoleń przeszłych, teraźniejszych i przyszłych złączonych więzami świadomości, mowy ojczystej, przebytej drogi historycznej, tradycji, realizowanego modelu życia zbiorowego oraz tworzonej kultury, będącej najpełniejszym wyrazem samowiedzy narodowej”. Dla Ruchu Młodej Polski naród nie stanowił wartości absolutnej, widziany był jako wspólnota, która jest „wielką propozycją samo-realizacji”, rozwijającą, a nie kępującą wolność osoby ludzkiej.

Ruch traktował odzyskanie niepodległości jako zasadniczy cel polityki polskiej i widział w nim spełnienie prawa narodu do wolności i wyrażenia własnej tożsamości kulturowej. „Niepodległość jest stanem niezbędnym do normalnego życia narodowego, nie tylko dlatego, że naród chce i ma prawo decydować o własnym losie. Niepodległe państwo jest ze swej natury wcieleniem historycznej idei Ojczyzny, tj. zespołu powszechnie akceptowanych wartości z tym pojęciem związanych, tradycji narodowej, kultury, typu cywilizacyjnego, modelu stosunków państwo-obywatel”. Deklaracja wykraczała poza prostą polityczną racjonalizację niepodległości podając argumentację etyczną mówiącą o prawach i obowiązkach narodu. Naród ma

prawo do niepodległego państwa, ponieważ ma prawo do urzędowania w strukturach państwowych własnych wartości i tym samym wypełniania swoich zobowiązań wobec rodziny ludzkiej. Koncepcja ta zwracała się zarówno przeciwko bagatelizowaniu przez lewicę problemu niepodległości, jak i przeciw orientacji KPN-owskiej stawiającej niepodległość jako cel zadań bezpośrednich: „Jesteśmy przekonani, że formułowanie wielkich romantycznych celów nie może oznaczać rezygnacji z doboru realistycznych środków w dążeniu do ich realizacji. Inaczej może grozić zastąpieniem działań na rzecz niepodległości frazesem patriotycznym, z którego niewiele wynika (...) Uważamy, że poczucie odpowiedzialności za nasz kraj, ranga reprezentowanej przez nas sprawy, wymagają szczególnej dojrzałości. Zdajemy sobie sprawę, że odzyskanie niepodległości zależy zarówno od podejmowanych przez Polaków działań jak i od układów międzynarodowych”.

Z czasem RMP wypracował koncepcję polityki polskiej zakładającą systematyczne działanie opozycji na rzecz poszerzenia wewnętrznej suwerenności narodu i wymuszenia zmian przybliżających odzyskanie niepodległości. Przez cały okres swego istnienia RMP prowadził pracę nad kształtowaniem myśli politycznej i ożywioną działalność formacyjną. Owocem aktywności edukacyjnej Ruchu było uformowanie się licznych środowisk ideowych.

### **Propozycje ustrojowe**

Deklaracje RMP przeciwstawiły się dominującym w opozycji demokratycznej ideom lewicowym. Przypomnijmy, że opozycja polityczna lat siedemdziesiątych upominała się o prawa człowieka i obywatela, piętnowała totalitarny charakter komunizmu, jednak gdy przychodziło do przedstawienia pozytywnych koncepcji ideowo-programowych, nie umiała przekroczyć horyzontu „socjalizmu z ludzką twarzą”.

Uwaga ta w najwyższym stopniu dotyczy środowiska KSS KOR. W tym czasie program środowiska KOR-u odchodził od wyznawanego w latach sześćdziesiątych rewizjonistycznego przekonania o możliwości wewnętrznej, „odgórnjej” reformy

systemu komunistycznego. Najsilniejsza grupa opozycyjna nie zdołała jednak wznieść się ponad perspektywę demokratyzacji instytucji PRL-u. W dokumentach programowych i publicystyce Adama Michnika i Jacka Kuronia nie sposób doszukać się propozycji, która zrywałaby z ustrojem państwa socjalistycznego. Nie znajdziemy w tych tekstach ani alternatywnej wizji ustroju politycznego, ani propozycji przywrócenia samorządu terytorialnego, ani nawet próby zakwestionowania socjalistycznego modelu gospodarki.

Akceptowano centralistyczny model władzy państwowej, widząc w samorządzie forum aktywności społecznej, nie zaś nową instytucję ustrojową. W głośnym tekście *Myśli o programie działania na temat form i metod pracy opozycji* Jacek Kuroń zakładał, że demokracja powinna współistnieć z systemem zcentralizowanej własności publicznej: „Wprowadzenie w naszym kraju systemu demokracji parlamentarnej postawi przed społeczeństwem polskim – złożony i w tej skali całkowicie nowy – problem społecznego władania formalnie społeczną gospodarką. Wprawdzie wszyscy poważni polscy ekonomiści postulują zasadniczą decentralizację zarządzania gospodarką narodową, niemniej nawet najdalej idące projekty pozostawiają zasadnicze decyzje w ręku centrali. Czy zatem centralą mają być państwowe władze wykonawcze? Nie ulega wątpliwości, że im większy wpływ społeczeństwa na władze państwowe, tym bardziej społeczna jest państwowa własność”.

Drugi z twórców koncepcji KOR-owskich, Adam Michnik pokładał wiarę w inspirującej mocy eurokomunizmu. W dyskusji z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim stwierdzał, że to właśnie refleksje eurokomunistów pomogą w przyszłości rozwiązać problem „czym ma być fabryka, jak ma funkcjonować samorząd, jak zreorganizować uniwersytet”.

RMP szedł pod prąd tych koncepcji i wysuwał ofensywne propozycje ustrojowe. Z czasem okazało się, że to one znalazły się pośród najbardziej wartościowych rozwiązań instytucjonalnych III Rzeczypospolitej.

Publicystyka wydawanej w latach osiemdziesiątych „Polityki Polskiej” odrzucała przekonanie o możliwości reformy gospodarki socjalistycznej i kładła nacisk na odrodzenie wła-

ności prywatnej. „Państwo powinno, w naszym przekonaniu, stwarzać gwarancję wolności gospodarczej i niezbywalnego prawa własności. Jesteśmy zwolennikami gospodarki wolnorynkowej, w dążeniach etatystycznych dostrzegamy zgubny wpływ utopii kolektywistycznych”, stwierdzała opublikowana w roku 1984 deklaracja programowa *Między Polską naszych marzeń a Polską naszych możliwości*. Wspomniany dokument wychodził poza ogólnikowe stwierdzenia o demokratycznym państwie i przedstawiał wizję ustroju prezydencko-parlamentarnego. Na łamach „Polityki Polskiej” pojawiał się, co było podówczas wyjątkowe, postulat rekonstrukcji samorządu terytorialnego i „odchudzenia” państwa. W tekście *Ku czemu winna zmierzać „Solidarność”* Jacek Bartyzel pisał, że rzeczywista zmiana struktury władzy powinna nastąpić w wyniku decentralizacji państwa, nie zaś w ramach systemu rad narodowych: „Przez decentralizację rozumiemy nie mniejszy lub większy wzrost znaczenia roli rad narodowych, lecz powołanie prawdziwego samorządu terytorialnego, gospodarczego i kulturalnego, któremu przekazane mają być wszystkie prerogatywy z zakresu organizacji życia społecznego i gospodarczego regionu przy pozostawieniu administracji rządowej jedynie funkcji kontrolnej i obowiązku zabezpieczenia porządku publicznego”. Mitowi społeczeństwa samorządowego rozwijającego się poza państwem publicystyka RMP przeciwstawiała koncepcję odzyskania państwa i podporządkowania jego instytucji dobru wspólnemu, czy inaczej mówiąc przekształcenia państwa partii w państwo narodu.

RMP wyróżniał się samodzielnością na tle ugrupowań opozycji demokratycznej. W okresie przed Sierpniem 1980 większość środowisk opozycyjnych prowadziła działalność w formule obrony praw człowieka i obywatela. RMP natomiast, uczestnicząc we wspólnych akcjach opozycji w tej dziedzinie, nie wahał się jawnie stawiać celów w kategoriach politycznych. Praca nad jasną i precyzyjną formułą ideowo-programową mogła wtedy wydawać się pozbawiona realnego znaczenia. Przebiegły działacz „Solidarności” kontentował się ogólnymi hasłami i argumentami umacniającymi sprzeciw wobec komunizmu. Dla wielu inteligentów żyjących na pograniczu opozycji i świata

oficjalnego poprzeczka ideowa postawiona przez RMP znajdowała się zbyt wysoko, tym bardziej, że RMP kwestionował dominujące w środowiskach intelektualnych nastawienie lewicowe.

Niezależność jest jednak warunkiem prawdziwej działalności politycznej i przesłanie ideowe Ruchu z czasem zdobywało coraz to szersze poparcie. W latach osiemdziesiątych, gdy wśród środowisk związanych z „Solidarnością” wzrosła potrzeba identyfikacji ideowej i głębszej refleksji programowej, RMP stał się jednym z podstawowych ośrodków krystalizacji programowej polskiej opozycji.

### Strategia polityczna

Polityczna samodzielność RMP wyrażała się działaniu pod własnym szyldem i na własny rachunek, na niechowaniu się za szyldem działalności związkowej. RMP zachował postawę lojalną wobec „Solidarności” i jej przewodniczącego Lecha Wałęsy, wielu działaczy Ruchu uczestniczyło w pracach związku, zawsze jednak prowadząc działalność polityczną również w odrębnych formach organizacyjnych. Tymczasem podstawowe siły opozycyjne funkcjonowały jako element „Solidarności”. Środowisko KSS KOR po stanie wojennym niemal w całości weszło do „Solidarności”. RMP natomiast występował na rzecz oddzielenia instytucji związkowych od działań politycznych. W znakomitym tekście o chrześcijańskiej wizji związków zawodowych Marek Jurek wskazywał na pozapolityczny charakter zadań związków zawodowych. W roku 1986 oficjalny dokument RMP *Uwagi o sytuacji politycznej w kraju* stwierdzał, że „żaden nurt polityczny i ideowy nie powinien przypisywać sobie prawa do *solidarnościowej* reprezentacji. Nikomu ten monopol nie przysługuje”.

Z perspektywy czasu okazało się, że korzyści polityczne odniosły te środowiska polityczne, które potrafiły powiązać swoje interesy polityczne z działaniem „Solidarności”. Stało się to jednak za cenę utrwalenia anachronicznego modelu opozycji oraz słabości programowej i organizacyjnej opozycyjnych ugrupowań politycznych. Ta właśnie okoliczność wpłynęła ujemnie

na słabość partii politycznych w III RP i zdecydowała o politycznej roli związków zawodowych w wolnej Rzeczypospolitej.

Z tej samej perspektywy broni się też sformułowana przez RMP ewolucyjna strategia polityczna dochodzenia do niepodległości. Proces ten miał mieć charakter wieloetapowy, zależny od presji społeczeństwa, przekształceń w ZSRR i Europie Wschodniej. W latach 1980-81 Ruch przeciwstawiał się pomysłom radykałów, którzy naiwnie wierzyli, że przyspieszona konfrontacja z władzą przyniesie natychmiastowe odzyskanie wolności. Po wprowadzeniu stanu wojennego RMP odrzucał myślenie w kategoriach „wszystko albo nic” i koncepcję strajku generalnego jako metody wymuszenia nowych porozumień. W roku 1982 lider RMP polemizował z Jackiem Kuroniem, który w *Tezach o wyjściu z sytuacji bez wyjścia* namawiał do zlikwidowania okupacji w zbiorowym wystąpieniu przeciwko ośrodkom władzy: „Realizacja koncepcji Jacka Kuronia w tym właśnie czasie przy tak daleko idącym zaangażowaniu ZSRR w popieranie pogrudniowej polityki Jaruzelskiego mogłaby mieć tylko jeden rezultat. Zafundowalibyśmy sobie jeszcze jedno nieudane powstanie narodowe ze wszystkimi konsekwencjami klęski”.

Krytyka radykalizmu wynikała z realistycznej diagnozy społecznej. „Polityka Polska” kwestionowała popularny wśród opozycji pogląd o poparciu niemal całego społeczeństwa dla działającej nielegalnie „Solidarności” i powszechności podziału społeczeństwo-władza. RMP rozpoznawał nowe zjawiska społeczne i wskazywał na wagę bagatelizowanych przez opozycję kwestii takich jak rozwój nowej przedsiębiorczości, odradzanie się lokalności, czy pojawienie się znaczących kwestii regionalnych (choćby dewastacja środowiska naturalnego na Górnym Śląsku).

Sprawdziła się również koncepcja polityki zagranicznej Ruchu. Program RMP kwestionował pogląd, że warunkiem odzyskania niepodległości jest rozpad Związku Sowieckiego. Publicystyka „Bratniaka”, a potem „Polityki Polskiej” zwalczała koncepcje prometejskie każące Polsce aktywnie wspierać aspiracje niepodległościowe narodów wchodzących w skład Związku Sowieckiego: „powinniśmy wyrzec się uczestnictwa w pla-



nach rozbicia Rosji na państwa narodowe. Uznajemy prawo każdego narodu do niepodległego bytu, ale każdy naród sam musi wypracować swą wolność. Nie jesteśmy «narodowymi egoistami», ale istnieje «*ordo caritatis*», które nakazuje w pierwszym rzędzie realizować dobro własnej wspólnoty (...) zaangażowanie się polityki polskiej w rozbijanie Rosji nie zostawiłoby nam ani jednej szansy na polsko-rosyjskie porozumienie, choćby na Kremlu zasiadać miał najbardziej antykomunistyczny Rosjanin». Linia RMP zwrócona była przeciwko „niepodległościowym radykałom”, zwolennikom konfrontacji ze Związkiem Sowieckim, która mogła przynieść nieodwracalne szkody i pozbawić nas szans na odzyskanie niepodległości. W tym samym dokumencie czytamy: „Szansę dla Polski stanowi przewyciężenie Jałty. Polityka polska nie może jednak w obecnej dobie sama podjąć tej próby. Nie możemy, ani nie chcemy być «antyjałtańską» kolumną szturmową, bo niezależnie od wątpliwych wyników tego szturm, Polska musiałaby zapłacić koszt tej operacji”.

W połowie lat osiemdziesiątych koncepcja młodopolska nabrała realnych kształtów. Podjęta przez Michaiła Gorbaczowa *pierestrojka* poszerzała pole wewnętrznej suwerenności i była jednym z czynników otwierających drogę do niepodległości. Rzeczywistość potwierdziła tezę, że polska droga do niepodległości musi uwzględniać sprzyjające okoliczności geopolityczne.

Trzeba w tym miejscu wyraźnie podkreślić, że RMP miał jednoznacznie okcydentalistyczny charakter. W założycielskim dokumencie RMP czytamy: „Zerwanie duchowej więzi z jednoczącą się dziś powoli, ale nieustannie Europą – rzecz jasna Europą Ojczyzn – oznaczałoby również nasze samobójstwo duchowe”. W publicystyce „Bratniaka” i „Polityki Polskiej” Europa widziana była jako własny krąg kulturowy respektujący prawa osoby ludzkiej, własność prywatną, rządy sprawiedliwego prawa i potrafiący pogodzić wolność jednostki z autorytetem państwa.

Można więc powiedzieć, że w europejskim wymiarze program RMP miał zdecydowanie gaullistowski profil: wspólnoty europejskie widziane były jako obszar ścisłej współpracy

państw narodowych opartej na wartościach cywilizacji chrześcijańskiej. Na rok przed strajkiem w Stoczni Gdańskiej Aleksander Hall pisał: „Proces budowania jedności europejskiej musi odbywać się przy pełnym poszanowaniu identyczności i suwerenności narodowej, musi być procesem systematycznego zbliżania się i współpracy narodów, w oparciu nie tylko o doraźne cele polityczne i ekonomiczne, ale również i przede wszystkim te same wartości i idee. Niezbędnym jego warunkiem są prawa każdego narodu do życia w niepodległym suwerennym państwie. Oczywiście ten cel stoi przed wszystkimi narodami Europy Środkowowschodniej, w tym również i narodem polskim”.

Te koncepcje RMP były szczególnie ostro krytykowane przez lewicę solidarnościową, która oskarżała środowisko Ruchu o prorosyjskość i ugodowość. Z perspektywy lat młodopolska strategia okazała się jednak słuszna. Polska odzyskała niepodległość bez rewolucji, na dwa lata przed upadkiem Związku Sowieckiego. To prawda, że porozumienia „okrągłego stołu” zostały wykorzystane przez lewicę opozycyjną, która dotychczas odnosiła się wrogo do kompromisu z władzą. To prawda, że „okrągły stół” nie zainicjował budowy nowego państwa w pełni wolnego od wad PRL-u. Są to jednak zagadnienia należące już do rozrachunków III Rzeczypospolitej.

### **Zmarnowana szansa**

RMP mógł w wolnej Polsce zainicjować proces budowy silnego stronnictwa prawicowego, jednak okres odzyskiwania niepodległości zbiegł się z silnym kryzysem wewnątrz samego Ruchu. Zabrakło woli wspólnego działania i niezbędnej determinacji. Trzeba powiedzieć też o słabościach programowych, które ujawniły się najostrej w momencie, gdy po upadku komunizmu dawna opozycja stanęła przed zadaniem prowadzenia polityki państwowej. Teoretycznie RMP był najlepiej przygotowany do tego dzieła, wyrastał bowiem poza obszar zabobonów demokratycznego socjalizmu. Na łamach „Polityki Polskiej” na długo przed „okrągłym stołem” pojawiły się teksty i omówienia rzeczników demokratycznego kapitalizmu. Postulaty odbudowy sa-

morządu terytorialnego i odrodzenia własności prywatnej zgłaszane na marginesie opozycyjnej myśli politycznej okazały się wartościowymi składnikami ustroju niepodległej Rzeczypospolitej.

Jednak RMP – podobnie jak cała opozycja – nie był przygotowany do rządzenia. Nie miał programu ekonomicznego alternatywnego względem projektów reformowania gospodarki socjalistycznej. Nie dysponował także wnikliwą analizą stanu instytucji państwowych, wymiaru sprawiedliwości, policji, wojska. Dochodziła do tego słabość polityczna i organizacyjna Ruchu. RMP był zaprojektowany jako ugrupowanie mające odegrać kluczową rolę w formowaniu się polskiej prawicy, jego przywódcy nie mieli jednak politycznej woli odegrania roli opisywanej w wystąpieniach programowych i publicystyce „Polityki Polskiej”.

W dokumentach Ruchu przywoływany był wzór Ligi Narodowej jako formacji, która dysponowała wielką siecią instytucji społecznych. Tymczasem dorobek instytucjonalny środowiska był bardzo niewielki, RMP pozostał ugrupowaniem elitarnym, niezdolnym do zorganizowania wokół siebie odradzającej się prawicy.

Dziś pozostaje więc dziedzictwo Ruchu, który przywrócił myślenie w kategoriach interesu narodowego i stanowił przykład twórczej ideowej prawicy. Być może najcenniejszym i nadal pożytecznym składnikiem spuścizny Ruchu jest metoda kształtowania środowiska politycznego, oparta na systematycznej pracy formacyjnej. Po roku 1989 prawica zaniechała działań z zakresu edukacji politycznej, co fatalnie wpłynęło na jej jakość. Gołym okiem widać również, że proste, techniczne koncepcje naprawy naszego obozu poniosły klęskę. Klęskę poniosła także idea przemiany pokoleniowej jako panaceum na słabość prawicy. W myśl poglądów głoszonych przez Ligę Republikańską i środowisko „pampersów” młodzi mieli okazać się bardziej ideowi i kompetentni niż starzy politycy. Utworzony przez dwudziestolatków RMP nigdy nie głosił prostych recept wzrostu politycznego i nie uprawiał polityki młodzieżowej, szedł za to drogą samodzielnego kształtowania programu i szeroko zakrojonej pracy edukacyjnej. Powrót do RMP-owskiego modelu

---

pracy formacyjnej, której celem będzie wykreowanie ideowych elit prawicowych na wysokim poziomie kompetencji, jest warunkiem odrodzenia polityki polskiej.

(„Kwartalnik Konserwatywny”, nr 6, Zima 2000)



## **Kościół, liberalowie i polski kapitalizm**

W latach osiemdziesiątych przedstawiciele opozycji chętnie sięgali do społecznego nauczania Kościoła, znajdując w nim zasady, które pomagały przeciwstawić się totalizmowi. Encykliki były bronią przeciwko systemowi nie respektującemu praw człowieka, politycznych praw obywatelskich i praw związkowych. Dlatego na dokumenty kościelne powoływały się środowiska polityczne od RMP na prawicy po PPS na lewicy.

Po upadku komunizmu zainteresowanie nauczaniem społecznym Kościoła wyraźnie spadło. Jedną z przyczyn tego faktu było zdecydowanie jednostronne postrzeganie i interpretowanie encyklik papieskich jako uzasadnienia dla postaw roszczeniowych i etatystycznych. Z jednej strony pogłębiła się zatem nieufność wielu środowisk katolickich wobec zachodzących w Polsce przemian, a z drugiej narodził się mit, propagowany przez środowiska lewicowe i liberalne, głoszący, że proces cywilizacyjny i ekonomicznego rozwoju kraju może dokonać się tylko pod warunkiem akceptacji przez większość społeczeństwa liberalnego światopoglądu.

Umocnienie się tych dwóch stanowisk owocować może takim uporządkowaniem sceny politycznej, w którym zwolennicy respektowania w życiu publicznym moralnych wskazań chrześcijaństwa będą przeciwni szybkiemu tempu reform, tendencja proreformatorska zaś będzie otwarcie występować przeciw wartościom chrześcijańskim. Sukces pierwszego obozu powstrzymałby zatem rozwój Polski i zwiększał dystans dzielący nas od krajów wysoko rozwiniętych, sukces drugiego sypchałby w pułapkę rozwoju instytucji rynkowych bez naturalnego i właściwego otoczenia, jakie stworzyć mogą tylko normy etyczne. Fundamentem zamożności krajów Europy zachodniej nie jest bowiem kapitalizm barbarzyński, lecz funkcjonujący w otoczeniu cnót, takich jak pracowitość, uczciwość czy lojalność. Cnót tych polskie społeczeństwo nie posiada w nadmiarze

i nie spłyną one na nas wraz z akceptacją światopoglądu liberalnego, atrakcyjnego przede wszystkim w jego warstwie negatywnej.

Liberałowie w Polsce niesłusznie widzą w katolicyzmie czynnik uniemożliwiający prokapitalistyczne przemiany. Zarzut wysunięty na przykład przez Janusza Lewandowskiego, że praktyka polskiej reformy zderza się z funkcjonowaniem tysięcy polskich parafii, bowiem kapitalizm wymaga odrodzenia się wartości innych „niż te, które umacniane są przez księdza proboszcza”, wydaje się szczególnie niesprawiedliwy. Kościół nie propaguje wzorców kolektywistycznych, za to głoszone są w polskich kościołach cnoty właściwe etyce społecznej katolicyzmu i zarazem potrzebne gospodarce rynkowej, takie jak pracowitość, oszczędność, czy odpowiedzialność za rodzinę. Żadne badania socjologiczne nie potwierdzają tezy o antyreformatorskich wpływach Kościoła, natomiast sondaże CBOS wskazują, że osoby regularnie praktykujące są w większym stopniu pozytywnie nastawione do zmian, jakie nastąpiły po 1989 roku. Trzeba też podkreślić, że w czasach komunizmu to właśnie Kościół bronił własności prywatnej. Katolickie postulaty konstytucyjne z roku 1947 domagały się wyraźnej ochrony prawa własności i „prywatnej inicjatywy gospodarczej” stwierdzając, że „Konstytucja powinna poręczać prywatną własność obywateli, własność ruchomą i nieruchomą, własność ziemi i warsztatów pracy. Zbyt ciężkie świadczenia nie powinny przekreślać własności”. W obronie własności występowali również ci przedstawiciele katolickiej nauki społecznej, którzy jeszcze przed II Wojną Światową opowiadali się za głębokimi reformami społecznymi (np. ks. Jan Piwowarczyk). Warto pamiętać, że działo się to w sytuacji, w której zdecydowana większość środowisk opozycyjnych nie tylko z powodów taktycznych akceptowała socjalistyczne rozwiązania ustrojowe.

Liberałowie nie chcą też zrozumieć faktu, że sukcesy ekonomiczne stały się dziełem tych narodów, które potrafiły dostosować kształt instytucji kapitalistycznych do rodzimej specyfiki. Nie można bowiem stawiać znaku równości między liberalnymi projektami a odradzaniem się wolnej ekonomii, co więcej może

się zdarzyć, że właśnie ona padnie ofiarą liberalnego konstrukttywizmu.

Krytyce stanowiska liberalnego towarzyszyć powinna jednak zmiana recepcji nauki Kościoła odnoszącej się do życia gospodarczego. Będzie ona sprzyjać większemu oddziaływaniu *Magisterium* Kościoła na koncepcje ustrojowe i ekonomiczne, bowiem istnieje niebezpieczna tendencja do interpretowania katolickich wskazań społecznych w kategoriach socjaldemokratycznych. Jej zwolennicy widzą w encyklikach społecznych przede wszystkim postulaty o socjalnym i pracowniczym charakterze, nie dostrzegając, że są obwarowane zastrzeżeniami dotyczącymi poszanowania dobra wspólnego, obowiązków wobec pracodawcy, oblicza związków zawodowych i surowych zasad ograniczających prawo do strajku. Etyczne wartościowanie sfery gospodarczej nie powinno prowadzić do kwestionowania zasad wolnej ekonomii. Nie mają więc racji tacy publicyści jak Andrzej Micewski czy Janusz Zabłocki, którzy uważają, że z katolickiej nauki społecznej wynika opcja lewicowa.

Kościół poddawał krytyce etyczny wymiar kapitalizmu, absolutyzujący indywidualizm i konsumpcjonizm, nie potępiał jednak kapitalistycznych instytucji własności, wolnego rynku, zysku, banków. Encyklika „*Centesimus annus*” stwierdza, że kapitalizm w znaczeniu „zasadniczej i pozytywnej roli przedsiębiorstwa, rynku, własności prywatnej i wynikającej z niej odpowiedzialności za środki produkcji, oraz wolnej inicjatywy w dziedzinie gospodarczej” (CA 42) jest właściwą drogą rozwoju gospodarczego.

Kościół traktuje własność prywatną jako prawo naturalne człowieka, które pozwala lepiej i pilniej pracować, będąc podstawą samodzielności rodziny oraz wolności indywidualnej i społecznej. Dokumenty II Synodu Plenarnego stwierdzają, że likwidacja własności w komunizmie doprowadziła do postaw, w których człowiek „przestawał uważać się za własność samego siebie, lecz oddawał się na własność władzy państwowej”.

Można sądzić, że niektóre pozytywne zalecenia katolickiej nauki społecznej mogą być realizowane wyłącznie w warunkach istnienia instytucji kapitalistycznych. Przykładem może tu być obowiązek sumiennego płacenia podatków, który jest podkopy-



wany przez marnotrawiący fundusze publiczne etatyzm. Przypadek współczesnej Polski pokazuje również, że problem sprawiedliwej płacy i obowiązków pracodawcy może być rozwiązany wyłącznie w warunkach systemu opartego na własności prywatnej i wyraźnie określonego pracodawcy.

W polskim życiu publicznym znaczącą rolę odgrywają związki zawodowe. Program „Solidarności” z roku 1981 odwoływał się wprost do encykliki „*Laborem exercens*”, a również i dziś jej działacze powołują się na wartości płynące z etyki chrześcijańskiej. Nauka społeczna Kościoła poręcza prawo pracowników do zrzeszania się w związki zawodowe i dostrzega ich pozytywną rolę w życiu społecznym, ale równocześnie stawia im warunek poszanowania dobra wspólnego, co kłóci się z dążeniem do osiągnięcia uprzywilejowanej pozycji w państwie. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę warunki, jakie stawiają encykliki społeczne osobom podejmującym akcje strajkowe, takie jak: sprawiedliwa przyczyna, godziwość celu i wymóg uprzedniego wyczerpania mniej drastycznych form protestu, to wówczas spostrzemy, że nauczanie społeczne Kościoła uzależnia pozytywną rolę związków zawodowych od poszanowania dobra przedsiębiorstwa i kraju.

Przytoczone wyżej argumenty wskazują na to, iż sprowadzanie nauki społecznej Kościoła do rangi postulatów socjalnych jest błędem. Sprawiedliwość w rozumieniu katolickim to raczej upowszechnienie własności prywatnej, przejście od społeczeństwa „proletariuszy” do „społeczeństwa właścicieli”, aniżeli rozbudowa socjalnych funkcji państwa. Przypomnijmy, że encyklika „*Centesimus annus*” uznając zobowiązania państwa w kwestiach społecznych, krytykuje nadużycia państwa dobrobytu, „które interweniuje bezpośrednio i pozbawia społeczeństwo odpowiedzialności, powoduje utratę ludzkich energii i przesadny wzrost publicznych struktur, w których przy ogromnych kosztach dominuje logika raczej biurokratyczna, aniżeli troska o to, by służyć korzystającym z nich ludziom” (CA 48).

Nie można, zwłaszcza w czasie przemian ustrojowych, wskazywać wyłącznie na te fragmenty nauczania społecznego, które odnoszą się do zabezpieczeń społecznych, a katolickiej nauki społecznej sprowadzać do funkcji określania granic wol-

---

nego rynku. Polsce potrzebna jest „ofensywna” interpretacja nauczania społecznego, dzięki której można będzie określać podstawy ładu społeczno-gospodarczego. Nauczanie społeczne powinno być obecne w dyskusjach o upowszechnieniu własności prywatnej, kształcie podatków, prawach rodziny w odniesieniu do własności, obciążeń podatkowych, wychowania dzieci i wpływu na szkołę. Działo się to będzie z pożytkiem dla reform, albowiem skorzystanie z szansy rozwoju, przed którą stoi Polska, zależy od tego, czy program głębokich zmian ustrojowych i cywilizacyjnych będzie silnie zakorzeniony w świecie etyki chrześcijańskiej.

(„Biuletyn Grupy Windsor”, Warszawa 1998)



## Wierność i wolność

Wydana w roku 2002 przez Kongregację Nauki Wiary Stolicy Apostolskiej Nota doktrynalna przypominając zasady, jakimi katolicy powinni kierować się w życiu publicznym i społecznym, zachęca do debaty nad etycznymi aspektami przezwyciężenia kryzysu polityki. Kryzys ten przybiera w Polsce postać odmienną niż w krajach Europy Zachodniej, a zatem trudno rozważać tekst Noty bez uwzględnienia problemów, jakie stoją przed katolikami zaangażowanymi w polskie życie publiczne.

Kluczowe znaczenie ma zasada jedności życia, która domaga się poddania etyce nie tylko sfery prywatnej, ale również wymiaru zawodowego, społecznego i publicznego ludzkiej aktywności. Krytyka relatywistycznej koncepcji pluralizmu formułowana jest przede wszystkim w odniesieniu do doświadczenia Europy Zachodniej, w której koncepcja ta uzyskała szerokie wpływy. Relatywizm kulturowy współczesnej demokracji kwestionuje prawa fundamentalne i daje państwu możliwość podejmowania decyzji nie liczących się z zasadami etyki naturalnej. Nota precyzyjnie opisuje uzurpację relatywizmu etycznego, który odmawia katolikom prawa do promocji odpowiadającej wierze koncepcji osoby ludzkiej. „Tym samym... owi prawodawcy idą na ustępstwa wobec przejściowych orientacji kulturowych lub moralnych tak jakby wszystkie możliwe koncepcje życia miały równą wartość. Jednocześnie w imię fałszywie pojmowanej tolerancji żąda się od znacznej części obywateli – wśród nich także od katolików – aby zrezygnowali z wnoszenia do życia społeczno politycznego swoich krajów tego, co zgodnie z koncepcją osoby ludzkiej i oceną wspólnego dobra uznają po ludzku za prawdziwe i słuszne...” Słowa te w ogromnym stopniu odnoszą się do praktyki politycznej państw Europy Zachodniej, które na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat uformowały się jako demokracje etycznego pluralizmu. Najbardziej dramatycznym momentem tego procesu było uchwalenie

ustawodawstwa proaborcyjnego w większości państw europejskich i destrukcja ładu społecznego opartego na rodzinie.

W tych krajach katolicy stoją przed zadaniem odbudowania polityki, która wyrośnie poza bieżący pragmatyzm i będzie miała odwagę upomnieć się o podstawowe prawa osoby ludzkiej. Przed tym zadaniem staną także polscy politycy, którzy w roku 2004 zasiądą w ławach Parlamentu Europejskiego. Jestem przekonany, że stanowisko reprezentantów polskiej prawicy w kwestii ochrony życia oraz praw i roli rodziny przebije mury negatywnej poprawności i zachęci innych do mówienia własnym głosem. Termin „odbudowanie polityki” jest jak najbardziej na miejscu, albowiem ekspansja demokracji bez wartości odbyła się w sytuacji bierności chrześcijańsko-demokratycznych ugrupowań, które partycypację we władzy ceniły wyżej niż obronę chrześcijańskiej koncepcji osoby ludzkiej.

Lektura dokumentów programowych największej partii centroprawicowej w Parlamencie Europejskim EPP dowodzi, że mamy do czynienia właściwie z porzuceniem zadania, które nauczanie Kościoła definiuje jako absolutnie podstawowe. Doskonałą analizę przypadku utraty chrześcijańskiego charakteru przez włoską chrześcijańską demokrację dał Rocco Buttiglione w książce *Chrześcijanie a demokracja*. Buttiglione pisze o pojęciu chrześcijańskiej demokracji oznaczającym takie zaangażowanie polityczne katolików, które „ma na celu związanie demokracji z obiektywnym, zakorzenionym w naturze człowieka i objawionym w Chrystusie porządkiem moralnym, tak, aby demokracja mogła uniknąć stoczenia się przez korupcję w tyranie”. Niestety, w świecie zachodnim tak zdefiniowana misja katolików w życiu politycznym została wyparta przez partie chrześcijańsko-demokratyczne, które prowadziły katolików do całkowitego zaakceptowania relatywistycznej demokracji.

Kryzysu społeczno-politycznego w Polsce nie da się opisać przy pomocy pojęcia etycznego pluralizmu. Siły polityczne, które dążyły do usunięcia prawa do życia i praw rodziny z polskiego ustawodawstwa, miały i mają nadal najsilniejszą protekcję medialną i siłę organizacyjną zbudowaną jeszcze w czasach PRL-u. Jednakże ta destrukcyjna tendencja spotkała się z na tyle silnym oporem polityki występującej w obronie wartości oraz

spontanicznej presji społecznej, że plan dechrystianizacji polskiego prawa nie został urzeczywistniony. Pełna błędów i obciążona ogromną ilością kompromisów polska konstytucja strzeże prawa do życia, godności małżeństwa i prawa rodziny. Jej zapisy uniemożliwiają przeprowadzenie działań, których urzeczywistnienie tak precyzyjnie opisuje Nota. Dziś stanowi nawet pewien argument w sporze o obecność wartości chrześcijańskich w traktacie konstytucyjnym UE. Mam świadomość tego, że spór o moralny kształt polskiego prawa i respekt dla wartości podstawowych nie wygaśnie. Jednakże katolicy działający w sferze publicznej mają za zadanie obronę i promocję praw wywalczonych na początku III RP i pozostają w sytuacji całkowicie różnej od współwyznawców podejmujących aktywność w krajach, w których stanowisko katolickie znajduje się na marginesie politycznego systemu. A zatem w warunkach polskich typowa konserwatywna krytyka pełnego relatywizowania się demokracji parlamentarnej nie identyfikuje istoty kryzysu polskiej polityki.

Ta odmiennność sytuacji nie powinna prowadzić do płytkiego optymizmu i samozadowolenia. Kryzys moralny w Polsce ma znacznie szerszy wymiar i jego przezwycięzenie wymaga ogromnego wysiłku wychowawczego, którego nie da się ująć w ramy czysto polityczne. Równie istotne jest to, że kryzys polityki przybrał postać nie mniej groźną niż destrukcja aksjologicznych podstaw demokracji. Właściwie, mamy do czynienia z rozpadem państwa jako instytucji służącej dobru wspólnemu, a skala egoizmów grupowych uniemożliwia realizację celów całej wspólnoty politycznej. Dlatego też, odmowa uczestnictwa w życiu politycznym i brak zaufania do państwa są znacznie silniejsze niż w Hiszpanii, Niemczech czy Francji. W tej sytuacji szczególnie istotne są te treści Noty, które ukazują sens politycznego zaangażowania katolików, definiują zakres wolności w sferze politycznej i określają warunki zaangażowania politycznego. Wśród wielu okoliczności na niewielką aktywność polityczną Polaków wpływa niemal manichejskie przekonanie o moralnej destrukcji, jaką niesie ze sobą każda polityka. Bardzo nieliczna grupa obywateli pokłada wiarę w możliwość uprawiania polityki w duchu służby publicznej i szacunku dla

kompetencji. Pogląd o moralnej wadliwości polityki jako takiej obecny jest także w środowiskach katolickich. Korupcja i niski poziom polityki polskiej przynosi kolejne dowody utwierdzające to przekonanie. Z drugiej strony każdy, kto rzeczywiście chce pozytywnej przemiany polityki w Polsce, musi się temu przeciwstawić. Nota wzmacnia zachętę do publicznego zaangażowania katolików i dodaje nowe argumenty przemawiające za nim. Nie ma w niej obecnego w niektórych środowiskach prawicowych pesymizmu, który posuwa się do kwestionowania możliwości stwarzania dobra w ramach porządku demokratycznego. Mowa jest natomiast o porzuceniu kompleksu niższości katolików i o diasporze kulturowej katolików jako złym rezultacie braku aktywności publicznej. W tekście Noty czytamy: „Owoc duchowego, moralnego i intelektualnego dziedzictwa katolicyzmu musi być dzisiaj przedstawiany przy użyciu współczesnych terminów kulturowych. Tej naglącej powinności nie można odkładać na potem bez ryzyka kulturowej diaspory katolików. Zresztą osiągnięty przez nich poziom kultury oraz dojrzałość politycznego doświadczenia, jakie w różnych krajach zdolali rozwinąć, zwłaszcza w ciągu dziesięcioleci po drugiej wojnie światowej, nie powinna wpędzać katolików w jakiś kompleks niższości w zestawieniu z innymi propozycjami, które w świetle najnowszej historii okazały się kruche lub wręcz katastrofalne”.

Niezwłocznie po tej zachęcie pada ważna przestroga przed przecenianiem działalności politycznej. Tekst Noty zwraca uwagę, że przemiany struktur dokonane w wyniku decyzji rządu i parlamentu, bez oparcia w kulturze, wierze i moralności mają kruche podstawy. To przestroga przed drogą na skróty, polityzacją katolicyzmu i lekceważeniem tego, co najistotniejsze – trwałych postaw wynikających z autentycznej wiary. A zarazem, dowartościowanie tych dziedzin, które mieszczą się poza polityką zawodową – pracy wychowawczej, akcji charytatywnej oraz inicjatyw kulturalnych. Wezwanie do polityki nie prowadzi do jedności organizacyjnej katolików, do tworzenia jednej partii politycznej. Nota przypomina czynniki przemawiające za możliwością działania i popierania różnych partii politycznych pod warunkiem ich wierności podstawowym zasadom moralnym:

„Jeśli chodzi o płaszczyznę konkretnej działalności politycznej, trzeba przypomnieć czynniki uzasadniające istnienie wielości partii, w łonie których katolicy – zwłaszcza poprzez przedstawicielstwo parlamentarne – mogą wykonywać przysługujące im prawo i obowiązek kształtowania życia publicznego w swoim kraju. Do tych czynników zalicza się zależność niektórych wyborów w sprawach doczesnych od konkretnych okoliczności; fakt, że często są dopuszczalne z moralnego punktu widzenia różne strategie dla urzeczywistnienia lub zagwarantowania tej samej podstawowej wartości”.

Czy chodzi tu tylko o aktualną także w warunkach polskich krytykę monopolu partii na reprezentowanie stanowiska katolickiego? Więcej znaczenia przyznałbym pozytywnym walorom syntezy wierności w kwestiach zasadniczych i wolności w sprawach doczesnych. Wolność w sprawach doczesnych wymaga zdolności do budowania dobra wspólnego bez angażowania autorytetu Kościoła i instrumentalizowania religii. Wymaga kompetencji, wysokich kwalifikacji i systematyczności. Od zdobycia i rozwinięcia tej zdolności zależy w ogromnym stopniu odrodzenie polityki polskiej. Bowiem oczekiwanie na kompetentną politykę jest nie mniejsze niż nadzieja na uczciwość i zwycięstwo zasad.

(„Gość Niedzielny – Azymut”, marzec 2003)





## **Tolerancja to za mało**

Gniezno i Gdańsk są w tym roku szczególnie ważnymi punktami na mapie wydarzeń politycznych, kulturalnych i – co najważniejsze – duchowych naszego kraju. Spotkania prezydentów, premierów, ważne wydarzenia kulturalne i uroczystości kościelne tworzą klimat do tego, żeby poddać debacie to, co jest polskim wkładem w polityczne i kulturowe dziedzictwo Europy, wkładem polskiego dziedzictwa narodowego w dziedzictwo europejskie. Nadszedł właściwy moment, by pokusić się o postawienie ważnych pytań odnoszących się do polskiej samoświadomości i do tego, co chcielibyśmy promować za granicą jako nasz duchowy wkład w integrację europejską.

Symboliczna data 2000 roku to dobry czas, by publicznie podyskutować o tym, jakie wartości winny stać u podstaw procesu integracji europejskiej, która na naszych oczach ma szansę objąć Polskę i inne kraje regionu. Nie sądzę, by rozumne było redukowanie wspólnoty państw europejskich jedynie do wymiaru stosunków ekonomicznych czy politycznych. Chodzi mi o kulturowy wymiar integracji, nie sposób bowiem w rozważaniach o niej abstrahować od wspólnych korzeni kulturowych, dzięki którym powstał kod porozumiewania się europejskich narodów. Można te korzenie lapidarnie określić wedle nazw pradawnych duchowych stolic Europy: Aten, Rzymu i Jerozolimy.

### **Oświęcim, Kołyma, Kosowo**

Proces budowy europejskiej wspólnoty wspierać się powinien na budowaniu wspólnoty w sferze kultury, bo tylko w ten sposób nadamy tworzonej przez nas Europie trwałe podstawy i tylko pod tym warunkiem będziemy w stanie wspólnie – jak stwierdził Ojciec Święty w przemówieniu do prezydentów siedmiu państw naszego regionu, wygłoszonym w 1997 roku

u grobu św. Wojciecha – umocnić swoją jedność, dochować wierności tym, którzy położyli podwaliny pod europejską kulturę. Bez zakorzenienia w kulturze wspólnota taka okaże się jedynie bytem efemerycznym.

My, Europejczycy, jesteśmy dumni z naszego dziedzictwa. Trudne do przecenienia są dokonania w sferze filozofii i prawa, w dziedzinie ochrony praw człowieka i zagwarantowania wolności. Nie sposób nie docenić osiągnięć technicznych i gospodarczych. Jednocześnie jednak mamy świadomość, że cywilizacja przeszła w tym stuleciu trudną próbę i nie bez racji została oskarżona o nieudolność w rozwiązywaniu swoich problemów i konfliktów.

Bez żadnej przesady można mijające stulecie nazwać epoką totalitaryzmów. Był to w znacznej mierze czas podziałów dokonywanych w imię wymogów abstrakcyjnych ideologii oraz najokrutniejszych eksperymentów, które dotknęły narody Europy Środkowej i Wschodniej. Pozwolę sobie przywołać następne trzy nazwy, które także wytyczają współczesne rozumienie tego, czym jest Europa: Oświęcim, Kołyma, Kosowo. Nazwy te to symbole bezradności wobec zagrożenia totalitaryzmem i przemocą na naszym kontynencie.

Intelektualna debata o spuściźnie i wyzwaniach nadchodzącej epoki musi zatem nieuchronnie oscylować wokół tych kilku nazw, z których jedne symbolizują najwspanialsze osiągnięcia naszej cywilizacji, a inne jej najstraszliwsze upadki. Sądzę, że dyskusja o kluczowych wartościach musi dotyczyć również pojęć „narodu” i „religii”, jako tych, które znalazły się na liście podejrzanych o spowodowanie nieszczęść naszej epoki, oraz pojęcia „tolerancji”, które w dzisiejszej kulturze staje się główną odpowiedzią na zagrożenie przemocą i nienawiścią.

### **Rola „Solidarności”**

Gniezno jest kolebką polskiego narodu i państwa, a zarazem miejscem, gdzie tysiąc lat temu odbyło się spotkanie cesarza Ottona III z Bolesławem Chrobrym. Dwaj władcy znaleźli się wówczas u grobu świętego Wojciecha, Czecha, poddanego polskiego – człowieka, który głosił swoje przekonania, wyrze-

kając się przemocy, i oddał za nie życie, a jednocześnie – w najlepszym tego słowa znaczeniu obywatela Europy. Gniezno wymownie świadczy o tym, jak dawne powinowactwa łączą narody naszej części Europy i jak dawne są jej związki z Zachodem. Przypomina ono o równoprawnej obecności Polski we wspólnocie narodów europejskich. Zjazd gnieźnieński był wyrazem woli budowy systemu pokojowego współżycia krajów i narodów.

Tysiąc lat, które nastąpiły po spotkaniu gnieźnieńskim, obfitowało w wiele trudnych kart w historii Polaków i Niemców oraz wiele trudnych chwil w historii całej Europy. A jednak idea współpracy i partnerstwa przetrwała.

Polskim wkładem w tworzenie współczesnego oblicza Europy jest „Solidarność” – szeroki obywatelski ruch sprzeciwu wobec kłamstwa i przemocy, który narodził się dwadzieścia lat temu w Gdańsku. Nie do przecenienia jest jego rola w doprowadzeniu do upadku komunizmu i obalenia muru przecinającego Europę na dwie części.

Obywatelski ruch „Solidarności” w *Posłaniu do narodów Europy Środkowej i Wschodniej* uznał za ważne upominać się o los innych narodów pozbawionych przez system komunistyczny podstaw suwerenności. „Solidarność” dała impuls do przezwyciężania podziałów między naszymi krajami. Na tej podstawie dokonało się ożywienie współpracy między autentycznymi przedstawicielami ich życia intelektualnego, którzy narażając się na represje, mówili prawdę w imieniu swoich narodów, a nie zniewolonych państw.

### **Rozmaitość i zgoda zarazem**

Nie sposób sprowadzić do kilku haseł wszystkich doświadczeń, które Polska wniesie do europejskiej wspólnoty kulturowej – na przykład dziedzictwa unii polsko-litewskiej, tradycji polskiego parlamentaryzmu, tradycji tolerancji religijnej czy romantycznej myśli o narodzie. Sądzę jednak, że w polskich doświadczeniach, inaczej niż w doświadczeniach niektórych narodów zachodnioeuropejskich, jawi się pragnienie wolności i zobowiązań wobec

wspólnoty oraz doświadczenie obecności religii w życiu społecznym.

Europejska współpraca winna się opierać właśnie na wzajemnej solidarności w stosunkach międzynarodowych. Podstawą politycznej wizji cesarza Ottona III i Bolesława Chrobrego był równoprawny udział wszystkich członków europejskiej rodziny. Używając dzisiejszych określeń, można by nawet powiedzieć, że wizją tą było pragnienie budowy Europy uniwersalnej, opierającej się nie tylko na tolerancji, ale nade wszystko na współpracy i solidarności. Taka właśnie solidarna Europa, żyjąca w pokoju i harmonii, ale i we wzajemnym szacunku dla własnych tożsamości, pozostaje do dzisiaj naszym celem. Za wielkim polskim wieszczem romantycznym Zygmuntem Krasińskim możemy więc powtórzyć: „Czym nuty są w akordzie, tym narody w człowieczeństwie: różnaitością i zgodą zarazem. Bez nich niepodobna pomyśleć ludzkości, bo byłaby to jedność bez różnaitości”.

(„Rzeczpospolita”, 29.04.2000)

## Odzyskać pamięć

Polacy podobno mają skłonność do megalomanii, mesjanizmu, idealizują swoją historię i nie dostrzegają własnych wad. Takie w każdym razie wyobrazenie o Polakach zadomowiło się w polskich sferach intelektualnych w ostatnim stuleciu. Trzeba jednak przyznać, że już w dwudziestoleciu międzywojennym najteższe pióra odbrażawiały Mickiewicza, Słowackiego i – bodaj najbardziej skutecznie – Krasińskiego.

W czasach bojów „szyderców” z pułkownikiem Żałuskim wypadało drwić z ułanów, tradycji romantycznej i powstańczej. Z uporem godnym lepszej sprawy kolejne pokolenia reżyserów dowodzą swojej niezależności, wystawiając „Króla Ubu”, którego akcja dzieje się „w Polsce, czyli nigdzie”. Dzisiaj w modzie jest głośne łomotanie we własne piersi za antysemityzm, Jedwabne, plan Wisła, „wypędzenie”.

Piszemy to wszystko z ironią, ale niezbyt zjadliwą. Choć narodowy rytuał bicia się w piersi już się zbanalizował, nie zmienia to faktu, że umiejętność dostrzegania własnych błędów i słabości jest przejawem dojrzałości. Demaskowanie ma jednak sens tak długo, jak długo funkcjonują mity. Można rewidować wyobrażenia o przeszłości tylko wówczas, gdy te wyobrażenia w ogóle istnieją. Perswazja moralna jest skuteczna wtedy, kiedy potrafimy spokojnie mówić nie tylko o wadach, ale i proponować pozytywne wzorce. W innym wypadku całe to odbrażawianie staje się mimowolnym narzędziem cynizmu.

### **Źródła polskiego samokrytycyzmu**

Krytyczny stosunek do własnej przeszłości ma w Polsce silne zakorzenienie w tradycji intelektualnej, do której przedstawiciele należeli stańczycy i – może to kogoś dzisiaj dziwi – Roman Dmowski, który we wczesnym okresie swej działalności sformułował ostrą krytykę narodowych wad: bierności, braku kon-

sekwencji i odpowiedzialności. Współczesna krytyka nie tyle wyrasta z troski o poprawę narodowej kondycji, ile jest trochę rezultatem mody na „hermeneutykę podejrzeń”, a może w większym stopniu jeszcze jest to kompleks niższości polskiej inteligencji, który przejawia się w ciągłym przeglądaniu się w lustrze cudzych opinii. Kompleks ten jest jednym z głównych rysów głębokiego kryzysu patriotyzmu i zaniżenia polskich aspiracji. Chcemy być już jak najszybciej tacy sami, równi i akceptowani przez Tych z Zachodu. „Pokochajcie nas, zrobimy wszystko, bylebyśmy byli tacy jak Wy”. Chcemy za wszelką cenę być Europejczykami, często zapominając, że bycie Europejczykiem oznacza bycie Francuzem, Niemcem, Anglikiem czy Hiszpanem.

W okresie komunizmu, pomimo cenzury, toczyliśmy poważne spory na temat sensu rozmaitych postaw patriotycznych, których ślady można znaleźć w książkach takich autorów jak: Andrzej Kijowski, Bohdan Cywiński, Tomasz Łubieński, Marcin Król, Wojciech Karpiński i Stefan Kisielewski. Gorące zainteresowanie budziła wystawa „Polaków portret własny” prof. Marka Rostworowskiego. Polacy spierali się o powstanie warszawskie, żywo reagowali na historyczne odniesienia w wypowiedziach Prymasa Tysiąclecia i Jana Pawła II. Po 1989 roku nasze zainteresowanie historią stało się uboższe. Wielu ludziom wydawało się, że przeszłość jest istotna tylko dla narodów zniewolonych, nieszczęśliwych i nie jest już potrzebna. Jest w tym również zasługa politycznych operacji odcinania przeszłości, którą z różnych powodów byli zainteresowani zarówno postkomuniści, jak i część dawnej opozycji ze środowiskiem „Gazety Wyborczej” na czele.

W Polsce świadomość wagi przeszłości pada wreszcie ofiarą prymitywnego ekonomizmu. Symptomatyczny był drobny fakt, jakim było usunięcie przez Andrzeja Celińskiego „dziedzictwa narodowego” z nazwy ministerstwa, które konstytucyjnie odpowiada za pielęgnowanie tradycji państwowej. (Decyzja ta motywowana była negatywnymi konotacjami ideologicznymi tego pojęcia. Sic!) I nie był to pusty gest, bo za tą decyzją poszło m.in. zlikwidowanie kierowanego przez Tomasa Mertę Instytutu Dziedzictwa Narodowego, który pomimo

krótkiego istnienia zdążył wyróżnić się świetnymi inicjatywami, i 56-proc. redukcja wydatków na ochronę zabytków w pierwszym roku rządów SLD.

### **Potrzeba polityki historycznej**

Dzisiaj ta atmosfera jednak znów się zmienia. Coraz powszechniej widoczne są wady III Rzeczypospolitej, coraz gwałtowniej poszukujemy wartości, które mogłyby pomóc ją zasadniczo zreformować albo stanowić podwaliny nowej IV Rzeczypospolitej. Coraz jaśniejsze jest przekonanie, że nie wystarczy uruchomienie mechanizmów rynkowych do stworzenia sprawnie działającego państwa. Staje się jasne, że państwo nie może poprzestać wyłącznie na pełnieniu funkcji ekonomicznych, działając jako spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Wobec słabości współczesnych autorytetów i wobec kryzysu zaufania do politycznych rozwiązań, warto odwołać się do szerszej perspektywy, która pozwala widzieć więcej i lepiej, pozwala dostrzec sens tam, gdzie bieżące spory go zamazują.

Kampania na rzecz stworzenia Centrum przeciwko Wypędzeniom w Berlinie pokazuje, jak nadal ważna jest pamięć historyczna i jak wielkie szkody przynosi nasza bezczynność w tej kwestii. Debata o centrum uzmysławia realne znaczenie historii w polityce europejskiej i konieczność podjęcia inicjatyw prezentujących zasługi historyczne Polski w nowoczesnych i komunikatywnych formach.

Niestety, uwaga większości uczestników dyskusji koncentruje się wokół pomysłów „umiędzynarodowienia” Centrum przeciwko Wypędzeniom, co oznacza być może przekierowanie tego pomysłu na bardziej rozumne tory. Cały czas jednak musimy tłumaczyć się, że nie jesteśmy „wielbłądem”. W minimalnym stopniu daje to możliwość wyjścia z obecnego konfliktu i pozytywnego prowadzenia tego, co kiedyś publicyści Warszawskiego Klubu Krytyki Politycznej nazwali „polityką historyczną”.



## Światowy wymiar polskiej historii

Tymczasem sens historii Polski układa się w przesłanie – wokół którego można budować pozytywny konsens obywatelski – stanowiące ciekawy wkład w dziedzictwo naszego kontynentu. Spróbujmy przywołać kilka ważniejszych obrazów z naszej historii: kraj pokojowego współżycia narodów (Unia Lubelska, o której niedawno wspomniał Jan Paweł II) i jednej z najstarszych w Europie tradycji parlamentarnych; „państwo bez stosów”; Konstytucja 3 maja; udział Polaków w wojnie o niepodległość USA i w niepodległościowych zrywach innych narodów; odparcie ataku bolszewickiego w roku 1920; kraj, który pierwszy stawiał opór Hitlerowi, Armia Krajowa i powstanie warszawskie; zrywy antykomunistyczne z lat 1956-1976; polski Kościół, który wydał wybitnych ludzi – kardynałów Stefana Wyszyńskiego i Karola Wojtyłę; „Solidarność” – największy wolnościowy ruch w historii dwudziestowiecznej Europy, który w ogromnym stopniu zadecydował o wyzwoleniu narodów spod komunizmu i – o czym pozwalamy zapomnieć – zjednoczeniu Niemiec. Oto tylko niektóre wątki naszej historii, które mają znaczenie nie tylko wyłącznie lokalne. W tych wszystkich momentach i wielu innych, których nie sposób tu wymienić, historia Polski – można powiedzieć bez megalomanii – stawała się własnością całego świata. Słowa amerykańskiego historyka i publicyście George’a Weigla, że wszyscy oddani sprawie wolności mają dług wdzięczności wobec Polski, nie miały kurtuazyjnego charakteru.

To wszystko wiemy, gdzieś jest to zapisane, kiedyś to czytaliśmy, ale kiedy usiłujemy przekazać młodszemu pokoleniu naszą wizję historii albo wytłumaczyć coś cudzoziemcowi, natrafiamy na barierę. Tą barierą jest brak materiałów, instytucji, miejsc, które byłyby do tego przygotowane. Odnosimy wrażenie, że Polacy – wbrew mitowi o szczególnym wyczuleniu na historię – stali się jednym z najbardziej obojętnie odnoszących się do własnego dorobku narodów. Jeśli tak nie jest, to proszę nam wskazać miejsce, gdzie można zaprowadzić córkę, syna albo owego cudzoziemca, by wytłumaczyć im cokolwiek z tego, co działo się w naszym kraju w XX wieku. Warszawa jest pod

tym względem miastem pustym. Nie potrzebujemy miejsc, by sami siebie czcić i udowodniać, że jesteśmy pępkiem świata, ale po prostu, by jakoś się przedstawić. Nie mamy Luwru, wieży Eiffla, Colosseum, Pałacu Westminsterskiego, ale istnieje ciekawa historia, którą można i należy dobrze opowiedzieć, pokazać i opisać.

### **Jak ożywić historię**

Czy zatem jest możliwe ożywienie historii? Czy nie jest ona dla współczesnego człowieka czymś nudnym i niepożądanym? Czy możliwe jest coś więcej niż tylko zamknięcie jej na kartach podręczników, przedstawienie w brązie czy marmurze, oddanie we władanie monotonnego cyklu oficjalnych rocznic i ceremonii? Na całym świecie znajdują się znakomite przykłady, w jaki sposób prezentuje się historię, tak by była ona ciekawa, emocjonująca, pasjonująca. Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie, Muzeum Republiki Federalnej Niemiec w Bonn czy Dom Terroru w Budapeszcie to tylko niektóre z placówek, które pokazują historię w sposób ciekawy, nowoczesny i skutecznie upowszechniają wiedzę.

Naszym sojusznikiem są dziś rozmaite osiągnięcia techniczne – filmy, płyty, Internet, technika komputerowa. Żeby przekonać się, że historia może być żywa i interesująca, można wybrać się do nieodległego Budapesztu, by obejrzeć Dom Terroru. Mamy wreszcie i polskie przymiarki do zagospodarowania tej przestrzeni – warto wymienić wystawę, która powstała w Gdańsku w dziesięciolecie „Solidarności”, oraz wystawę „Socland”, która budzi zainteresowanie mediów i publiczności. Po wielu latach niemożności i niespełnionych obietnic mamy szansę doczekać się w stolicy Muzeum Powstania Warszawskiego.

### **Muzeum Wolności**

Jest dla nas jasne, że upowszechnienie wiedzy historycznej stanowi ważny element edukacji obywatelskiej. Bez aktywnej działalności w tej dziedzinie będziemy skazani jedynie na tłumaczenie się z niepopelnionych win, na rolę przedmiotu histo-

rycznej polityki innych państw. Potrzebna nam nie tylko bierna wiedza, ale i aktywność, „polityka historyczna”, a przede wszystkim ponadśrodkowy sojusz, który pomoże przełamać groźną bezwolność.

Do najważniejszych elementów takiej aktywnej polityki historycznej powinna należeć poprawa jakości edukacji historycznej w szkołach, wzmocnienie istniejących – publicznych i niezależnych – instytucji i programów, które odgrywają ważną rolę w dokumentowaniu i popularyzowaniu historii (np. IPN, Karta, Centrum „Solidarności”), zobowiązanie do podjęcia tej tematyki przez instytucje odpowiedzialne za promocję Polski (zwłaszcza instytuty polskie za granicą, Instytut Adama Mickiewicza), a wreszcie konieczne jest powołanie nowoczesnej placówki o charakterze muzealnym i badawczym, aktywnie wychodzącej naprzeciw potrzebom współczesnej wrażliwości estetycznej i emocjonalnej. Taka instytucja poświęcona historii Polski mogłaby nosić nazwę Muzeum Wolności.

Kazimierz Michał Ujazdowski, Robert Kostro  
(„Rzeczpospolita”, Polacy i historia, 27.09.2003)

## **Polityka historyczna i jej wrogowie**

W ostatnich tygodniach na łamach najpoczytniejszych dzienników opublikowano kilka tekstów krytycznie odnoszących się do wszelkich przedsięwzięć określanych najczęściej wspólną nazwą „polityki historycznej”. Prócz długiej litanii zarzutów pod adresem tych, którzy teoretyczne postulaty starają się przemienić w praktyczne działania, można było w nich znaleźć także rytualnie powtarzane zaklęcia o niezbędności dyskusji i prowadzenia poważnego dialogu. Kłopot z żarliwymi entuzjastami dialogu jest jednak, niestety, ten, że zdumiewająco często okazują się oni zaprzysięgłymi monologistami, którzy zamiast słuchać argumentów swoich adwersarzy, wolą powtarzać w kółko stereotypowe opinie, jakie przywykli uważać za oczywiste. Wydaje się, że tak właśnie ma się rzecz z dialogiem na temat polityki historycznej. Zarzuty, jakie stawia się jej twórcom i zwolennikom, są w zdecydowanej większości niesprawiedliwe, ich fundamentem są zaś uprzedzenia i irracjonalne lęki, a nie poważna analiza krytykowanego projektu.

### **Grzech pierwszy: koniunkturalizm**

Zgodnie z tym stereotypowym poglądem zwolennicy polityki historycznej są nade wszystko koniunkturalistami. Miłość do historii rozkwitła w nich wyłącznie z pragnienia krótkoterminowej politycznej korzyści. Polityka historyczna nie jest więc ostatecznie niczym więcej jak tylko sprytną sztuczką, dzięki której można zyskać wyborcze poparcie, trafiając w ludzkie oczekiwania i emocje. „Robotnicy ostatniej godziny” są nieodłączną częścią demokratycznego krajobrazu i nie ma żadnego powodu, by sądzić, że w przypadku polityki historycznej rzecz ma się inaczej. Jednakże budowanie na tej podstawie uogólniającej opinii, jakoby wszyscy upominający się o politykę historyczną działali z koniunkturalnych pobudek, wydaje się nazbyt

pochopne. Warto przecież pamiętać i o tych, którzy w latach 90. odmawiali traktowania państwa jako spółki z ograniczoną odpowiedzialnością i za poważny błąd uważali redukcję jego zobowiązań do sfery ekonomiczno-socjalnej. Autorzy tego tekstu należeli do tej szczupłej – powiedzmy to od razu – grupy polityków i publicystów, którzy upominali się o poważne traktowanie pamięci historycznej i patriotyzmu także wtedy, gdy zamiast politycznych profitów mogli liczyć najwyżej na opinię anachronicznych dziwaków. Wystarczy przypomnieć choćby kontrowersje i spory, jakie towarzyszyły akcji plakatowej i wystawie „Bohaterowie naszej wolności” zorganizowanej w 2001 roku przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, by zrozumieć, że to nie tyle zwolennicy polityki historycznej zmienili poglądy, ile zmieniła się polityczna koniunktura.

### **Grzech drugi: reaktywność**

Koniunkturalizm w opinii niektórych krytyków łączy się z reaktywnością. Wedle tego poglądu polityka historyczna pojawiła się w menu polskiej polityki wyłącznie jako reakcja na niemieckie i rosyjskie poczynania. I z tym jednak trudno w pełni się zgodzić – polityka historyczna nie jest w istocie rzeczy niczym więcej jak wyrażeniem przekonania o tym, że państwo nie może lekceważyć historii, że musi rozumieć, iż przeszłość nie jest zupełnie martwa, że nie przestała wywierać istotnego wpływu na nasze życie. Mówiąc o polityce historycznej, wskazujemy więc na odpowiedzialność państwa za stworzenie możliwości prowadzenia rzetelnych badań historycznych, za podtrzymywanie zainteresowania historią i za stałe toczenie batalii przeciw erozji pamięci zbiorowej. Sądzimy, że konsensus proceduralny, choć niewątpliwie ma dla demokracji znaczenie podstawowe, okazuje się pod wieloma względami niewystarczający. Dobre funkcjonowanie demokratycznego państwa wymaga czegoś więcej – wspólnoty obywateli konstytuującej się nie tylko wokół zespołu wspólnych wartości, lecz także symboli i historycznych przeżyć. Oczywiście oprócz tego aspektu wewnętrznego polityki historycznej, istotnego przede wszystkim dla tożsamości wspólnoty, ogromne znaczenie ma także jej aspekt zewnętrzny.

W żadnym razie jednak nie jest tak, że jedynym sensem polityki historycznej jest pragnienie skutecznej rywalizacji z wizjami historycznymi innych państw.

### **Grzech trzeci: etnocentryzm**

Nasi adwersarze wydają się lepiej od nas wiedzieć, jaka będzie rzeczywista treść polityki historycznej. W jej centrum znajdzie się podobno idea etnicznie pojmowanego narodu (oto dlaczego do nazwy Ministerstwa Kultury wróciły słowa „i Dziedzictwa Narodowego”), co nie tylko doprowadzi do automatycznego wykluczenia mniejszości, ale okaże się także bezprzykładnym zamachem na różnorodność świata, ignorującym historię lokalną i niweczącym wszelkie próby podtrzymywania regionalnego patriotyzmu. Mało tego – w naszej opowieści nie będzie rzekomo żadnego miejsca na krytycyzm, bo cały porządek mówienia zostanie podporządkowany kreacji martyrologiczno-bohaterskiego mitu. Cel tych dążeń jest zdaniem krytyków całkiem oczywisty: z pomocą mitu niewinnej i bohaterskiej ofiary chcemy przeprowadzić zbiorową terapię narodową, utwierdzając megalomańskie skłonności Polaków i egzorcyzmując wszelkie załążki poczucia winy za dokonane w przeszłości nieprawości. Jednym słowem, cały ten projekt jest zupełnie anachroniczny, a w dodatku jeszcze potencjalnie groźny, bo próbuje przywrócić bezrefleksyjny obraz Polski anielskiej.

W jednym wypadu się z krytykami zgodzić: gdyby istotnie taki miał być sens polityki historycznej, zasługiwałby na potępienie. Tyle że, szczerze mówiąc, trudno nam się w tej karykaturze rozpoznać. Przywrócenie nazwy „Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego” nie jest świadectwem nacjonalistycznych skłonności, lecz jedynie próbą pokazania, że rola państwa w sferze kultury nie powinna być ograniczana do wspierania kultury wysokoartystycznej.

### **„Naród – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej”**

Trudno też doprawdy odgadnąć, dlaczego nasi krytycy sądzą, że ignorujemy formułę utrwaloną w naszej konstytucji: „Naród – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej”. Ostrze naszego projektu

w żadnym razie nie kieruje się przeciwko „innym”, bo uważamy, że budowanie tożsamości i pamięci historycznej na podstawie antagonizmu i kreacji wizerunku wroga wiedzie jedynie na manowce. Z drugiej jednak strony, z pewnością nie zaliczamy się do tych, którzy sądzą, że już samo mówienie o narodzie czy polskości jest ryzykowne, że może przebudzić upiory podłości lub bezkrytycznego idealizmu. Polskość pozostaje dla nas inspiracją i zobowiązaniem, a nie ograniczeniem i zagrożeniem. Wątpliwe też wydaje się nam, by rzeczywiście istniało trwałe, niemożliwe do przewyciężenia napięcie między makronarracją narodową i mikronarracjami regionalnymi i mniejszościowymi. Oryginalność i niezwykłość idiomu polskiego wynikała przecież w znacznej mierze właśnie ze zdolności do twórczej asymilacji i przetworzenia różnorodnych elementów, tradycji i stylów życia. Walka z erozją wspólnotowej pamięci nie może więc być żadną miarą walką z różnorodnością.

Czy istotnie naszym celem jest kreowanie martyrologiczno-bohaterskiego mitu i kompletne odrzucenie historii krytycznej? Krótka odpowiedź brzmi: z pewnością nie. Ale zapewne warto pokusić się także o jej dłuższą wersję. Na początku należałoby podkreślić – co zdaje się jakoś naszym krytykom w niepokojący sposób umykać – że akurat w polskiej historii martyrologia była częściej rzeczywistością niż mitem. Poległym i zamordowanym winni jesteśmy pamięć i szacunek, nie znaczy to jednak, że chcielibyśmy budować opowieść o przeszłości wyłącznie wokół wątków martyrologicznych. Straszliwe świadectwo cierpień może uczynić wstrząsające wrażenie, pod warunkiem wszakże, że nie odwołujemy się doń bezustannie. Nawiązanie rozmowy z młodym pokoleniem w ironicznych czasach, w jakich żyjemy, nie jest możliwe z pomocą niestrawnego dydaktyzmu, hagiografii czy nieumiarkowanego dawkowego patosu.

Nie zapominając o krzywdach i cierpieniach, warto więc w opowieści o polskiej przeszłości zaakcentować to, co było optymistyczne i porywające, warto uwypuklić polski model dobrego życia, pokazać wartość naszej obyczajowości (będącej częściej przedmiotem kpin niż rozważnego namysłu), unaocznić fascynującą siłę polskiej kultury. Przesłanie takiej opowieści

z natury rzeczy musi być przesłaniem pozytywnym. Jednakże wizja pozytywna nie może być wizją fałszywą. Nie idzie więc o to, by uchylać się od mówienia o rzeczach niegodnych czy kontrowersyjnych, ale o to, by zachować właściwy porządek mówienia, to znaczy taki, w którym afirmacja poprzedza (ale nie wyklucza!) krytyczny osąd.

Nie przeciwstawiamy sobie historii bohaterskiej i krytycznej, bo potrzebujemy ich obu, ale nie sądźmy też (co zdają się robić nasi adwersarze), że historia krytyczna jest jedynym prawomocnym sposobem przedstawiania naszych dziejów. Co zabawne, ci, którzy sądzą, że naszym marzeniem jest opowiadać dzieje Polski na klęczkach, sami po cichutku przemykają do małej kapliczki, gdzie padają plackiem przed prorokami historii krytycznej. A jaki głośny krzyk podnoszą na najdrobniejszą uszczypliwość pod adresem – powiedzmy – Michała Bobrzyńskiego! Widać i dla nich istnieje grzech niewybaczalny i obraźliwy: być krytycznym wobec tradycji krytycznej... Dyskusję na temat tego, czy o polskiej historii można mówić wyłącznie dobrze, czy wyłącznie źle, uważamy za umiarkowanie pożyteczną. Kompleks niższości i kompleks wyższości są w końcu siebie warte. Są problemy poważniejsze, choćby zastanowienie się nad tym, czy istotnie jest rzeczą właściwą prezentować ją wyłącznie jako ciąg walk i niepodległościowych zrywów. Wydaje nam się, że szczególnie teraz ważne jest, by opowieść o Polakach umiejących walczyć o wolność zrównoważyć inną narracją – o umiejętności roztropnego zabudowywania przestrzeni wolności, o zdolności do tworzenia i działania w czasach pokoju.

Anachroniczna terapia narodowa? Ani anachroniczna, ani terapia. Proponujemy, by patrzeć na politykę historyczną jako na przedsięwzięcie edukacyjne, a nie terapeutyczne. W tym sensie, choć dotyczy przeszłości, zwraca się ku przyszłości. Idzie o zbudowanie takiego modelu patriotyzmu, który będzie odpowiadał na współczesne wyzwania. Musi to być patriotyzm, który nie zapominając o swoich insurekcyjnych korzeniach, będzie wskazywał, jak należy działać w warunkach zdefiniowanych przez istnienie niepodległego państwa leżącego w szybko jednoczącej się Europie. Patriotyzm, który wzmocni swój zwią-



zek z obywatelskością, przejawiając się nie tylko w szlacheckich deklaracjach, lecz także w gotowości do służby publicznej, do realnego – i odważnego – zaangażowania w życie naszej demokratycznej wspólnoty. Z pewnością taki cel może zostać osiągnięty tylko wtedy, gdy potrafimy znaleźć nowoczesne sposoby budowania historycznej narracji, gdy potrafimy powiedzieć to, co uważamy za szczególnie istotne, w języku zrozumiałym nie tylko dla nas, ale i dla młodego pokolenia. Chcielibyśmy, by Muzeum Historii Polski, nad którego powołaniem obecnie pracujemy, stało się takim ważnym dla młodych miejscem.

Spór zwolenników polityki historycznej z jej przeciwnikami nie może zostać rozstrzygnięty w publicystycznej dyskusji. Wierzymy jednak, że powołanie Muzeum Historii Polski stanie się momentem rzeczywistej weryfikacji zarówno naszych poglądów, jak i zasadności lęków naszych adwersarzy.

Kazimierz Michał Ujazdowski, Tomasz Merta, Robert Kostro  
(„Gazeta Wyborcza”, 06.04.2006)

## **Falszywa droga do pojednania**

Wrocław znów stał się adresatem pomysłu ryzykownego z punktu widzenia zachowania pamięci historycznej i tylko z pozoru służącego odbudowie stosunków polsko-niemieckich. Chodzi o odświeżoną niedawno przez Bronisława Geremka i Władysława Frasyniuka ideę utworzenia tam Centrum Pojednania Polsko-Niemieckiego (wcześniej z pomysłem tym wystąpili na łamach „Gazety Wyborczej” Adam Michnik i Adam Krzemiński). W zamyśle obu polityków PD centrum we Wrocławiu miałoby być alternatywą dla berlińskiego Centrum przeciwko Wypędzeniom.

W Niemczech te projekty nie zostały jednak potraktowane jako alternatywne. Angela Merkel, liderka CDU i kandydatka na kanclerza, poparła berliński projekt, a Erika Steinbach pochwaliła projekt centrum wrocławskiego jako miejsca pojednania i „uzgodnienia” stanowisk. Obserwatorów niemieckiej polityki deklaracje te nie zaskakują, nas powinny zaś skłaniać do przemyślenia postępowania w zakresie polityki historycznej.

### **Ryzyko fałszu**

Autorzy projektu Centrum Pojednania Polsko-Niemieckiego nie wspominają o tym, co ma stanowić podstawę nowego aktu pojednania. Przemilczają też niewygodną prawdę o niekorzystnych zmianach, jakie zaszły w świadomości niemieckiego społeczeństwa i jego elit politycznych, które w coraz mniejszym stopniu mają poczucie odpowiedzialności za wywołanie II wojny światowej.

Ten negatywny proces wykracza daleko poza środowiska skupione wokół Związku Wypędzonych. Budowa wrocławskiego centrum bez poważnej dyskusji oznacza ryzyko tłumaczenia się z niepopelnionych win. Świadczą o tym wymownie wypowiedzi polityków SPD, którzy uznają za konieczne wprowadze-

nie problemu współodpowiedzialności Polaków za przesiedlenia do nowej formuły polsko-niemieckiego pojednania. W odróżnieniu od historycznego listu biskupów polskich sprzed czterdziestu lat i znaczących gestów w dialogu polsko-niemieckim po 1989 roku, to nowe pojednanie niesie ze sobą ryzyko fałszu i przypisania Polsce częściowej odpowiedzialności za przesiedlenia, które – jako konsekwencja wywołania II wojny światowej – przeprowadzone były bez udziału państwa polskiego na mocy decyzji mocarstw alianckich.

W istocie propozycja ta stwarza ryzyko nie mniejsze niż utworzenie berlińskiego centrum. Polega ono w tym przypadku na udziale Polski w procesie, który musi przynieść skutek w postaci relatywizacji niemieckiej odpowiedzialności za zbrodnie II wojny światowej. Politycy niemieccy, bez względu na dzielące ich różnice, wskazują na Wrocław, bo placówka ulokowana w tym mieście z natury rzeczy wyeksponuje problem przesiedleń. Trudniej będzie także we Wrocławiu o przedstawienie ogromu zbrodni dokonanych na polskiej ludności cywilnej w Polsce centralnej, na Pomorzu i Wielkopolsce, które znacznie przewyższały swym rozmiarem cierpienia przesiedlonych.

Trzeba pamiętać, że nawet w optyce SPD-owskich krytyków projektów Eriki Steinbach nie ma miejsca na zbrodnie Wehrmachtu dokonane przed rokiem 1941. Głośna swego czasu wystawa poświęcona zbrodniom Wehrmachtu pomijała milczeniem pierwsze dwa lata wojny.

### **Defensywna polityka historyczna**

Przypomnieć także wypada, że na arenie międzynarodowej podjęto już inicjatywę, która miała zapobiec utworzeniu Centrum przeciwko Wypędzeniom w Berlinie. Mam na myśli „Sieć przeciwko wypędzeniom”, powołaną z udziałem ministrów kultury Polski, Niemiec, Węgier, Słowacji i Austrii. Projekt ten nie powstrzymał CDU przed poparciem utworzenia centrum w Berlinie. To niepowodzenie winno stanowić dla nas ostrzeżenie przed skutkami selektywnego traktowania prawdy histo-

rycznej. Czesi nie bez racji zrezygnowali z udziału w tym przedsięwzięciu.

W ramach inicjatywy ministrów kultury kwestie zbrodni niemieckich na polskiej ludności cywilnej znajdują się poza zakresem podstawowego zainteresowania, bo nie mieszczą się w koncepcji, w której przesiedlenia traktowane są jako najważniejszy po Holokauście przypadek zbrodni przeciwko ludności cywilnej. To samo niebezpieczeństwo grozi projektowi Centrum Pojednania we Wrocławiu, tym bardziej, że jego autorzy nie zechcieli poddać analizie współczesnych niemieckich pomysłów w tej sferze, przyjmując błędnie, że problem po stronie Niemiec tkwi wyłącznie w stanowisku Eriki Steinbach.

Polska polityka historyczna musi oderwać się od poszukiwania ciągłych odpowiedzi na niemieckie poczynania w dziedzinie pamięci o losach przesiedlonych. W przeciwnym razie pozostanie wtórna i reaktywna. Podstawowym zadaniem władz publicznych jest prezentacja w nowoczesnych formach polskiego dorobku historycznego. Niedobrze by się stało, gdybyśmy mieli uznać, że utworzenie Instytutu Pamięci Narodowej i zbudowanie Muzeum Powstania Warszawskiego zaspokaja wszystkie polskie potrzeby w tym zakresie. Byłoby również źle, gdyby nasze działania miały charakter defensywny, ograniczony do momentów, w których wrażliwość Polaków deptana jest przez innych.

W dziedzinie polityki historycznej potrzebna jest systematyczność i wytrwałość. Powinniśmy zaprojektować działania, które w dalszej perspektywie umożliwią prezentację polskiego wkładu w historię Europy. Potrzebne jest wzmocnienie publicznych, niezależnych instytucji oraz programów, które odgrywają kluczową rolę w dokumentowaniu i popularyzowaniu historii. Zatrważający przykład polskich zaniedbań stanowi fakt opublikowania po wojnie nie więcej niż trzystu świadectw osób cywilnych, będących świadkami zbrodni popełnionych w czasie powstania warszawskiego. Zdecydowana większość ukazała się przed 1989 rokiem.

## Nie krzywdzić Wrocławia

Należy wprowadzić nowe formy wsparcia stypendialnego dla zagranicznych naukowców i studentów interesujących się historią i kulturą Polski. Przypomnieć trzeba ideę powołania nowoczesnej placówki o charakterze muzealnym, edukacyjnym i badawczym, która przedstawiałaby w atrakcyjnej multimedialnej formie kluczowe elementy polskiego doświadczenia historycznego, począwszy od dorobku Rzeczypospolitej Obojga Narodów, aż po udane zmagania polskiej wolności z nazizmem i komunizmem. W opublikowanym na łamach „Rzeczypospolitej” tekście *Odzyskać pamięć* („Rzeczpospolita” z 27 września 2003) proponowałem razem z Robertem Kostro nazwę Muzeum Wolności w przekonaniu, że idea ta stanowi najważniejszy wkład Polski w dziedzictwo Europy.

Pomysł umiejscowienia Centrum Pojednania Polsko-Niemieckiego we Wrocławiu przyniesie szkodę miastu, którego rola w historii Polski nie powinna być sprowadzona do upamiętniania losu przesiedlonej ludności niemieckiej. Powojenny Wrocław był jednym z najprężniejszych ośrodków życia kulturalnego, a w latach 80. najżywoźniejszym po Trójmieście miejscem solidarnościowego oporu. Nasz wysiłek powinien być skoncentrowany na wsparciu dla podjętych już przez władze Wrocławia i Dolnego Śląska inicjatyw utworzenia Centrum Solidarności i Walki z Totalitaryzmem oraz powołania Muzeum Ziem Zachodnich, prezentującego wielki wysiłek cywilizacyjny Polaków przybyłych w ogromnej części z polskich Kresów Wschodnich.

Nikt w stolicy Dolnego Śląska nie myśli o realizacji tych przedsięwzięć w duchu konfrontacji z Niemcami. Wręcz przeciwnie, szacunek dla wielowątkowej spuścizny kulturalnej Wrocławia jest znaną w świecie cechą społeczności tego miasta. Znakomitą okazją do budowy dobrego klimatu w relacjach polsko-niemieckich będzie planowane przez władze Wrocławia na koniec listopada odsłonięcie pomnika kardynała Bolesława Kominka, twórcy historycznego listu biskupów polskich do biskupów niemieckich. Natomiast Centrum Pojednania Polsko-Niemieckiego we Wrocławiu, wbrew intencjom Bronisława

---

Geremka i Władysława Frasyniuka, raczej wyostrzy, niż złagodzi różnice w spojrzeniu na historię stosunków polsko-niemieckich, skazując tym samym Wrocław na życie w cieniu „złej historii”.

(„Rzeczpospolita”, 17.08.2005)



## Pamięć i przyszłość

W *Polityce i sztuce* Stefan Kisielewski widział polską szansę w syntezie romantyzmu z właściwą pozytywizmowi troską o systematyczność i trwałą formę instytucjonalną. Uwagę tę odnieść można z powodzeniem do każdej dziedziny polskiego życia publicznego. Zbyt często marzenia i wielkie aspiracje nie znajdują urzeczywistnienia z powodu braku stałości w naszych poczynaniach.

Bywa, że zapominamy o ważnych dokonaniach i ważnych momentach polskiego doświadczenia historycznego, gubiąc tym samym okazję do zaprezentowania wartości istotnych w dziejach Europy. Przypominamy sobie o nich poniewczasie, gdy racje innych biorą górę nad naszymi, nie zawsze w zgodzie z poszanowaniem prawdy historycznej i sprawiedliwości. Choć w ostatnich latach udało nam się nadrobić wiele zaległości w tej sferze – czego dowodem jest Muzeum Powstania Warszawskiego oraz powstające Muzeum Historii Polski i Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku – to wciąż na liście zaniedbań pozostaje kilka ważnych pozycji. Z pewnością figuruje na niej ukazanie wartości historycznych i kulturowych, dzięki którym polskie ziemie zachodnie są ważnym miejscem nie tylko dla naszego kraju, lecz i dla całej Europy.

Jedną z najważniejszych konsekwencji II wojny światowej okazała się zmiana granic państwa polskiego. Wskutek niemieckiej i sowieckiej okupacji, a następnie jałtańskiej decyzji trójki wielkich mocarstw nastąpiło przymusowe przesiedlenie pozbawionej własnych małych ojczyzn ludności dawnych Kresów Wschodnich na tereny przyłączone do Polski w 1945 roku. Czy możemy sobie pozwolić na zapomnienie o nadzwyczajnym fenomenie kulturowego i cywilizacyjnego trudu Polaków, dokonanym na ziemiach zachodnich po okresie zniszczeń wojennych?



A przecież mamy tu do czynienia z procesem, którego znaczenie wykracza poza historię narodową. Nowi mieszkańcy tych ziem przez ponad pół wieku tworzyli ich historię, podejmując w tym czasie wielki wysiłek cywilizacyjny. Jego efektem stał się nie tylko dorobek materialny, lecz i duchowy. Wielkie znaczenie miał Kościół, który w ogromnym stopniu przyczynił się do definitywnego zintegrowania tych ziem w ramach polskiego organizmu państwowego. Trzeba także wymienić dzieła kultury i nauki, które stały się ważną częścią polskiego dziedzictwa narodowego. Uniwersytet Wrocławski i Politechnika Wrocławska kontynuowały znakomite tradycje nauki lwowskiej, a jednocześnie stolica Dolnego Śląska stała się po wojnie ośrodkiem awangardowym w dziedzinie teatru (Jerzy Grotowski, Henryk Tomaszewski), plastyki i ważnym miejscem kultury muzycznej (Wratislavia Cantans).

Dokonania mieszkańców Wrocławia, Szczecina i innych miast „ściany zachodniej” świadczą o ich ogromnym dorobku oraz sile polskiego ducha. Trzeba to podkreślić, gdyż pozytywne zdolności cywilizacyjne osiedlających się tam Polaków poddawano w wątpliwość. Tymczasem w Szczecinie znakomicie wykwalifikowana polska inteligencja techniczna nie tylko odbudowała ze zniszczeń port i stocznię, ale stworzyła siłę polskiej żeglugi morskiej. Mamy zatem prawo być dumni z polskich osiągnięć na ziemiach zachodnich, tym bardziej, że towarzyszy im szacunek dla wielokulturowego dziedzictwa tych obszarów.

Prezentacja dorobku cywilizacyjnego „nowych Kresów” powinna być z samego założenia afirmatywna. Punktem odniesienia może być tu wizja historii Wrocławia, zawarta w książce Normana Daviesa *Mikrokosmos*. Szacunek dla wielowątkowej spuścizny kulturalnej stolicy Dolnego Śląska jest znaną w świecie cechą społeczności tego miasta. Niemcy odwiedzający Wrocław są często zaskoczeni nie tylko dynamiką gospodarczą miasta, ale również towarzyszącą jej siłą pozytywnego patriotyzmu, współlistniejącego z szacunkiem dla spuścizny kulturowej czeskiej, austriackiej i niemieckiej.

Wielowiekowa obecność różnych narodowości i różnych kultur stanowi istotną cechę ziem zachodnich. Podobnie jak

w przypadku dawnych Kresów Wschodnich, mozaika ta to prawdziwy skarb tych terenów. Dodatkowym, lecz jakże istotnym wkładem byłych mieszkańców Lwowa, Wilna i innych miast należących do Polski przed rokiem 1945, okazało się dziedzictwo kulturowe, które wraz z nimi przywędrowało na zachód. Ossolineum pozostające depozytariuszem wielkich zbiorów polskiej literatury romantycznej jest najwspanialszym kulturowym wyrazem obecności tego dziedzictwa na zachodzie Polski.

Wypada także zwrócić szczególną uwagę na rolę ziemi zachodnich w dziejach polskiej wolności. Szczecin to miejsce dramatycznych wydarzeń grudnia 1970 oraz porozumień Sierpnia 1980. Z kolei Wrocław był najsilniejszym ośrodkiem solidarnościowego oporu w latach 80., animowano w nim współpracę niezależnych środowisk z Polski i Czech. Podkreślmy, że „Solidarność”, pomimo świadomości zbrodni popełnionych na Polakach w II wojnie światowej, miała istotny udział w budowaniu zrozumienia dla idei pojednania z Niemcami i zrozumienia dla zjednoczenia Niemiec. Polska opozycja demokratyczna odrzucała linię propagandową władz komunistycznych, przedstawiającą naszego zachodniego sąsiada jako historycznego wroga i ciągle zagrożenie dla pokoju.

W tym miejscu nie możemy nie wspomnieć o kardynale Bolesławie Kominku. Skromny pomnik metropolity wrocławskiego stojący u wejścia na Ostrów Tumski przypomina o wielkim akcie historycznym, który zdarzył się na tych ziemiach 15 lat przed powstaniem „Solidarności”. Chodzi o „Orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich” – prekursorski akt jedności europejskiej i polsko-niemieckiego pojednania.

Warto wracać do dokumentu, w którym manifestowano wolę i przekonanie o urzeczywistnieniu pojednania bez łatwych i szkodliwych operacji dokonywanych kosztem prawdy historycznej. Dokument nazywał okupację niemiecką okresem totalnego i całkowitego zniszczenia, a zarazem apelował o pojednanie. Czytamy w nim: „Jeśli po obu stronach znajdzie się dobra wola – a w to nie trzeba chyba wątpić – to poważny dialog musi się udać i z czasem wydać dobre owoce, mimo wszystko, mimo «gorącego żelaza»”.

Polski sukces na ziemiach zachodnich powinien być jedną z naszych wizytówek w świecie. Podjęta przeze mnie decyzja o powołaniu we Wrocławiu Ośrodka „Pamięć i Przyszłość” oznacza stworzenie instytucjonalnych warunków dla prezentacji powstałego po wojnie polskiego dorobku cywilizacyjnego i kulturowego na tych terenach, w formie wystaw narracyjnych, działań edukacyjnych i systematycznych prac dokumentacyjnych. W ten sposób wypełniona zostanie luka, jaką widać na tle innych regionów kraju, w których działają państwowe instytucje o podobnym profilu, związanym ze specyfiką lokalnego doświadczenia historycznego. Doświadczenia krakowskiego Międzynarodowego Centrum Kultury dowodzą sukcesu takich przedsięwzięć.

Przed dwoma laty w dyskusji na ten temat formułowano postulat stworzenia Muzeum Ziem Zachodnich. Ośrodek „Pamięć i przyszłość” wypełni tę funkcję w poszerzonej, wielowymiarowej i współczesnej formule. Chodzi bowiem o pokazanie trwałości i wartości polskiego dorobku historycznego i jego wciąż aktualnego znaczenia. W ten sposób będziemy mogli pokazywać ścisły związek naszej historii z historią Starego Kontynentu. Może to być nasz istotny wkład w realizację idei solidarnej Europy.

(„Rzeczpospolita”, Plus-Minus, 10.03.2007)

## I Sienkiewicz i Gombrowicz

Zaprezentowana przez Ministra Edukacji Narodowej propozycja zmian na liście lektur szkolnych wywołała gorące dyskusje. Pomysły Romana Giertycha i jego współpracowników mają ideologiczny i partykularny charakter. Z przebiegu dyskusji w mediach można wysnuć wniosek, że mamy do czynienia ze sporem między zwolennikami Henryka Sienkiewicza i Witolda Gombrowicza.

Tak oczywiście nie jest, również i z tego powodu, że w historii literatury polskiej dychotomia Sienkiewicz – Gombrowicz nie występuje. Twórczość obu pisarzy pozostaje istotnym i nieusuwalnym fragmentem naszej kultury, która stanowi niepodlegającą podziałom ideologicznym całość. Znamienne jest, że negatywne reakcje na propozycje MEN sprowadzają się zwykle do nieobecności w kanonie lektur twórcy *Ferdydurke*, pomijają zaś brak innych, ważnych autorów.

### Brakuje nie tylko Gombrowicza

Na liście lektur obowiązkowych próżno szukać dzieł wybitnych pisarzy emigracyjnych: Józefa Mackiewicza, Andrzeja Bobkowskiego czy Jerzego Stempowskiego. Można odnieść wrażenie, że kultura emigracyjna wciąż traktowana jest jak w czasach PRL, jako ciało obce. Szczególnie trudno zrozumieć, dlaczego zabrakło miejsca dla wyrazistego antykomunisty i zarazem konserwatysty Mackiewicza, którego epickie utwory w mistrzowski sposób prezentują dramatyczne losy Polaków i innych narodów środkowowschodniej Europy w XX stuleciu. Na szczęście pod wpływem głosów krytyki w kanonie znalazł się *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Wśród obowiązkowych pozycji nie może bowiem zabraknąć utworów, które w przejmujący sposób prezentują polskie doświadczenie historyczne, w tym doświadczenie totalitaryzmu komunistycznego.

Wśród propozycji lektur MEN pojawiają się *Listy Nikodema* Jana Dobraczyńskiego. Książka ta jest przykładem pisarstwa katolickiego, podejmującego kwestię cierpienia w kontekście nieuleczalnej choroby córki autora. Jednak znacznie szerszy horyzont problematyki duchowej – obejmującej nie tylko cierpienie, lecz i dokonywanie trudnych wyborów moralnych, także w obliczu represyjnej polityki władzy – znajdujemy choćby w zbiorze nowel Hanny Malewskiej *Sir Tomasz More odmawia*. Przy okazji warto podkreślić, że Malewska, w odróżnieniu od Dobraczyńskiego, nie zgodziła się na współpracę z reżimem PRL.

MEN do kanonu lektur dodało również wspomnienia *Będziecie moimi świadkami* arcybiskupa Kazimierza Majdańskiego. Rzecz jasna, świadectwo godnego przejścia przez koszmar obozu w Dachau zasłużonego dla Polski kapłana stanowi dla młodzieży niezwykle istotny wzór wychowawczy. Można jednak zapytać, dlaczego na liście nie ma chyba bardziej znaczącej pozycji, jaką są *Zapiski więzienne* kardynała Stefana Wyszyńskiego?

Kiedy zatem przyjrzymy się liście lektur, zaproponowanej przez Ministra Edukacji, możemy odnieść wrażenie, iż odzwierciedla ona wizję literatury z perspektywy specyficznie pojmowanego patriotyzmu. Patriotyzmu zamkniętego, z naleciałościami nacjonalistycznymi, w duchu PAX-owskim – dobrze funkcjonującego w warunkach PRL i koncesjonowanego przez ówczesny reżim. Taka wizja patriotyzmu obca była Romanowi Dmowskiemu, twórcy narodowej demokracji, który niejednokrotnie wskazywał na wady i niedoskonałości polskiego charakteru narodowego. Odwołujący się do dziedzictwa endecji Roman Giertych próbuje usunąć wątki krytyczne z polskiego kanonu literackiego.

Wyłania się z tego wulgarna interpretacja ideologii narodowej, przedstawiającej Niemcy jako zdecydowanie większego niż Rosja wroga Polski, oraz negatywny stosunek do Zachodu – źródła wrogiemu chrześcijaństwu liberalizmu. Kanonicznym pisarzem okazuje się Dobraczyński, ale już nie Mackiewicz. Pod tym względem lista lektur MEN pokrywa się też z lewicową wizją polskiej kultury, w której nie ma miejsca na pisarzy

bezkompromisowo demaskujących nie tylko przemoc komunizmu, ale i zwodniczy fałsz, jaki legł u podstaw tej ideologii.

### **Spór o kształt patriotyzmu**

W Polsce kształt patriotyzmu stanowi w tej chwili przedmiot sporu ideowego. Z jednej strony mamy postawę otwartą i ofensywną, z drugiej zaś – zamkniętą i karmiącą się obawami. Ta druga interpretacja patriotyzmu unieruchamia ludzi w lęku wobec świata i zmian, które w nim zachodzą. Patriotyzm ofensywny i optymistyczny oznacza natomiast otwartość na świat, przy jednoczesnym silnym przywiązaniu do naszej tradycji i historii. Pomimo trudów emigracji i obserwowania z oddali zniewolenia Polski, zwolennikami takiego modelu polskości byli Mackiewicz, Bobkowski i Stempowski.

Lekcje języka polskiego są w jakimś stopniu lekcjami wychowania patriotycznego. Ale wychowanie to nie może polegać na dekretowaniu przez polityków postaw, które duchem pozostają bliskie szkolnym akademiom rocznicowym z czasów PRL. Taki patriotyzm młodzież będzie odrzucać.

Polityka rządu powinna tworzyć całość. W sferze tak istotnej i delikatnej, jak edukacja, nie może być zdominowana przez niewielką partię koalicyjną, która nie zawsze ma poczucie odpowiedzialności za dobro wspólne. Dobra polityka konserwatywna, która troszczy się o poziom edukacji i kształt polskiego patriotyzmu, nie może uderzać w żywą tkankę polskiej kultury oraz odgórnie ograniczać pluralizm opinii i wrażliwości. Działania LPR i ministra Giertycha w tej sprawie osłabiają potencjał polskiej centroprawicy.

Kanon lektur szkolnych powinien być ukształtowany przy uwzględnieniu kilku zasad: hierarchii dokonań literackich, szacunku dla integralności całej polskiej literatury oraz troski o znajomość literatury europejskiej. Literatura, pomimo znaczącego wzajemnego oddziaływania na inne sfery życia, tworzy zarazem przestrzeń autonomiczną. Musi być więc wolna od bieżących rozgrywek politycznych i swarów ideologicznych. Stefan Kisielewski, mając konserwatywne poglądy, przepadał jednocześnie za książkami socjalisty i masona Andrzeja Struga.

Przyznaję rację Kisielowi. Budowanie modelu kultury na podstawie ideologicznych schematów niezwykle zubaża nasze życie umysłowe.

(„Gazeta Polska”, 11.07.2007)

## Prawica przyszłości

Gdyby Polska doczekała się swojego Alexisa Tocqueville'a, to z pewnością otrzymalibyśmy opis fenomenu ideowej przewagi prawicy. Przewaga ta jest szczególnie widoczna w porównaniu do Europy Zachodniej. Większość sił politycznych w Polsce zachowuje wrażliwość i przywiązanie do chrześcijańskiego systemu wartości, jest krytyczna wobec kruszenia się tradycyjnych wzorców społecznych i pomimo silnych nastrojów egalitarnych odrzuca projekty etatystyczne i skrajnie socjalne. Polityka polska jest też bardziej atlantycka, mocno zainteresowana współpracą Europy ze Stanami Zjednoczonymi.

Dziś poglądy charakterystyczne dla europejskiej socjaldemokracji są w Polsce w wyraźnej defensywie. Tocqueville nie zadowoliliby się z pewnością statycznym opisem wpływów prawicy i próbowałby odpowiedzieć na pytanie, czy jej ideowa przewaga znajduje wyraz w rzeczywistości ustrojowej współczesnej Polski. Nie mógłby pominąć pytania o sprawczość prawicowego obozu politycznego, o to, w jakim stopniu przyczynił się on i może przyczynić się w przyszłości do trwałych instytucjonalnych zmian w Polsce. Kwestia ta wydaje się być motywem przewodnim rozważań Rafała Matyi, który w tekście *Konserwatywny instytucjonalizm* („Europa – Tygodnik Idei” z 14 lipca 2007 r.) stawia przed prawicą zadanie instytucjonalnego wzmocnienia państwa na tyle, aby było ono samosterownym i silnym podmiotem w międzynarodowej rywalizacji.

Wydaje się, że prawica nie musi zaczynać „od początku” dzieła swojej naprawy i unowocześnienia. Współczesne problemy prawicy nie są pochodną wad genetycznych z lat 90. Jej bilans ustrojowy w pierwszej dekadzie niepodległości jest znacznie lepszy niż rezultaty jej wyborczych dokonań w tamtym czasie. Prawica wyrastająca z tych nurtów polskiej opozycji, które odrzucały minimalistyczną perspektywę demokratyzacji



sojalizmu, wysuwała w swoim programie postulaty ukształtowania niepodległego państwa zgodnie z polską tradycją i z odważnym planem usunięcia balastu komunizmu – budowy nowych instytucji ustrojowych. Proces ten powiódł się w ograniczonym stopniu, ale obóz prawicy był w tamtym okresie czynnym uczestnikiem ustrojowej zmiany. Prawica była konsekwentnym rzecznikiem rekonstrukcji samorządu terytorialnego, odbudowy silnej pozycji Trybunału Konstytucyjnego, aktywnie uczestniczyła w procesie reformy oświaty i wspomagania szkolnictwa prywatnego. Wywalczyła prawną ochronę życia poczętego i podstawowe zapisy chroniące rodzinę w ustawodawstwie. Z końcem lat dziewięćdziesiątych wniosła również do życia publicznego ideę polityki historycznej.

Jeśli przyjrzymy się temu, co nowe i dobre w porządku ustrojowym III RP, to ocena prawicy wypadnie pozytywnie. Prawicę gubił wówczas nie tyle brak ambicji państwowych, co wewnętrzne konflikty, które doprowadziły do klęski roku 1993. Cztery lata później AWS zdołał przeprowadzić kilka istotnych projektów ustrojowych (reforma samorządowa, powołanie IPN), ale nie spełnił swojej misji ze względu na słabość przywództwa. Prawica w czasach AWS nie grzeszyła „pryncypialnością i bezkompromisowością”, nie miała nawyku opozycyjności i kontestacji, na który wskazuje Rafał Matyja. Przeciwnie, AWS chciał rządzić za cenę oportunistu i uniknąć działań, które oznaczały konfrontację z najbardziej egoistycznymi układami interesów III RP. Trzeba jednak zauważyć, że to właśnie w prawicowym spektrum ukształtowała się pełna odpowiedź na obciążający państwo postkomunizm – idea IV RP.

Wady prawicy z lat 90. nie wyjaśniają jej dzisiejszych problemów. Prawica nie wykorzystuje w pełni swoich szans z powodu całkiem aktualnych przyczyn. Osłabia ją ostry antagonizm na linii PiS-PO, ogranicza dominacja marketingowego podejścia do polityki i nadmierna pragmatyzacja, która utrudnia dopływ do życia publicznego ludzi ambitnych i kompetentnych. W istocie wzrost polityczny prawicy zależy od przewyciężenia własnych słabości i wad. Polska potrzebuje prawicy ambitnej, czynnej, zdolnej do pomnażania polskiego potencjału. Tym bardziej, że nikt nie wyręczy jej w tym zadaniu.

Lewica w Polsce ukształtowała się jako obóz czerpiący korzyści z wad ustrojowych III RP i niezainteresowany realną podmiotowością państwa polskiego. To dlatego perspektywa powstania rządowej koalicji PO-LiD postrzegana jest jako niebezpieczeństwo powrotu do złych praktyk III RP. Zasadniczy postulat Rafała Matyi, pod którym podpisują się obydwoma rękami, traktuję jako wezwanie do polityki ambitnej, wskazującej na ustrojowe zadania obozu politycznego, wykraczające daleko poza doraźną perspektywę sukcesów i sondażowych notowań. Konserwatywny instytucjonalizm to wskazanie na pozytywny, a zatem najważniejszy wymiar idei IV RP, która nie była projektem rewolucyjnym. Dokonany przez PiS demontaż negatywnych zjawisk III RP (wśród nich chociażby działalność WSI) i przywrócenie podstawowych funkcji państwa w sferze bezpieczeństwa i wymiaru sprawiedliwości ułatwia to zadanie.

Rafał Matyja ma jednak całkowitą rację gdy stwierdza, że umocnienie i unowocześnienie instytucji państwowych wymaga porzucenia logiki konfrontacji na rzecz prymatu międzynarodowej rywalizacji i rzeczywistej siły Polski. W planie politycznym oznacza to obecność myśli o współpracy obu ugrupowań prawicowych: PiS i PO. Tym bardziej, że śmiałe projekty instytucjonalne i konstytucyjne wymagają wspólnej pracy sił zainteresowanych rzeczywistymi zmianami ustrojowymi. Nie przypadkiem Jarosław Gowin w artykule *Prawico, porzuć moralizatorstwo* („Dziennik” z 25 lipca 2007 r.) za najciekawsze uznał niektóre propozycje przedstawione w projekcie konstytucji PiS i pomysł wzmocnienia władzy premiera w pakiecie ustrojowym Jana Rokity. O tym, jak wiele można zdziałać mając poparcie obu partii prawicowych, świadczą sukcesy Rafała Dutkiewicza, który uczynił z Wrocławia najprężniej rozwijające się miasto w Polsce.

Prawica powinna nie tylko być zdolna do reform instytucji państwowych, lecz również aktywnie wspierać korzystne procesy społeczne poszerzające sferę wolności. Nie zdziwiłbym się, gdyby współczesna Polska znalazłszy się w polu obserwacji Tocquevilla została uznana przez niego za kraj niewykorzystanego dynamizmu, w którym wiele talentów i indywidualnej energii nie znajduje wyrazu w życiu publicznym. Prawica musi

zatem poszerzać sferę konkretnych swobód w sferze gospodarce, działać na rzecz dystrybucji własności prywatnej – powinna być państwowa, ale nie etatystyczna. Musi otwierać perspektywę kariery publicznej wobec osób, które Jadwiga Staniszkis określa mianem „artystów instytucji”. To wymaga również twardych decyzji politycznych. Zarówno administracja, jak i korporacje zawodowe bronią się przed dopływem świeżej krwi kosztem dobra publicznego. Przyszłość prawicy zależy także od tego, czy będzie zdolna do praktycznej syntezy modernizacji i solidarności. Polska potrzebuje dynamicznej i konkurencyjnej gospodarki, ale proces jej tworzenia musi mieć charakter inkluzywny, dający możliwość udziału każdej grupie społecznej we wzroście gospodarczym.

Rafał Matyja nie będąc zwolennikiem „prawicy laickiej” stwierdza, że prawica powinna zachować sceptycyzm wobec ofensywnej realizacji postulatów chrześcijańskich, raczej broniąc *status quo* niż angażując się w nowe projekty. Obawiam się, że jego uwagi nie oddają dylematu, przed jakim stoi obóz polityczny mający chrześcijańską wrażliwość. Jeśli uwagę tę traktować jako przestrożę przed instrumentalizacją religii, budowaniem tożsamości poprzez wzniecanie konfliktów, to przychodzi całkowicie zgodzić się z autorem tekstu. Miał bowiem rację Stanisław Estreicher, gdy w *Istocie konserwatyzmu* stwierdzał: „Ceniąc nader wysoko dwa węzły społeczne, tj. jedność wyznaniową i narodową, jest konserwatyzm przeciwny narzucaniu ich sumieniom ludzkim sposobami radykalnymi: fanatyzmem i szowinizmem”. Jednocześnie trzeba brać pod uwagę to, że przywiązanie do ideałów chrześcijańskich będzie miało swą praktyczną miarę nie tylko w momencie sprzeciwu wobec liberalizacji ochrony życia, ale również w kilku istotnych dziedzinach, na czele z prawami i pozycją rodziny. Umocnienie rodziny będzie istotnym czynnikiem siły polskiego społeczeństwa i powiększenia kapitału zaufania. Prawica konserwatywna nie może pozostać obojętna wobec tych zagadnień.

Wypada przypomnieć pracę Rocco Buttiglione, który w książce *Chrześcijaństwo a demokracja* opisał proces utraty chrześcijańskiego charakteru przez włoską chadecję wraz ze wszystkimi jego negatywnymi konsekwencjami. Sprzeciw wo-

bec polityki skrajnej – ostra krytyka prawicy rachującej na stały konflikt światopoglądowy – nie może oznaczać praktycznej obojętności w sprawach, które, jak wskazuje doświadczenie, wymagają nie mniejszej odwagi politycznej niż śmiałe projekty ustrojowe. To doprawdy zasmucające, że laicka Francja ma od 1946 roku bardziej prorodzinne ustawodawstwo i politykę niż chrześcijańska Polska.

Wybitny analityk prawicy francuskiej René Rémond pisał, że głębokimi kulturowymi wartościami dla niej są rodzina, tradycyjne wzorce społeczne oraz wrażliwość patriotyczna. Uwagi te w jeszcze większym stopniu odnieść można do prawicy polskiej. Jej tożsamość jednak powinna być wyrażona w nowoczesnym języku. Dlatego też uważam, iż paliwem konserwatywnego instytucjonalizmu powinien być dynamiczny, otwarty patriotyzm.

Przed kilkoma dniami spotkałem się we Wrocławiu ze stypendystami Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia” – z młodzieżą o mocnej wrażliwości patriotycznej i chrześcijańskiej. Prosił mnie, bym bronił patriotyzmu przed sztucznością i propagandą. Patriotyzm pozytywny, czerpiący dumę z polskiego dziedzictwa, gotowy do aktywnego uczestnictwa w świecie, jest tą siłą, która nada ambitnym projektom ustrojowym dynamikę. Prawica musi się uwolnić od ciężaru ideologicznej obecności LPR, zniechęcającej młodych ludzi do patriotyzmu poprzez przywoływanie aury szkolnych akademii rocznicowych rodem z PRL. Dynamiczny patriotyzm, ukazujący sens indywidualnego i zbiorowego wysiłku, otworzyć może perspektywę wspólnego działania ludzi, „którym zależy na państwie i jakości instytucji publicznych”. W takiej atmosferze można liczyć na owoce politycznej edukacji elit, którą Rafał Matyja słusznie uznaje za podstawowe zadanie konserwatywnego instytucjonalizmu.

(„Dziennik”, 31.07.2007)



## Indeks

- Agacka Joanna 94  
Antall Jozef 57  
Aron Raymond 45  
Balcerowicz Leszek 104  
Bielecki Jan Krzysztof 51-52  
Bobkowski Andrzej 175, 177  
Bobrzyński Michał 115, 120,  
163  
Bocheński Adolf 115-124  
Bocheński Aleksander 118,  
123  
Bocheński Józef 123  
Bolesław Chrobry 150, 152  
Buchala Kazimierz 95-96, 98  
Bukowiecki Stanisław 73  
Burdeau Georges 32  
Buttiglione Rocco 144, 182  
Buzek Jerzy 10, 65, 107,  
109-110  
Car Stanisław 92  
Celiński Andrzej 154  
Ciechowicz Ludwik 73  
Cywiński Bohdan 154  
Ćwiąkański Zbigniew 102-  
104  
Davies Norman 172  
De Gaulle Charles 11  
Dmowski Roman 120, 123,  
153, 176  
Dobraczyński Jan 176  
Drucker H. 81  
Dubanowicz Edward 116  
Dutkiewicz Rafał 181  
Działocha Kazimierz 28  
Estreicher Stanisław 9, 75  
Fierich Xawery 92  
Frasyniuk Władysław 165,  
169  
Gadomski Witold 41, 43-45  
Geremek Bronisław 165, 169  
Giedroyc Jerzy 118, 121  
Giertych Roman 175, 177  
Gombrowicz Witold 175  
Gorbaczow Michaił 132  
Gosiewski Przemysław 91  
Gowin Jarosław 181  
Grabski Stanisław 120  
Graniecki W. 30  
Grodziski Stanisław 73  
Grotowski Jerzy 172  
Hall Aleksander 125, 133  
Heath Edward 49  
Herling-Grudziński Gustaw  
128, 175  
Heydenkorn Benedykt 124  
Hitler Adolf 156  
Hołówka Tadeusz 121  
Iwanicki Stanisław 87-89  
Izdebski Hubert 54  
Jan Paweł II 154, 156  
Jaruzelski Wojciech 131  
Jaworski Władysław Leopold  
27  
Johan Wiesław 30  
Jurek Marek 130  
Kaczyński Jarosław 10, 41  
Kalisz Ryszard 91  
Karpinski Wojciech 154

- Kiernik Władysław 92  
Kijowski Andrzej 154  
Kisielewski Stefan 124, 154,  
171, 177-178  
Klaus Vaclav 57  
Klukowski-Nakoniecznikow  
Bronisław 118  
Kołakowski Leszek 44  
Komarnicki Waclaw 27, 116  
Kominek Bolesław 168, 173  
Korboński Stefan 92  
Kostro Robert 7, 168  
Kowalski Kazimierz 92  
Kraśński Zygmunt 152-153  
Król Marcin 119, 154  
Krzemiński Adam 165  
Kulczyk Jan 93  
Kulesza Michał 55  
Kuroń Jacek 128, 131  
Kwaśniewski Aleksander 20-  
22, 31  
Lewandowski Janusz 138  
Lieberman Herman 92  
Łopuszański Jan 67  
Łubieński Tomasz 154  
Łukaszenko Aleksander 90  
Mackiewicz Józef 123, 175,  
176-177  
Mackiewicz-Cat Stanisław  
120, 124  
Makowski Waclaw 92  
Malewska Hanna 176  
Marcinkiewicz Kazimierz 10  
Matyja Rafał 7, 42, 179-183  
Mauriac François 11  
Mazowiecki Tadeusz 15, 51,  
66, 109  
Mazur Edward 102  
Merkel Angela 165  
Merta Tomasz 154  
Meysztowicz Jan 123  
Micewski Andrzej 139  
Michnik Adam 128, 165  
Mickiewicz Adam 108, 153  
Monteskiusz 81  
Morawski Kazimierz Marian  
116  
Niedziałkowski Mieczysław  
121  
Nowosilcow Nikołaj 118  
Oleksy Józef 59  
Olewnik Krzysztof 104  
Olszewski Jan 52  
Otton III 150, 152  
Pawlak Waldemar 54, 59  
Peyrefitte Alain 93, 99, 101-  
103  
Piasecki Adam 27  
Piasecki Bolesław 123  
Piłsudski Józef 39, 115, 118  
Piotrowski Leszek 85  
Piwowarczyk Jan 138  
Pragier Adam 92  
Pruszyński Ksawery 118,  
123  
Pruszyński Mieczysław 118  
Rakowski Mieczysław 50  
Rémond René 183  
Rokita Jan 181  
Rousseau Dominik 76-78  
Rybarski Roman 37, 115  
Rywin Lew 43  
Rzepliński Andrzej 82  
Sienkiewicz Henryk 175  
Słonimski Antoni 120  
Słowacki Juliusz 153  
Staniszczak Jadwiga 82-83,  
182  
Steinbach Erika 165-167  
Stempowski Jerzy 175, 177

- 
- Strug Andrzej 177  
Strzembosz Adam 23, 61, 85  
Suchocka Hanna 52  
Szujski Józef 115  
Tarnowski Hieronim 116  
Tarnowski Stanisław 115  
Tewiński Jerzy 91  
Thatcher Margaret 49  
Tocqueville Alexis de 81,  
179, 181  
Tomaszewski Henryk 172  
Trąpczyński Wojciech 92  
Wałęsa Lech 51-52, 130  
Wasiutyński Bohdan 116  
Wasiutyński Wojciech 124  
Weigel George 156  
Widacki Jan 93  
Wildstein Bronisław 44  
Winiewicz Józef 123  
Witos Wincenty 121  
Wojciech św. 150  
Wyszyński Stefan 154, 156,  
176  
Zabłocki Janusz 139  
Zański Zbigniew 153  
Zdziechowski Marian 116  
Ziobro Zbigniew 92, 102  
Zoll Andrzej 72, 95-96, 98  
Żeleński-Boy Tadeusz 120



## **OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ**

Stowarzyszenie powołane w 1992 r. w Krakowie. Zajmuje się działalnością edukacyjną i naukową z zakresu filozofii politycznej, historii najnowszej oraz stosunków międzynarodowych. Jest również miejscem publicznej debaty o polityce polskiej.

Ośrodek Myśli Politycznej

www.omp.org.pl, e-mail: omp@omp.org.pl, faks 12 632 33 62

Adres korespondencyjny: skrytka pocztowa 322, 30-960 Kraków 1

\* \* \*

Wspieraj niezależną refleksję o polityce!

### **KLUB PRZYJACIÓŁ I SPONSORÓW OŚRODKA MYŚLI POLITYCZNEJ**

<http://www.omp.org.pl>

\* \* \*

### **1 % PODATKU DLA OŚRODKA MYŚLI POLITYCZNEJ**

23 grudnia 2004 r. Ośrodek Myśli Politycznej (nr KRS 0000076016) uzyskał status organizacji pożytku publicznego. Od 1992 r. – poprzez publikacje, konferencje oraz działalność naukową i dydaktyczną – propagujemy zasady polityki uprawianej w duchu poszanowania wolności indywidualnej, szacunku dla religii i polskiej tradycji kulturowej. W tym czasie zorganizowaliśmy kilkadziesiąt konferencji naukowych, szkół zimowych i letnich, cykli wykładów i seminariów dla studentów, nauczycieli i uczniów szkół średnich, w których wzięło udział kilka tysięcy uczestników. Wydaliśmy także ponad 100 książek. Ośrodek podejmuje tematy trudne, niepopularne, a niezwykle ważne dla debaty publicznej w Polsce i edukacji obywatelskiej. Uzyskanie przez OMP statusu organizacji pożytku publicznego daje możliwość wsparcia naszej działalności 1% Państwa podatku.

Bliższe informacje: [www.omp.org.pl/podatek.htm](http://www.omp.org.pl/podatek.htm). Liczymy na Państwa wsparcie i hojność.

## BIBLIOTEKA MYŚLI POLITYCZNEJ

Premiery – jesień/zima 2008

**Zdzisław KRASNODEBSKI, *Upadek idei postępu***

Analiza jednej z kluczowych idei politycznych, filozoficznych i kulturowych ostatnich stuleci, będącej przedmiotem wielu wielkich debat intelektualnych z udziałem najwybitniejszych myślicieli różnych epok.

**Rafał MATYJA, *Państwo czyli kłopot***

Książka o polskiej polityce po 1989 r., ukazująca spór o III i IV Rzeczpospolitą, patologie i słabości życia politycznego i debaty publicznej, oraz wskazująca drogi naprawy państwa i odrodzenia myśli politycznej.

**Bogdan SZLACHTA, *Szkice o konserwatyzmie***

Zbiór tekstów, w których autor – jeden z najbardziej cenionych znawców filozofii politycznej – ukazuje założenia, dylematy i paradoksy myśli konserwatywnej oraz analizuje stanowiska czołowych polskich i zagranicznych myślicieli tego nurtu.

**Przemysław ŻURAWSKI VEL GRAJEWSKI, *Polityka Unii Europejskiej wobec Rosji a interesy Polski 1991-2004***

Wszechstronna, przeprowadzona z wielkim rozmachem analiza jednego z najważniejszych obszarów polityki międzynarodowej, ukazująca toczącą się na forum publicznym i w zaciszu gabinetów grę dyplomatyczną oraz czynniki przesądzające o stanowiskach jej głównych uczestników, ich słabościach i atutach.

### W sprzedaży

**Ryszard LEGUTKO, *Esej o duszy polskiej***

Jedna z najgłośniejszych w ostatnich latach książek o polskiej historii, kulturze i myśli politycznej. Autor stawia prowokacyjne tezy, które zmuszają do przemyślenia na nowo losów Polaków zarówno w czasach PRL, jak i po 1989 r.

**Dariusz GAWIN, *Granice demokracji liberalnej. Szkice z filozofii politycznej i historii idei***

„Głęboka i zachęcająca do przemyśleń książka Dariusza Gawina w sposób wnikliwy bada zalety i wady demokracji liberalnej w świetle debat filozoficznych o polityce toczonych od czasów antycznych”. – Miłowit Kuniński

**Zdzisław KRASNODEBSKI, *Zmiana klimatu***

Książka o tożsamości europejskiej, nowych formach niemieckiej pamięci, stosunku Polski i Polaków do Europy i do Stanów Zjednoczo-

nych, przywracaniu polskiej pamięci o zagładzie Żydów i trudnościach, na jakie napotyka polsko-żydowski dialog.

**Zbigniew STAWROWSKI, *Niemoralna demokracja***

Książka o największych dylematach filozofii politycznej i ich wpływie na współczesne dyskusje m.in. o demokracji, polityce, aborcji, eutanazji, karze śmierci i chrześcijańskich korzeniach Europy.

**Zdzisław KRASNOŁĘBSKI, *Drzemka rozsądnych***

Zbiór esejów ukazujących w krytycznym świetle ideowe fundamenty III Rzeczypospolitej i podejmujących polemikę ze stereotypami dotyczącymi polskiej polityki i kultury, kreowanymi przez lewicowych liberałów i narzuconymi jako standard w debacie publicznej ostatnich lat.

**Ryszard LEGUTKO, *Podzwonne dla błazna***

Wybór esejów o współczesnej kulturze i polityce, konserwatyzmie i liberalizmie, pułapkach wielu modnych trendów intelektualnych i zakorzenionej w tradycji klasycznej filozofii politycznej alternatywie dla nich.

**Ryszard LEGUTKO, *Raj przywrócony***

Książka o demokracji, współczesnej kulturze i modnych obecnie ideach politycznych, analizowanych z pozycji ich konserwatywnego krytyka.

**Kazimierz Michał UJAZDOWSKI, *Batalia o instytucje***

Książka o polskiej polityce, ustroju państwa, pamięci historycznej i tożsamości narodowej, analizowanych z pozycji konserwatywnych. Autor nawiązuje do tradycji polskiego konserwatyzmu, ale szuka dla niego nowoczesnej formuły, odpowiadającej wyzwaniom stojącym przed współczesną Polską.

**Dariusz GAWIN, *Blask i gorycz wolności***

„Ćwiczenia z historycznej wyobraźni, jakie przeprowadza Gawin, są znakomitą wstępem do refleksji nad współczesnym sensem patriotyzmu. Są nawet czymś więcej: propozycją świadomego udziału we wspólnocie polskich pokoleń, propozycją dla pokolenia rówieśników Autora”. – Andrzej Nowak

**Dariusz GAWIN, *Polska, wieczny romans. O związkach literatury i polityki w XX wieku***

Książka o ideach politycznych w twórczości m.in. Stefana Żeromskiego, Władysława Reymonta, Henryka Sienkiewicza, Bolesława Prusa, Czesława Miłosza...

Nagroda im. Andrzeja Kijowskiego (2006)

**Mirosław DZIELSKI, *Bóg, wolność, własność***

Wybór tekstów jednego z najwybitniejszych polskich myślicieli XX wieku, prekursora chrześcijańskiego liberalizmu, rozważającego zagadnienia m.in. istoty i granic wolności, natury komunizmu, zasad wolnego rynku, cywilizacyjnych konfliktów między Polską a Rosją.

**Lord ACTON, *W stronę wolności***

Wybór tekstów klasyka chrześcijańskiej myśli liberalnej, jednego z najważniejszych myślicieli XIX wieku, autora słynnych esejów o historii wolności i narodowości.

**Jacek KLOCZKOWSKI, *Wolność i porządek. Myśl polityczna Pawła Popiela***

Książka poświęcona jednemu z najważniejszych polskich myślicieli konserwatywnych XIX wieku, który zasłynął jako krytyk idei rewolucyjnych, komunizmu, liberalizmu i powstania styczniowego, obrońca doczesnej władzy papieskiej i Państwa Kościelnego oraz zwolennik ścisłej współpracy Polaków z monarchią habsburską.

**Rafał MATYJA, *Państwowość PRL w polskiej refleksji politycznej lat 1956-1980***

Książka ukazująca stanowiska najważniejszych polskich myślicieli politycznych okresu PRL, od nieprzejednanych przeciwników komunizmu po autorów, którzy zdecydowali się na kolaborację z systemem.

**Jadwiga STANISZKIS, *Ontologia socjalizmu***

Pierwsze oficjalne wydanie jednej z najbardziej znanych analiz natury komunizmu. Książka pierwotnie opublikowana w drugim obiegu, pozostaje jedną z najwyższej ocenianych prac autorki należącej do grona czołowych komentatorów polskiej polityki.

**Milowit KUNIŃSKI, *O cnotach, demokracji i liberalizmie rozumnym***

Książka o ustrojach politycznych i o ludzkiej duszy, o etyce cnót i o cnotach politycznych, o tradycjach liberalnych polskich i zachodnich, o narodzie, tożsamości narodowej i europejskiej, o Polsce, doświadczeniu komunizmu i współczesnej polityce.

**Dariusz KARŁOWICZ, *Koniec snu Konstanytna***

„Związki między filozofią, religią i polityką są złożone, a ich opis wymaga sprawnego piora, wielkiej wrażliwości i subtelnego umysłu. Dariusz Karłowicz imponująco wszystkie te wymogi spełnia. Dawno nie mieliśmy w Polsce książki równie oryginalnej oraz intelektualnie pobudzającej”. – Ryszard Legutko

Nagroda im. Andrzeja Kijowskiego (2005)

**Arkady RZEGOCKI, *Racja stanu a polska tradycja myślenia o polityce***

Autor ukazuje klasyczne koncepcje racji stanu, analizując myśl m.in. Machiavellego, Botero, Richelieu, Hobbesa. Na ich tle rozważa polską tradycję polityczną, a zwłaszcza jej główne szkoły w XIX i XX wieku.

**Wojciech BUCHNER, *Wojna i konkwista. Hiszpańska myśl polityczna Złotego Wieku***

Książka o słabo znanym w Polsce, a bardzo istotnym dla rozwoju myśli europejskiej dorobku hiszpańskich myślicieli politycznych, powstałym w okresie największej potęgi Hiszpanii.

**Marek A. CICHOCKI, *Władza i pamięć***

„Książka Marka Cichockiego prowadzi nas do sedna dzisiejszych dyalematów polityki pamięci i tożsamości. Zachwyca głębokość jego rozważań o trudnych relacjach liberalizmu, patriotyzmu i solidarności. Wciąża – brawurowa analiza postkomunistycznego systemu eksploatującego polską demokrację”. – Jadwiga Staniszkis

Wznowienie – jesień 2008

## KANON WSPÓŁCZESNEJ FILOZOFII

**Roger SCRUTON, *Pożądanie***

Jedna z najbardziej kontrowersyjnych książek ostatnich dziesięcioleci, napisana przez wybitnego angielskiego konserwatystę, który daje w niej odpór libertariańskiej filozofii, oskarżanej przez niego o spowodowanie, że „coraz więcej dzieci rodzi się z nieprawego łoża lub jest zabijana przed narodzeniem; małżeństwa zawierane są coraz rzadziej, a rozwody stały się bardziej prawdopodobne niż kiedykolwiek przedtem; homoseksualizm został uznany za normę, a pedofilia, choć ciągle ogólnie potępianej, sprzyja się ukradkiem”.

Premiera – zima 2008

## POLSKIE TRADYCJE INTELEKTUALNE

***Realizm polityczny. Przypadek polski***

Wybór tekstów polskich myślicieli politycznych XIX i XX wieku, m.in. Adama Czartoryskiego, Pawła Popiela, Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego, Adolfa Bocheńskiego, Stefana Kisielewskiego, Józefa Mackiewicz i Mirosława Dzielskiego.